



# MAX GZORNYJ

KAŻDA ŚMIERĆ POZOSTAWIA PO SOBIE ŚLADY.  
KTOŚ JE MUSI POSPRZĄTAĆ

# MOR TALISTA

FILIA

The image features two skeletons in a dynamic, almost dancing pose. One skeleton is on the left, leaning back with its right arm raised and hand open. The other skeleton is on the right, leaning forward with its left arm raised and hand open. They are positioned behind the main text, which is rendered in a bold, black, sans-serif font. The text is arranged in four lines: 'MAX' at the top, 'SZORNÝ' in the second line, 'MOR' in the third line, and 'TALISTA' in the bottom line. The skeletons' limbs and heads are partially obscured by the text, creating a layered effect.

**MAX  
SZORNÝ  
MOR  
TALISTA**

**FILIA**



*Cierpiącym na fibromialgię, żeby lektura niosła im chwilę ukojenia,  
a świadomość istnienia schorzenia ułatwiała szybką diagnozę*



Tam, gdzie życie, i tam, gdzie zgon,  
Prawdziwa cisza zbiera plon.  
Nie martw się tym nigdy już,  
Muzycy śmierci są tuż-tuż.  
(A jeden z nich dla ciebie gra).

Odwróć się i w lustro patrz,  
Zobaczysz jego trupią twarz.  
Muzyk śmierci rozpoczął grę,  
Do krainy snów zabiera cię.  
(Spełni ostatnie życzenie twe).





Dwóch chłopców dziarskim krokiem podążało przez gęsty las. Byli podobnego wzrostu i mogli liczyć około dwunastu lat, czyli niedawno weszli w najgorszy możliwy wiek dla rodzaju ludzkiego, co do czego ich rodzice nie mieli najmniejszych wątpliwości.

Nieco tęższy i wyższy z młodzieniaszków, mimo typowo marcowej aury, ubrany był jedynie w wypłowiałą koszulkę Juventusu Turyn oraz piłkarskie krótkie spodenki. Grubą bluzę miał przerzuconą przez ramiona i przewiazaną wokół szyi.

Drugi chłopiec, jakby dla kontrastu, okutany był w grubą, puchową kurtkę, a uszy chował pod czapką w kolorowe pasy. Zmarznięte dłonie trzymał w kieszeniach jeansów.

– Od paru dni nie widziałem Engela – odezwał się, patrząc w stronę niewielkiego domu widocznego zza linii bezlistnych drzew. – Lubię słuchać, jak gra na tej swojej gitarze.

– Bałałajce. Tak na nią mówi mój tata.

– Może być i bałałajce, co za różnica? Gitara to gitara.

Chłopiec w koszulce Juventusu wzruszył ramionami i skręcił w błotnistą ścieżkę prowadzącą w stronę domostwa.

– Gdzie leziesz, Artur? – Zmarzluch z rezygnacją rozłożył ręce. – Całkiem pobrudzimy sobie buty.

– A co? Dostaniesz w tyłek, jeśli nie doczyścisz swoich laczków?

Nazwanie wysokich traperów laczkami stanowiło nadużycie, ale Artur miał taki styl. Niemal wszystko wyolbrzymiał.

– Co chcesz zrobić?

– Sprawdzić, jak się ma stary Engel. Albo zrobić mu dowcip. Chodź, Olaf, pośpiesz się!

Artur, nie patrząc za siebie, przyśpieszył kroku. Po chwili obaj chłopcy wyszli z lasu i pojawili się na skraju działki pana Engela. W lecie rosły tu



dynie oraz cukinie. Samotny mężczyzna obdarowywał nimi sąsiadów.

– Pewnie wyjechał – zasugerował Olaf. – Albo jest chory.

– Gdzie miałyby wyjechać? On nigdy nie wyjeżdża.

– A bo ja wiem? W końcu kiedyś trzeba zacząć.

– Przecież on ma ze sto pięćdziesiąt lat.

I Artur znowu przesadzał, gdyż Olaf był przekonany, że stary Engel miał co najwyżej połowę mniej.

– Moglibyśmy go nastraszyć – ciągnął chłopiec. – W internecie oglądałem podcast o nastolatkach, którzy uwięzili jakiegoś starucha i kazali mu się utrzymywać. No wiesz, żyli z jego emerytury, w jego domu urządzili sobie plac zabaw, wyprzedawali jego książki. Ustawili się jak ta lala.

– Chyba nie chcesz...

Artur machnięciem dłoni uciszył towarzysza. Zbliżyli się do domu i chłopiec, mrużąc oczy, starał się dostrzec jakikolwiek ruch w środku. Na migi, tak jak niedawno podpatrzył na filmie wojennym, pokazał Olafowi, żeby ten pobiegł pod ścianę. Sam dopadł do muru domu kilka metrów dalej.

Przez parę sekund chłopcy nasłuchiwali, lecz nie dobiegł ich żaden dźwięk. Pan Engel mieszkał na uboczu, przy końcu ulicy i nie było tu nawet słychać ruchu samochodów. Życie wioski skupiało się w barze oraz kościele, które znajdowały się niemal kilometr dalej.

Artur zerknął na towarzysza, po czym szeroko się uśmiechnął. Przemknął do jednego z okien i przytknął do niego dłoń. Nie dostrzegł niczego interesującego, więc przesunął się dalej. Uważał, aby nie potknąć się o stojące na betonowej podmurówce stare, potłuczone doniczki.

– Patrz, to okno można otworzyć, klamka jest niedociśnięta – wyszeptał.

– Wystarczy pchnąć, a potem zwolnić zaczep. Kiedyś oglądałem poradnik, jak to zrobić.

– Jak się włamywać do domów?

– Aleś się zrobił trzęsidupa. Włamywanie to zbyt mocne słowo.

Olaf nie był przekonany. Międląc palcami dolną wargę, przypatrywał się, co robi jego przyjaciel.

– Najpierw upewnijmy się, że nie ma go w domu – jęknął. – Lepiej, żeby nas nie dorwał.

- I tak nas nie złapie. A nawet jeśli, to my się nim zajmiemy, nie on nami.
- Co chcesz zrobić?
- Zobaczymy. Przecież to tylko dowcip, no nie?

Artur dotknął ramy okiennej i przeciągnął po niej dłonią, jakby sprawdzał fakturę. Ze znuwaniem pokiwał głową. Przesunął się o krok w prawo, po czym zajrzał do środka.

- O w mordę!

Chłopiec zastygł w bezruchu. Jego twarz przebiegł najpierw intensywny rumieniec, a po chwili stała się blada jak pergamin. Usiłował coś powiedzieć, lecz głos zamarł mu w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

Olaf stanął tuż obok niego i również zajrzał do wnętrza domu. Serce podeszło mu do gardła, a po plecach przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

- Czy on... – wybełkotał. – Czy...

Nie było wątpliwości, że chłopcy spoglądają na trupa pana Engela. Mężczyzna w nienaturalnie wygiętej pozycji leżał niespełna trzy metry od nich. Jego twarz była zwrócona w stronę okna, ale już niełatwo było rozpoznać w niej dawne rysy. Usta miał rozwarte, wargi fioletowe, a skóra policzków zazieleniała się i obciągnęła, jakby przywierając do zębów.

– Ja pieprzę... – Artur nabrał głęboko powietrza. Pochylił się do przodu, usiłując utrzymać równowagę. – Cholera.

Pod naciskiem jego czoła okno uchyliło się i momentalnie nozdrza chłopców podrażnił okropny odór. Ułamek sekundy później wydarzyło się coś przerażającego. Zielonkawofioletowa twarz pana Engela odwróciła się w ich stronę. Po chwili głowa jakby się odchyliła i nagle opadła na pierś. Truposz wbił w intruzów spojrzenie półotwartych, nadgniłych oczu.

W tym momencie Olaf wybuchnął głośnym płaczem. Ciągnąc towarzysza za rękaw, rzucił się do ucieczki. Instynkt przetrwania zwyciężył nad śmiertelnym przerażeniem. Artur podążył za nim. Był przekonany, że pan Engel podniósł się i ich ściga.



Honoriusz Mond zatrzymał się przy murze starego cmentarza żydowskiego. Dotknął go wierzchem dłoni, jakby chciał sprawdzić ciepłość cegieł. Przez chwilę stał nieruchomo, nie bacząc na zaciekawione spojrzenia przechodniów. Wreszcie wyprostował się i poprawił węzeł jedwabnego czarnego krawata. Znajdował się zaledwie kilka kroków od wejścia do kamienicy, do której zmierzał. Sprowadziła go tu wiadomość odebrana w serwisie z ofertami pracy, gdzie zarejestrował się wiele miesięcy wcześniej. Właściwie odczytał ją całkowicie przypadkowo, bez głębszego zainteresowania, a potem coś go tknęło i uznał, że zbiegi okoliczności nie istnieją. Mimo że nie szukał pracy, stwierdził, że powinien spróbować. Nie mógł już dłużej uciekać przed codziennością. Uciekanie równało się powolnej agonii, od której lepsza byłaby garść tabletek lub podwójna dawka alkaloidów. Szczególnie to ostatnie, lecz uciął tę myśl, zanim stała się realną pokusą.

Gotów do działania nasunął głębiej czarny kapelusz z okrągłym rondem. Przeszedł przez uchyloną dwuskrzydłową bramę i zanurzył się w półmroku klatki schodowej. Pachniało w niej starością oraz pastą polerską. Zerknął na mosiężną tabliczkę z numerem zawieszoną na ścianie po lewej, po czym pośpiesznie wbiegł na piętro. To musiało być tu.

Energicznie zapukał i nie czekając na zaproszenie, pchnął drzwi. Niemal natychmiast się cofnął, aby upewnić się, że nie pomylił adresu. Nie. Wszystko się zgadzało. Nad wejściem znajdował się spory szyld z nazwą firmy oraz mottem „Wyszmitujemy wszystko na glanc”. Jednak to, co zastał w pomieszczeniu, przypominało niemal wojenne gruzowisko. Wszędzie poniewierały się zmięte wycinki gazet, na parapetach oraz meblach piętrzyły się puszki po napojach oraz plastikowe talerzyki, a wolną przestrzeń pośrodku wypełniały stosy niedbale rzuconych książek.

– Jestem w trakcie sprzątnięcia. – Stłumiony głos dobiegał zza metalowego, pomalowanego na biało biurka.

Po chwili wyjrzała zza niego około trzydziestoletnia kobieta z istną burzą włosów na głowie. Wbiła w Honoriusza przenikliwe spojrzenie. Zmarszczyła czoło, jakby dziwiąc się, że ktokolwiek pojawił się w biurze.

– Ja do pryncypała – bąknął Mond.

– Pryncypała? – Kobieta gwałtownie się podniosła i przygładziła pstrokatą sukienkę wyrwaną wprost z lat siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. – Tak się mówi na szefa, no nie?

– Szef, pryncypał...

– Jeden pies?

– Nie chciałem tego powiedzieć.

– Ale pomyślałeś?

Kobieta, z trudem hamując uśmiech, podeszła do Honoriusza i wyciągnęła do niego dłoń. Mężczyzna poczuł intensywny zapach kwiatowych perfum. Przebijał nawet ponad duszący aromat środków czyszczących.

– Allegra Szmit – przedstawiła się, wymieniając z nim mocny uścisk. Niemal natychmiast dodała: – Właściwie Felicja, żeby nie było, że nie mam świętej patronki, ale Allegra brzmi lepiej, nie uważasz?

Honoriusz również wymienił swoje imię i nazwisko, zastanawiając się, czy cały absurd sytuacji składa się na jakąś nową technikę przeprowadzania rozmów o pracę. Znalazł się jednak w firmie sprzątającej, a nie w międzynarodowej korporacji, w której miałby obracać milionami. Zresztą było to dla niego bez znaczenia. Zdjął kapelusz i wsunął go pod pachę.

– Siadaj. – Szmit wskazała na obrotowe krzesło z siedziskiem wykonanym z czerwonej ekoskóry. Skóra była popękana i wyglądała na brudną.

Mond, nie bacząc na to, skinął głową i przyciągnął krzesło. Nim usiadł, kobieta jeszcze raz obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Fajny surdut. Znalazłeś go gdzieś na strychu czy wyciągnąłeś z czyjejś trumny?

Honoriusz drgnął. Odruchowo zerknął na połę swojego długiego czarnego prochowca z mosiężnymi guzikami.

– Dostałem od ojca – odparł zdawkowo. – Nie chce się rozpaść.

– Znam to. Od jednego z byłych facetów dostałam stringi z kocim futrem. Grzały jak cholera, a ten zboczeniec błagał, bym je nosiła.

– Rozpadły się?

– Podarłam je.

Honoriusz z całkowitą powagą skinął głową. Szmit jeszcze przez chwilę się mu przypatrywała, wreszcie wybuchnęła śmiechem i zabębniła palcami w blat biurka.

– Żartowałam, panie poważny!

– Tak sądziłem.

– Czy jestem aż tak beznadziejna w dowcipkowaniu? Zresztą usiądźmy.

Jak na znak spoczęli na swoich miejscach. Mond ponownie powiódł wzrokiem po zagraconym pomieszczeniu. O zamknięte okno tłukły się dwie spore muchy, na parapecie stał kubek z zaschniętą kawą, a obok niego figurka Buddy, krucyfiks i szklane „oko proroka”. Na ścianach wisiało kilka ikon oraz świętych obrazków, do tego grafiki przedstawiające mandale i rozmaite święte symbole. Wydawało się, że nic do siebie nie pasuje. Jednocześnie, mimo bałaganu, wewnątrz przesiąknięte było atmosferą spokoju i wesołości. Być może odpowiadały za to tłące się na jednej z szafek trociczki, może dwie pomalowane w rozmaite kolory ściany, a może wszystko to łącznie. Bardzo prawdopodobne, że kluczowym elementem był szeroki uśmiech na twarzy Allegry.

– Napisałeś, że nie brzydzisz się żadnej pracy – odezwała się kobieta. – Biorąc pod uwagę, że na rynku nie ma takich frajerów, zastanawiałam się, czy nie jesteś sadomasochistą, a teraz, kiedy cię widzę, mam niemal pewność.

– To ogłoszenie sprzed pół roku.

– A więc nawet nie zaprzeczasz sadomasochizmowi.

Honoriusz wzruszył ramionami.

– Nie widzę niczego złego w sadomasochistach. Poza tym... – Wskazał palcem na nadgarstek Szmit. Było na nim zawieszonych kilka bransoletek, z różnymi symbolami religijnymi oraz tasiemkami. – Sadomasochizmem jest jednocześnie wierzyć w piekło, szeol, Gehennę i Hades... Poza opiekaniem żywcem można sobie zaserwować regularne wyłupywanie oka przez sępa oraz gotowanie w smole.

Allegra uśmiechnęła się, wydymając wargi. W jej oczach pojawił się błysk.

– Pan czytany! – Wesoło klasnęła. – Piekło jak piekło, ale jednocześnie wierzyć w raj, Elizjum, Dżannę oraz Walhallę to dopiero piękne. A swoją drogą, skoro nie brzydzisz się niczego, czy nie brzydzisz się również sprzątaniam?

Honoriusz odchrząknął.

– Właśnie tego nawet najdrobniejszym drukiem nie precyzowało ogłoszenie. Co miałbym sprzątać?

– Wszystko. Bez wyjątku.

– Czy mam to rozumieć...

– Nie, nie. – Allegra natychmiast weszła mu w słowo. – Chodzi o sprzątaniam dosłowne, a nie metaforyczne. Jednak z największego brudu, jaki tylko jesteś sobie w stanie wyobrazić. Deratyzacja, dezynsekcja, dezynfekcja...

– To tylko brud.

– Jestem pełna podziwu, że wciąż stąd nie uciekłeś.

– Już powiedziałem, że to tylko brud. Za paznokciami mamy więcej bakterii, niż buszuje po desce klozetowej algierskiego wychodka.

Mond pozostawał całkowicie poważny. Nagle poruszył się i wyrzucił w powietrze dłoń. Po chwili ją rozwarł, pokazując zmiażdżoną zielonkawą muchę. Przyjrzał się jej uważnie.

– *Lucilla sericata* – wyszeptał, wzbudzając jeszcze większe zaciekawienie Allegry. – Różni się od typowej muchy mięsnej, ale i tak większość ludzi się nią brzydzi. Jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu trzymano ją w szpitalach jak lekarstwo... Wyjadała martwą tkankę z ropiejących ran.

– Mniemi. Pychotka.

– Nikt wtedy nie myślał o tym, że w tych rzekomo oczyszczanych ranach składa jaja i powoduje muszycę.

Allegra parsknęła. Podniosła się od biurka i przeciągnęła.

– Dziwny jesteś.

– To ja jestem dziwny? – Kąciki ust Monda po raz pierwszy drgnęły w ledwie zauważalnym uśmiechu. – Zresztą niech będzie, wobec tego dziękuję.

Honoriusz również podniósł się z krzesła. Ściągnął poły płaszcza i skierował się do wyjścia.

– Dziwny jesteś i właśnie dlatego chcę cię zatrudnić.

– Co takiego?

– Chcę cię zatrudnić.

Mond zatrzymał się z ręką na kłamce. Miał dziwne wrażenie, że zostając w tym pomieszczeniu, przypieczętuje swój los. Nie mylił się.

### 3



Mond przed kilkoma tygodniami zapłacił z góry za półroczny pobyt w Hotelu Francuskim. Gdyby wydaną kwotę spożytkować na najem mieszkania, mógłby urządzić się w luksusowym apartamencie w dowolnej dzielnicy Krakowa, a jeszcze by mu zostało. Jednak wtedy pieniądze nie grały roli. Poza tym Hotel Francuski z Salą Olimpijską, pocztą pneumatyczną oraz zdobionymi kandelabrami swoją historią bił na głowę nawet najwytworniejsze mieszkania. Do tego widok z niewielkiego balkoniku na kościół pijarów... Widok, jaki niemal bez zmian chłonęły oczy czterech lub pięciu pokoleń przed nim. Sami rozumiecie.

Kilka dni po przeprowadzce Honoriusz wynajął niewielką suterene w jednej z bocznych ulic Kazimierza. Urządził w niej przytulną pracownię, w której oddał się swojemu największemu hobby – restaurowaniu zabytkowych mebli. Mimo słabej (a właściwie żadnej) reklamy wieść poniosła się pocztą pantoflową i w ciągu dwóch tygodni wpadło mu kilka zleceń. Niby nic wielkiego, odświeżenie politory w biedermeierowskim stole, poprawa mazerunku na biurku art déco, do tego wymiana zamków w eklektycznej mahoniowej komodzie. Pracy przynajmniej tyle, że zaliczki mógł pożytkować na bieżące potrzeby.

Najwięcej energii oraz serca Mond oddał renowacji osiemnastowiecznego szpinetu. Nabył go na targu staroci w stanie tak opłakanym, że sprzedawca był przekonany, że to amerykańska szafa grająca lub wielka pozytywka.

Pozbył się instrumentu za równowartość butelki wódki, i to jeszcze w cenie sprzed ostatniej podwyżki akcyzy. Honoriusz pieczołowicie zabrał się za uzupełnianie ubytków w hebanowej intarsji trójkątnego pudła rezonansowego, odtworzył zerwane struny, dorobił skoczki oraz piórka. Praca wymagała uwagi oraz cierpliwości, ale uprzyjemniała ją myśl o efekcie końcowym. Na pierwszy koncert należało jednak poczekać.

Niemal każdego dnia pojawiały się nowe zlecenia od Allegry. Na początku zajmowali się sprzątaniami wspólnie, jednak z czasem Szmít nabrała zaufania do pracownika i na proste deratyzacje lub dezynsekcje wysyłała go samego. Pewną przeszkodę stanowił brak uprawnień Honoriusza, lecz w historii firmy jeszcze nie zdarzyło się, by przeprowadzono ich kontrolę. Poza tym nie było w tym nic skomplikowanego.

Zgodnie z polityką Biura Sprzątającego Szmít dezynsekcji dokonywano przy zastosowaniu IPM – zingerowanej metody zwalczania szkodników, polegającej na przejściu co najmniej dwóch etapów. Standardowo pierwszym było staranne sprzątanie pomieszczeń, odkurzanie, mycie podłóg, likwidowanie widocznych ognisk robactwa. Następnie używano środków chemicznych lub metody fizycznej – wewnątrz dokładnie obkładano specjalną folią, pod którą robactwo dosłownie się gotowało. *Voilà!* Po kilkunastu godzinach nie było mowy, aby ostała się choćby jedna żywa larwa.

Klasyczna deratyzacja przebiegała jeszcze prościej. O ile obiekt nie był zaszczurzony w stopniu przekraczającym ludzkie wyobrażenie (co, zgodnie z opowieściami Allegry, zdarzało się częściej, niż można było przypuszczać), należało jedynie rozstawić pułapki oraz specjalne stacje deratyzacyjne. Czasem dokładano trutki albo rozpylano środek, którego zapach sprawiał, że szczury wynosiły się gdzie pieprz rośnie, jakby wyprowadził je Flecista z Hameln. Pozytywnych komentarzy w internecie wciąż przybywało.

W ostatni dzień marca Mond już o szóstej rano pojawił się w podwórzu, gdzie mieściła się jego pracownia. Jak zawsze nie wiedzieć skąd wyrosła przy nim grupka miejscowych łobuzów. Bandę tworzyło czterech chłopców



oraz dziewczynka, najwyraźniej siostra drobnego blondyna, z którym miała takie same wielkie błękitne oczy. Hersztem był niski, ale zaskakująco postawny jak na wiek dwunastu lub trzynastu lat pucułowaty urwis, z wiecznie zaczerwienionymi policzkami. To on, widząc Honoriusza, wyciągnął dłoń po zwyczajowy haracz.

– Proszę. – Mond z uśmiechem wręczył mu wielkie opakowanie ostrych czipsów. Niejednokrotnie widział, jak chłopiec bez mrugnięcia pochłania je całymi garściami, co zapewne miało stanowić dowód męskości. – Na zdrowie. Swoją drogą, wy nigdy nie śpicie?

Watażka, jak go czasem nazywał, wziął czipsy i z całkowitą powagą pokiwał głową.

– Pański lokal ma obstawę dwadzieścia cztery godziny na dobę – wychrypiał. – Siedem dni w tygodniu. Bez ściemy.

Usłyszawszy niski ton chłopca, Mond pomyślał, że tylko łakomstwo sprawiało, że ten nie domagał się paczki papierosów.

– Jesteśmy lepsi niż monitoring miejski – dodał drugi malec.

– Może pan w swojej kanciapie trzymać, co tylko chce. Nawet złoto, a nic nie zniknie.

– Teraz te stare rupiecie nie mają żadnej wartości, po co komu rozbite meble... – wtrąciła dziewczynka. – Czasem ludzie nam płacą za wyrzucenie ich z mieszkań. Wie pan, z tych, w których wszyscy pomarli i idą na sprzedaż.

– Ale gdyby coś się stało – zastrzegł natychmiast Watażka i ukradkiem wysunął z kieszeni sportową procę – będziemy bronić pańskiego lokalu jak lwy.

– Jak Polacy Monte Cassino.

Honoriusz nie zamierzał prostować, że Polacy wcale nie bronili Monte Cassino, lecz zajadle je atakowali. Skinął jedynie głową i zszedł po kilku schodkach do sutereny. Miał wątpliwości, czy nastolatek zgodnie z prawem mógł posiadać sportową procę, ale rzecz jasna nie wypowiedział ich na głos. Ostatnim razem, gdy zwrócił uwagę, by chłopcy przynajmniej uważali, jak się z nią obchodzą, blondyn wyciągnął z plecaka myśliwską kuszę, do której na szczęście nie miał zbyt wielu bełtów. Wtedy Mond dał

całej grupie napiwek, aby wyładowali swoje emocje na strzelnicy pod opieką kogoś starszego. Tylko kogo? Dwóch pijaczków przesiadujących popołudniami na podwórzu nie upilnowałoby nawet żółwia, nie mówiąc o bandzie rezolutnych młokosów. Pomysł wysłania ich na strzelnicę zakrawał na szaleństwo. Zabawa mogłaby zakończyć się ofiarami śmiertelnymi. Podobne sytuacje wojskowi stratedzy nazywali „rozpoznananiem terenu bojem”.

Mond zdjął kłódkę i pchnął solidne drzwi. Zapalił mocne jarzeniówki, które oświetliły pracownię. Pachniało w niej różnymi chemikaliami oraz drewnem, co stanowiło jednak zapach całkowicie odmienny od klasycznie rozumianej woni czystości.

– Mój drogi...

Honoriusz pogładził otwartą nakrywą szpinetu. Właściwie całość była już niemal gotowa, wymagała jedynie strojenia oraz ostatecznego pastowania. Hebanowe kwadraciki układające się w klepsydrę doskonale kontrastowały ze złocistym odcieniem drzewa wiśniowego. Mosiężne elementy były odczyszczane i wypolerowane, podobnie jak klawisze. Trzeba by najlepszemu znawcy, aby poznał się, które z nich zostały dorobione lub dobrane z innych instrumentów.

Mond zamierzał zamówić taksówkę transportową i przewieźć w niej szpinet do hotelu. Nie sądził, by obsługa robiła jakiegokolwiek problemy, a właściwie w ogóle się tym nie przejmował. Strojenie miało sens dopiero po ustawieniu w docelowym miejscu, więc teraz jedynie przetaił szpinet szmatką nasączoną specjalnym olejem. Praca została zakończona.

Powstrzymywał się przed zagranieniem choćby krótkiej melodii. Nie chciał, by pierwsze wrażenie zepsuły fałszywe dźwięki, do tego akustyka ciasnego, zagraconego pomieszczenia nie służyła delectowaniu się muzyką. To musiało poczekać.

Zamknął nakrywą instrumentu i zerknął na wiszący w rogu regulator wiedeński. Zegar wskazywał za kwadrans siódmą. Najwyższy czas, by zadzwonić po taksówkę i przewieźć szpinet do hotelu.

W momencie gdy Honoriusz Mond chwycił komórkę, od razu poczuł jej wibrację. Po chwili rozległy się pierwsze tony *Lascia ch'io pianga*

Haendla. Odebrał, nie zerkając na ekran.

– Halo?

– Śpisz? – Od razu rozpoznał pełen energii głos Allegra. – Mamy robotę. Mond zerknął na szpinet i westchnął.

– Nie śpię, jestem gotowy.

– Dzięki wam, bogowie olimpijscy! W takim razie błyskawicznie szmituj się do auta. – Allegra podała mu adres i znacząco odkaszlnęła. – Tylko przygotuj się na prawdziwy brud. Rozumiesz? Możesz wziąć ze sobą woreczki do rzygania, jeśli masz słaby żołądek.

#### 4



W miarę możliwości Honoriusz korzystał z miejskich rowerów oraz hulajnóg, jednak najnowsze zlecenie nadeszło z wioski oddalonej o kilka kilometrów od rubieży Krakowa. Wobec tego musiał udać się na parking i uruchomić jaguara f-pace, jedną z nielicznych rzeczy, która łączyła go z dawnymi czasami. Czarny lśniący SUV z pięciolitrowym silnikiem stanowił niezwykłą wyrwę w świecie dążącym do pełnej elektryfikacji pojazdów. Beżowe skóry w środku zdawały się przesiąknięte zapachem cygar oraz perfum. Do prowadzenia Mond, wzorem uczestników Le Mans i Grand Prix, zawsze zakładał dziurkowane koniakowe rękawiczki. Wszyscy przecież mają swoje zboczenia.

Mimo sporej wartości nie traktował jaguara ze szczególnym pobłażaniem. Stanowił dla niego środek transportu jak każdy inny, miał go zawieźć do dowolnego miejsca, i to w jak najkrótszym czasie.

Na szczęście dom, przed którym czekała na niego Allegra, znajdował się przy gładkiej asfaltowej drodze. Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej asfalt zamieniał się w szutrówkę prowadzącą prosto na łąki i w stronę lasu.

Gdy Mond wysiadł z zaparkowanego na poboczu auta, Allegra przeciągle zagwizdała.

– To twoje? Czy też po ojcu?

– I to, i to. – Honoriusz wrzucił przez okno do środka rękawiczki.  
– Musi być wart fortunę! Pewnie nie zarobisz u mnie tyle przez całe życie.

– Skoro go już mam, nie muszę na niego zarabiać.

– Nie bądź złośliwy jak Ganesha.

– Podnoszę tylko, że nie będę pracował za darmo.

Allegra sięgnęła po leżącą na ziemi torbę, pobrzękując zawieszonymi na nadgarstku bransoletkami. Była ubrana w czerwone spodnie oraz kwiecistą bluzkę. Narzuciła na nią sztuczne niebieskie futro, którego nie zapięła. Na głowie miała czerwony francuski берет.

– Masz. – Podała torbę Mondowi. – Maseczka, woreczek na bełt, żel mentolowy. Możesz też założyć cały kostium.

– Ktoś tu nigdy nie sprzątał?

– Gorzej. Stajnia Augiasza przy tym to miejsce sterylne. Trakt operacyjny. Rozumiesz?

– A twoje biuro?

– Ganesha w porównaniu z tobą jest ostoją sympatyczności.

– Pytałem, aby mieć obraz sytuacji.

Pociągła, elegancka twarz Honoriusza ani przez moment nie zdradzała żadnych emocji. Mężczyzna sięgnął do torby i wyjął z niej jedynie parę rękawiczek. Założył je, po czym ruszył w stronę zaniedbanego parterowego domu. Była to raczej wiejska chata, otynkowana tak dawno temu, że tynk skruszył się i odłaził całymi płatami wraz z pełną zacieków farbą. Najbliższe zabudowania znajdowały się kilkaset metrów dalej, za linią sadów. O tej porze roku można je było dostrzec przez korony wciąż bezlistnych drzew.

– Dobrze ci radzę, weź woreczek i żel. – Szmit dogoniła go tuż przed uchylonymi drzwiami. – Nie musisz mi udowadniać, jak bardzo jesteś męski. Nawet celtyccy bogowie rzygali na widok...

– Zwłok – dokończył za nią Mond. – Ale tu już ich nie ma.

– A ty skąd wiesz?

Honoriusz zatrzymał się w progu. Poprawił rękawiczki i skinął głową w stronę wnętrza.

– Wąski korytarzyk ze sprzętami usuniętymi tak, by móc przenieść nosze. Specyficzny zapach wyczuwalny aż tutaj. Właściwie czułem go po wyjściu z auta. – Odchrząknął, po czym kontynuował: – Na trawniku przed wejściem są ślady zawracania, zostawione zapewne przez długi samochód, bo każdy mniejszy zmieściłby się na samej ulicy.

Allegra roztarła pod nosem żel mentolowy i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Powinieneś pójść do jakiegoś teleturnieju. Przyznaj się, że to w którymś z nich zarobiłeś na swoje auto.

– Już mówiłem, że należało do ojca.

– Który był grabarzem?

Honoriusz nic nie odpowiedział. Odwrócił się w stronę futryny i nagle przeciął dłonią powietrze. Powoli się schylił, po czym podniósł coś z ziemi.

– *Lucilla sericata* – oznajmił, pokazując leżącą na otwartej dłoni zieloną muchę. – Już chyba się znacie? Spójrz, jaka spasiona. Miała tu używanie większe niż sprzedawca zniczy na pierwszego listopada. Wybacz ten nędzny humor.

Szmit jak oniemiała przypatrywała się błyskowi oczu Monda. Po raz pierwszy widziała na jego twarzy wyraz zainteresowania, a w tonie głosu słyszała ekscytację. Niemal natychmiast jednak je stłumił. Z trudem powstrzymała się od jakichkolwiek pytań i podążyła za nim do środka.

Mimo intensywnego aromatu żelu panujący w pomieszczeniu smród przyprawił ją o mdłości. Nienawidziła sprzątanania miejsc zbrodni oraz zgonu, co jednak stanowiło najbardziej dochodowy aspekt jej pracy. Tymczasem Honoriusz Mond z zainteresowaniem rozglądał się wokół.

– Dziwak... – wyszeptała na tyle cicho, że jej nie usłyszał. – Kim tak naprawdę jesteś, Honoriuszu Mond?



Sprzątanie miejsc, w których czyjeś zwłoki przeleżały kilka dni lub tygodni, nie bez powodu było dobrze płatną robotą. Często poza wietrzeniem pomieszczeń oraz użyciem bardzo mocnych środków chemicznych należało wyrzucić niektóre sprzęty. Fotele, łóżka, dywany. Zrywało się podłogi, a nawet skubało płytki ze ścian, jeżeli denat zbyt mocno się do nich przytulił. Nie wspominając o materacach, pościeli i innych materiałach.

W tym przypadku dwuosobowa ekipa Biura Sprzątającego Szmit miała szczęście. Po pierwsze, ze względu na porę roku. Marcowe chłody spowolniły proces rozkładu na tyle, że nie brodzili w bagnie ludzkich tkanek i wylęgającego się zewsząd robactwa. Po drugie, zwłoki odnaleziono najpewniej jedynie kilka dobrych dni po śmierci. Prawdziwy fart.

– Rodzina chce pilnie sprzedać tę ruderę, myślisz, że ktoś to kupi?

Pytanie Szmit zaburzyło panującą od godziny ciszę, którą przerywały jedynie jej odchrząknięcia, szuranie szmat oraz dźwięk wyżymanej wody ze środkami czyszczącymi.

– Po remoncie może tu być całkiem przyjemnie.

– Ale ktoś tu umarł. To prawie jak mieszkanie w grobowcu.

– W grobowcu spoczywają czyjeś szczątki.

– A tu być może została czyjaś energia albo kawałek duszy.

Honoriusz parsknął stłumionym śmiechem. Zerknął na Allegrę, która lekko dymiącym się roztworem szorowała futrynę. Zgodnie z wytycznymi klientów mieli wypolerować cały dom, jakby był nowy, co mimo początkowego optymizmu zdawało się coraz mniej prawdopodobne. Nadal nie mogli sobie poradzić z niemilośmiernym smrodem.

– Naprawdę w to wierzysz? – Mond rzucił szmatkę do plastikowej rynienki.

– W duszę oraz energię? – Szmit znacząco potrząsnęła bransoletkami. – Oczywiście.

– I wyczuwasz je w tym miejscu?

– Może. Chyba. Chyba tak.

Delikatny, kpiący uśmiech nie zniknął z twarzy Honoriusza. Po chwili ponownie zabrał się do szorowania, co rusz wyprostowując się, aby rozciągnąć mięśnie. Był wysoki i praca przy czyszczeniu kaloryfera niezwykle go męczyła. Nie mógł przy tym kucnąć, gdyż co chwilę sięgał po podpiętą do kontaktu sprężarkę, a ta miała zbyt krótki kabel, żeby... Rodzącą się koncepcję poprawienia pozycji brutalnie stłumiło pytanie Szmit.

– Co tam jest?

– Gdzie?

– Widzę, że co chwilę zerkasz właśnie w tamtym kierunku. Dokładnie tam.

Allegra wskazała w kąt pomieszczenia, między niewielkim drewnianym stołem a szafką ze zlewem.

– Tam leżał?

– Co takiego? – Mond starał się udawać zdumienie, ale robił to całkowicie nieporadnie. Widząc marsową minę szefowej, skinął głową. – Tak, nie mam co do tego wątpliwości.

– Po czym to stwierdzasz? Przecież jest tam zupełnie czysto.

– Abstrahując od najintensywniejszego zapachu oraz wyczuwanej miejscowo energii?

Szmit nie zwróciła uwagi na tę uszczypliwość.

– Ten smród wypełnia całe pomieszczenie.

– Ale tam cuchnie najmocniej. – Honoriusz głęboko wciągnął powietrze.

– Czułabyś, gdybyś nie wysmarowała się mentolem. Poza tym ta czystość, na którą zwróciłaś uwagę... Podłoga nie jest umyta, tylko się błyszczy ze względu na natłuszczenie.

– No i?

Szmit, nie przenosząc wzroku, najpierw się przeżegnała, a potem skrzyżowała wskazujący i środkowy palec lewej dłoni.

– To produkt uboczny umierania. Z kilkudniowych zwłok tłuszcz dosłownie wycieka przez skórę. Oczywiście wypływa również przez ubranie. Tworzy warstewkę niczym pasta polerska albo wosk.

– Fúj. I ciągle tego nie zmyłes?

– Miałem się za to zabrać za moment. Potrzebowałem płynu, którego teraz używasz.

Umilkli, oddając się przez kolejne minuty pracy. Powoli zapadał zmrok i Mond uznał, że muszą zapalić światło. Podniósł się z klęczek, po czym poruszył głową raz w prawo, raz w lewo. Wtedy jego uwagę przykuł jakiś ruch za oknem.

– Co jest?

– Pucuj, pucuj, Honoriuszu – zanuciła Allegra. – Szmituj to na glanc.

– Spójrz.

Szmit strzepnęła szmatę i z ociąganiem się odwróciła. Podążając za wzrokiem Monda, wyjrzała za okno. Niemal natychmiast nerwowo przełknęła ślinę.

– Cholera...

## 6



Sznur postaci ciągnął przez podwórze w stronę domu. Wszystkie niosły albo zapalone świece, albo znicze. Postawny, zgarbiony mężczyzna na przodzie dźwigał wieniec sztucznych kwiatów. Wspierał się na ramieniu około czterdziestoletniej kobiety w zielonym palcie. Po kilku sekundach rozległo się donośne stukanie do drzwi.

Szmit szybkim krokiem przeszła do niewielkiej sieni. Pociągnęła klamkę, po czym wyjrzała na zewnątrz. Zimny wiatr rozwiały burzę jej włosów.

– Co to za procesja, dobrzy ludzie? – wypaliła bez przywitania. – Tu nie Lourdes. Zresztą Mekka też nie – dodała, patrząc na jednego z mężczyzn o śniadej skórze. – To teren sprzątanania, więc błagam, aby mi nie bałaganić... Co wy, słupy soli?

– Anna Bielska. – Kobieta w palcie wysunęła się na przód grupy i wyciągnęła dłoń do Allegry. Zdając sobie sprawę, że ta ma pobrudzone rękawiczki, cofnęła się. – Przepraszam. To pensjonariusze naszego ośrodka... Są głuchoniemi.



- Kara boska lub dopust boży.
- Słucham?
- Nie, nic takiego. W czym mogę pomóc?

Kobieta wykonała niezdarny ruch, po czym zaczęła kolejno wskazywać na mężczyzn.

– To Bernard, to Michał, a to Wiktor. Ten na końcu to Albert. Wszyscy byli bardzo zżyci z panem Engelem. Właściwie to on założył nasz ośrodek i zbierał na niego fundusze.

- A pan Engel to kto?
- No, właściciel tego domu. Zmarły.
- Świeć, Panie, nad jego duszą.

Bielska kiwnęła głową i jakby wywołana przez Szmit, niezdarnie się przeżegnała.

- Amen.
- Ano, amen. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę wrócić do pracy.
- Oni chcieli jedynie postawić znicze.
- Światełka do Boga lub pochodnie przeganiające złe duchy... – Allegra westchnęła. – Skromna pozostałość stosów pogrzebowych. Namiastka ofiary całopalnej składanej ze zwłok lub...

Machnęła ręką, jakby chciała przeprosić za tę paplaninę. Jej uwagę przykuł jeden z mężczyzn. Pokraczny olbrzym o imieniu Bernard, który przed chwilą niósł wieniec. W kącikach jego oczu, podobnie jak u pozostałych, skrzyły się łzy. Pociągał nosem, z trudem powstrzymując się od płaczu. Miał prostokątną twarz, szerokie szczęki i krótkie jasne włosy. Było w nim wiele z wyrośniętego, zawstydzanego dziecka. Uniósł dłonie, po czym w języku migowym zwrócił się do Bielskiej.

– Co on mówi? – Allegra spojrzała na kobietę. – Przepraszam, nie potrafię zrozumieć...

Bielska poprawiła palto i krótko odpowiedziała Bernardowi. Następnie zwróciła się do jego niższego, chudego towarzysza o zapadniętych policzkach. Ten podał jej trzymany w dłoni znicz.

– Proszę, żeby pani postawiła go niedaleko miejsca, w którym zmarł. – Bielska z błagalną miną podała znicz Szmit. Wszyscy mężczyźni

jednocześnie pokiwali głowami, składając dłonie w proszącym geście. – Oczywiście, gdy już posprzątaacie i nie będzie wam przeszkadzał... Oni mają swoje gusła.

Nim Allegra zdążyła odpowiedzieć, zza jej pleców wyszedł Mond. Włożył do kieszeni lateksowe rękawiczki i wziął z szacunkiem znicz, jakby przyjmował Komunię Świętą.

– Oczywiście. – Spojrzał prosto w oczy Bernarda, a potem powiódł wzrokiem po twarzach reszty zgromadzonych. – Jego dusza nie zazna ciemności.

– Dziękuję panu...

– Honoriusz Mond, do usług.

Allegra odchrząknęła.

– Okej, koniec, dobrzy ludzie. Koniec zgromadzenia, msza skończona. – Szmit ponownie wzięła sprawy w swoje ręce. – Musimy tu posprzątać, a lada moment zastanie nas zmrok. Obiecuję, że zmówię za niego modlitwę do pięciu bóstw. W tym trzech monoteistycznych.

Ponura procesja zostawiła resztę zniczy, świec oraz kwiaty przy wejściu do domu, po czym w ciszy skierowała się ku ulicy. Allegra odprowadziła ich wzrokiem. Gdy wróciła do środka, dostrzegła, że Honoriusz ustawił znicz na parapecie, niedaleko miejsca, w którym, jak twierdził, leżały zwłoki. Bez słowa ponownie zabrali się do sprzątanía. Całkowicie pochłonięci pracą nie zwrócili uwagi na postać przemykającą za jednym z okien.



Allegra gwałtownie się wyprostowała i uniosła ponad głowę bawełnianą ścierkę. Wykonała obrót wokół własnej osi, po czym szeroko rozłożyła ręce. Poły jej kombinezonu ochronnego rozchyliły się, ukazując bluzkę z kwiatowym deseniem.

– Y.M.C.A.! – wykrzyczała, zaczynając tańczyć. – Y.M.C.A.!

Honoriusz zawiązał worek śmieci i spojrzał na nią, znacząco unosząc brwi.

– Czy to sposób, w jaki okazujesz szacunek dla energii lub duszy zmarłych?

– Chodź, zatańcz ze mną!

– Przestań.

– Y.M.C.A.!

Szmit, wyginając się w rytmie tańca, wyciągnęła dłoń do Monda.

– Już mi nawet nie jest niedobrze. Czasem trzeba odreagować, a już na pewno należy świętować zakończenie ciężkiego dnia pracy.

– Ale...

– Y.M.C.A.!

– Zachowujesz się jak umarlaki po wywieszeniu nowych klepsydr.

– Skąd ty bierzesz te żarty?

– Czy widzisz, żebym się śmiał?

– Chodź, Honoriuszu Żartobliwy. Do zabawy nie trzeba alkoholu.

– Jesteś nienormalna.

– Tak mówisz do szefowej? – Allegra zrezygnowała z prób zachęcenia Monda do wygłupów. Przez chwilę nadal tańczyła, nucąc piosenkę. Wreszcie rzuciła szmatę na podłogę, zastygła w bezruchu i spojrzała na towarzysza. – Jesteś śmiertelnie poważny, choć przecież jesteś tu i żyjesz. Zawsze dziwiło mnie, że wszystko, co wiąże się ze śmiercią, ma być ponure i nudne. Czarne stroje, żałobna muzyka, łyż... A przecież wystarczy myśleć

o lepszym życiu. O raju, o Elizjum, o... Zresztą. Temu, kto tu umarł, już nic nie zaszkodzi. Albo już rozpułnął się w niebycie, albo jest mu zdecydowanie lepiej.

Honoriusz zmarszczył czoło, spoglądając w róg pomieszczenia. Oświetlał go płomień znicza.

– Albo jest w piekle... – szepnął, mrużąc oczy.

– Co ty pleciesz, ponuraku?

– Dopuszczam rozmaite scenariusze. Poza tym...

– No, co chciałeś powiedzieć? Trzecia droga to droga wyznawców New Age. Jeden z ich mentorów, niejaki Smith...

Honoriusz znacząco uniósł dłoń.

– Czekał! Daj mi pomyśleć.

Zrobił kilka kroków w stronę rogu pomieszczenia. Zatrzymał się i przygryzł wargę. Po chwili pochylił się, aby właściwie uchwycić refleks światła znicza na podłodze.

– Te zwłoki...

– Co z nimi, mój drogi?

– Aby rozpoczęły się procesy tłuszczowe, potrzeba dobrych kilku dni, i to w innej temperaturze. Czy kiedy się tu pojawiłaś, grzanie było włączone?

Allegra zastanawiała się jedynie przez ułamek sekundy.

– Było psio zimno. Normalnie lodówka. Gorzej. Po nocnych przymrozkach zrobił się zamrażalnik. Okno chyba było uchylone, choć wietrzenie niewiele pomogło.

Honoriusz przeciągnął palcem po niedawno umytej podłodze, wiodąc po zarysie refleksu światła. Wciąż dokładnie pamiętał, gdzie znajdowała się warstwa śliskiej, lepkawej substancji.

– Tak jakby coś ogrzewało część zwłok. Skoro to nie było dziecko, wyraźnie widziałem obrys fragmentów ciała, które uległy rozkładowi.

– O czym ty filozofujesz?

– Czy trup miał głowę?

Allegra przewróciła oczami. Zachowanie Monda sprawiło, że całkowicie ulotnił się z niej niedawny humor.

– O ile mi wiadomo, nikogo tu nie zamordowano. Ten facet po prostu zmarł, więc obstawiam, że miał głowę na miejscu.

– W takim razie...

Mond nachylił się do szafki kuchennej i wyjął z kieszeni scyzoryk. Podważył ceratową wykładzinę.

– Co ty, do cholery, robisz? Może nasi klienci chcą ją zachować!

– Powiemy, że przesiąkła smrodem.

– Ale...

– Mówię ci, była nie do uratowania.

– Nie możemy...

Nim Szmit zdążyła powiedzieć coś więcej, Honoriusz szarpnął wykładzinę tak mocno, że ta całym płatem oderwała się od podłogi. Odeszła zaskakująco łatwo, wydając jedynie ciche plaśnięcie. Znajdowała się pod nią doskonale dopasowana kłapa z kolistym uchwytem pośrodku. Jego zarys był tak dopasowany, by wykładzina ani trochę się nie odkształciła.

– Ogrzewana piwnica. – Mond, działając jak w transie, podniósł koluszek i je pociągnął. Kłapa powoli otworzyła się z jękiem zawiasów.

– Niezła skrytka. Naprawdę niczego sobie.

Allegra sięgnęła po znicz i nachyliła się nad otworem. Czerwonawe światło oświetliło wnętrze. Niemal w tym samym momencie kobieta poderwała się na równe nogi. Znicz wypadł jej z dłoni i rozbił się na drobne kawałki.

– Boże śnięty! – wrzasnęła.

– Chyba święty?

– A widzisz, żeby teraz był święty albo przynajmniej trzeźwy lub przytomny?

Mond zamarł w bezruchu, wpatrując się w głąb piwnicy. Z zainteresowaniem zmrużył oczy i wydał wargi. Następnie z szacunkiem zdjął tkwiącą dotąd na jego głowie fedorę.



Chłopiec przypatrywał się ojcu. Wysoki, lecz nieco przygarbiony mężczyzna pracował w całkowitym milczeniu. Działał mechanicznie. Starannie zdezynfekował ciało zmarłego, ogolił mu twarz i obciął paznokcie. Dwukrotnie upewnił się, że żadnego nie przegapił. Taka była procedura, od której nie przewidziano najmniejszego odstępstwa.

Nieboszczyk miał około czterdziestu lat, krótkie ciemne włosy i bardzo szeroką klatkę piersiową z wytatuowanym na żebrach smokiem. To właśnie smok zwrócił szczególną uwagę chłopca. Bestia wiała się i, miotana konwulsjami, rozczapierzała pazury, jednocześnie pożerając swój ogon. Ponad nią, niemal na szyi zmarłego, widniał nakreślony gotycką czcionką napis: DRACO DORMIENS NUNQUAM TITILLANDUS.

„Nie wolno drażnić śpiącego smoka”. Chłopiec nie wiedział, skąd zna tę sentencję, lecz musiał ją gdzieś przeczytać. Miał doskonałą pamięć. Czytanie z czasem stawało się przekleństwem, włączając do jego umysłu mnóstwo zbędnych informacji. Jego kuzynka mówiła, że to przez nie odczuwa wieczny, niedający się stłumić ból. Ból, do którego można się było przyzwyczać, lecz o którym nie można było zapomnieć. Ból kości, mięśni oraz stawów.

Ojciec wtłoczył dotętniczny płyn konserwujący, który miał usztywnić i wzmocnić tkanki zmarłego. Przede wszystkim sprawił, że zielonkawę, rozkładając się ciało ponownie nabrało kształtów. Policzki zaokrągliły się, a lśniąca skóra nieco zmatowiała. Co najważniejsze, formaldehyd stanowił właściwy podkład dla wosków do rekonstrukcji oraz rozmaitych silikonów. Bez niego zwłoki stanowiły masę wyjątkowo niepodatną na jakiegokolwiek zabiegi.

– Umyj mu włosy, a potem uczesz go. – Mężczyzna podszedł do metalowej szafki i otworzył jej górną szufladę. – Patrz. To efekt, do którego dążymy.

Pokazał chłopcu zdjęcie zmarłego. Przez ostatnie dni śmierć zrobiła swoje, lecz rysy wciąż były rozpoznawalne, a co istotne, głowa pozostała nienaruszona. Ułożenie nadpalonych włosów stanowiło nie lada wyzwanie. Stworzenie właściwej, naturalnie wyglądającej peruki tym bardziej.

Chłopiec wziął od ojca zdjęcie i położył je na blacie obok zwłok. Zwolnił hamulce stołu, po czym pchnął go w stronę kąjka sanitarnego. Znajdowały się tam umywalka oraz cały zestaw przyborów toaletowych. Szampony, żele, lakiery, a także przybornik z nożyczkami i grzebieniami.

– Wrócę za kwadrans.

Ojciec cicho wyszedł i chłopiec został w pomieszczeniu sam. Natychmiast zabrał się do pracy. Podniósł głowę zmarłego, by oprzeć ją o specjalną podpórkę. Spojrzał w nie do końca przymknięte, mętne oczy. Przypominały galaretę wymieszaną z białkiem. Rozszerzone rogówki miały niemal przeźroczysty kolor, a wyschnięta spojówka stwardniała.

Exsiccatio. Pośmiertne wysychanie. Proces oparty na tak prostym zjawisku, jakim było ulatywanie wody z martwego organizmu, który przypomina parującą gąbkę albo wyrzucony na brzeg morza kamień. Momentalnie zmieniał się jego kolor, znikwały wszelki blask oraz piękno barw.

Chłopiec oparł się o metalowy stół i przymknął oczy. Kilkukrotnie głęboko wciągnął powietrze, a następnie policzył do dziesięciu. Fala bólu powoli mijała. Wreszcie minęła na tyle, że mógł się poruszyć i rozciągnąć mięśnie. Delikatnie obrócił głowę zmarłego. Odkręcił kran, po czym sięgnął po jeden z szamponów. Powoli zaczął go rozprowadzać po suchych, sztywnych włosach nieboszczyka. Praca całkowicie go pochłonęła.



– Cofnij się. Nie podchodź do włazu, zapnij kombinezon i wyjdź z domu.

Wydawane stanowczym, ale łagodnym tonem polecenia Honoriusza sprawiły, że Szmit wyrwała się z chwilowego odrętwienia. Zamrugła, przytknęła dłoń do ust, lecz nie zwymiotowała. Posłusznie zapięła zamek kombinezonu i cofnęła się do sieni.

– Kiedy wyjdiesz na zewnątrz, staraj się powoli nabierać powietrza i zapanuj nad przyśpieszonym oddechem, bo zemdlejesz.

– Łatwo powiedzieć. Kaszka z mleczkiem.

Mond podniósł się z klęczek i zerknął na Allegrę. Trupią bladość jej twarzy powoli zastępowały normalne kolory. Najwyraźniej po pierwszym szoku wracała do siebie.

– Trzymasz się? – zapytał troskliwym tonem. – Wolałbym się stąd jeszcze nie ruszać, ale jeśli będzie trzeba, wyjdę i zadzwonię po karetkę. Telefon mam w aucie.

Szmit pokręciła głową, co mogło oznaczać dowolną odpowiedź.

– Boże – wyszeptała.

– Spójrz na mnie.

– To jakiś koszmar. Powiedz, że...

– Spójrz na mnie. – Mond delikatnie poruszył się w stronę Szmit. Jednocześnie odsunął się od otworu w podłodze tak, by do środka nie wpadł choćby jeden jego włos. – Spójrz na mnie – powtórzył po raz trzeci, tym razem zdecydowanie głośniejszym głosem.

Allegra ponownie zamrugła i utkwiała w nim spojrzenie pełne przestachu. Jej dłonie drżały, a na twarz wystąpił pot. Skrzył się przede wszystkim pod nosem, w miejscu wysmarowanym żelem mentolowym.

– Tak czy siak, musimy zadzwonić pod sto dwanaście – perorował Honoriusz. – Pójdź do swojego wozu, wybierz numer i daj mi znać, że



wszystko z tobą w porządku. Będę liczył do piętnastu i jeśli cię nie usłyszę, wyjdę stąd. Dobrze?

– T... Tak.

– Wobec tego zrób to.

Allegra ukradkiem naciągnęła rękaw kombinezonu tak, by schować pod nim oplatające nadgarstek bransoletki. Następnie sztywnym krokiem, niczym postać przeniesiona z *Nocy żywych trupów*, wycofała się na podwórze. Zatrzymała się tuż za drzwiami. Drgnęła, rzuciła na ziemię rękawiczki, zdjęła kaptur, po czym założyła za uszy niesforne kręcone loki.

– Chaos, Chaos, Chaos – wypowiedziała trzykrotnie. – Chaos, dupa i kamieni kupa...

Rozpięła kombinezon i głęboko nabrała powietrza.

– Trzymasz się? – Mond się wychylił, by na nią zerknąć. – Czy mam do ciebie przyjść?

– Nie. Już idę po telefon.

– Oddychaj nosem, powoli.

Honoriusz przez chwilę wsłuchiwał się w miarowy odgłos kroków na zwirowej ścieżce. Wreszcie, nabrawszy pewności, że Allegra szybko się pozbiera, ponownie zerknął do piwnicy. Pomieszczenie miało około dwóch metrów na półtora, ale jego część ginęła w mroku i było prawdopodobne, że ciągnie się jeszcze dalej. Jednak blade światło wpadające do środka wystarczyło, by ukazać przerażający widok.

W rogu, niemal na sobie, leżały zwłoki trzech osób. Były to ciała dzieci w trudnym do określenia wieku i w różnym stadium rozkładu. Z pewnością od śmierci ostatniego upłynęło wiele tygodni lub miesięcy. Jedna z twarzy była niemal całkowicie pozbawiona tkanki miękkiej, oczy zionęły czarną pustką otworów, znikły wargi i uwydatniły się zęby, a skóra z czaszki obeszła, zwijając się na skroniach. Uszy zamieniły się w wysuszone, małe wypustki przypominające wędzone psie smaczki. Bez wątplenia od zgonu minęło sporo czasu i ciało uległo częściowej mumifikacji. Musiał temu sprzyjać jakiś sztucznie stworzony mikroklimat lub specjalnie przeprowadzone procesy balsamiczne, gdyż z piwnicy wraz z duszącym

smrodem wydobyła się fala ciepła. Najwyraźniej pracowało w niej ogrzewanie.

Honoriusz zwrócił uwagę, że wszystkie zwłoki ubrane są w jednakowe stroje. Przypominały one niedobrane, porozciągane habity lub...

Z zamyślenia wyrwały go dźwięk kroków i głośnie westchnięcie Allegry.

– Nie liczyłeś do piętnastu.

Mond drgnął i powoli się wyprostował. Starając się stawiać możliwie długie kroki, skierował się do wyjścia. Właściwie po tym, jak wypucowali cały dom, było to bez sensu, ale mimo wszystko wolał uniknąć posądzenia o umyślne zacieranie śladów.

– Policja będzie za kilka minut. Ma przyjechać również ambulans.

– Źle się czujesz?

Honoriusz podszedł do Szmit i stanął tuż obok niej. Położył dłoń na jej ramieniu, po czym delikatnie zacisnął palce.

– Już mi lepiej. – Allegra potrząsnęła głową. – Ale może oni... Może...

Mond nic nie odpowiedział. Z zaciśniętymi ustami surowo wpatrywał się w niebo, jakby rzucał mu wyzwanie lub je przeklinał. Dostrzegł spadającą gwiazdę, a w tym samym momencie z oddali dobiegło się wycie syren. Gnębiło go dziwne przeczucie, że ten dzień się szybko nie skończy. Niestety, miało się ono okazać prorocze.



Komisarz Adam Berg obrócił się w stronę reflektora ustawionego przez techników przed wejściem do domu Wiktora Engela. Nachylił się tak, by światło padało na kartki jego niewielkiego notatnika. Upewnił się, że ostatnie zapiski są czytelne, założył stronę długopisem i zamknął brulion.

– Nadal nie rozumiem, co, do cholery, pana skusiło, żeby podnieść tę wykładzinę... – Cofnął się, robiąc miejsce dla dwóch mężczyzn w kombinezonach ochronnych. Odczekał, aż ci przejdą, i ponuro spojrział na Monda. – Mieliście ten dom posprzątać, a nie przeszukiwać.

– Właściwie jedno z drugim ma wiele wspólnego – wtrąciła się Allegra. – Ta stajnia Augiasza wymagała...

– Prosiłem, aby pani pozwoliła mi porozmawiać z panem Mondem w cztery oczy. Panią już rozpytałem.

– Rozpytał mnie pan? To jakiś slang?

– Proszę się cofnąć. Czy mówię w obcym języku?

– Cerber.

– Słucham?

– Garm.

Szmit, kręcąc głową, odeszła o kilka kroków, a policjant, marszcząc czoło, ponownie spojrział na Monda.

– Garm? – bąknął skonfundowany.

– Pies strzegący bram do nordyckiego piekła – obojętnym tonem wyjaśnił Honoriusz. – Ona nadal jest w szoku.

– I tylko to ją ratuje. A co do pytania...

– Jak już wspomniała Allegra, to jest Felicja, bo tak chyba pan ją wylegitymował, sprzątanie ma wiele wspólnego z przeszukiwaniem. A właściwie poszukiwaniem. Tyle że zamiast kosztowności przetrząsa się centymetr po centymetrze, by znaleźć źródło fetoru, wilgoci lub jednego i drugiego.

- No to udało się je wam znaleźć.
- Wolałbym, aby wyglądało inaczej.
- A przy okazji macie doskonałe usprawiedliwienie usunięcia niemal wszelkich śladów z całego domu. – Berg wymownie mlasnął. – A to pech, no nie?

Mond zerknął w stronę Allegry. Kobieta stała niedaleko radiowozu, popijając coś z przezroczystego bidonu. Zapewne był to jeden z napojów, które codziennie przyrządzała i wozila ze sobą, a które miały zastępować kawę oraz posiłki jednocześnie. Zazwyczaj stanowiły mieszanki świętych wywarów Indian z Amazonii lub amerykańskiej prerii, Aborygenów albo Inuitów. Honoriusz nie miał pojęcia, gdzie zdobywała potrzebne do ich sporządzenia składniki. Nigdy też nie uległ namowom, aby ich spróbować, choć w tym momencie poczuł intensywne pragnienie. Gdyby nie przestępujący z nogi na nogę Berg, poprosiłby Szmit o podzielenie się koktajlem.

– Piwnica pozostała nietknięta – odezwał się, spoglądając prosto w oczy komisarza. Był od niego drobniejszy, ale niemal o głowę wyższy. – Zapewniam pana, że nie zostały tam żadne nasze ślady.

- Zostały? A więc jakieś były?
- Nie zostały zostawione, jeśli łapiemy się za słówka.
- A jednak pańska koleżanka nadmieniła, że po jej wyjściu został pan chwilę w domu sam. Po co?

– Właśnie po to, by nie zatrzeć śladów. – Honoriusz westchnął. – Dwie osoby, poruszając się jednocześnie, roznoszą nie tylko drobiny kurzu, ale także intensywniej zmieniają mikroklimat. Dlatego też ponownie zamknąłem klapę do piwnicy.

- Skąd panu w głowie takie wydumane pomysły?
- Po prostu.
- Po prostu...

Komisarz uśmiechnął się kpiąco i przygryzł wargę. Zabębnił palcami o okładkę notesu. Jego okrągła, nieco nalana twarz w mroku przecinanym mocnym światłem reflektora wydawała się pełna głębokich,

przypominających bruzdy zmarszczek. Rzeczywiście było coś w nim z Cerbera lub spasionego psa stróżującego podwórza mafioza.

– Chłopcy, którzy znaleźli ciało Engela, twierdzą, że trup nagle się do nich odwrócił – odezwał się ni z tego, ni z owego. Nagle jakby dopadło go potworne zmęczenie, przygarbił się i spuścił głowę. – Rozumie pan? Już samo to brzmiało jak koszmar, a teraz jeszcze ten cholerny bonus w piwnicy.

– Odwrócił głowę? – Mond był w pełni świadom zastawionej przez komisarza pułapki, ale zlekceważył ją. Ściągnął poły płaszcza i założył dłonie za plecy. – Czy przypadkiem nie dostrzegli go przez okno?

– Owszem.

– Tamto, prawda? – Wskazał na okno po prawej stronie od otwartych drzwi.

– Mhm. Skąd pan...

– Zapewne któryś z nich oparł się o nie lub usiłował je otworzyć. Mam rację?

Policjant odwrócił się bokiem do Monda i coś pośpiesznie zanotował.

– Nie mam bladego pojęcia. Nie wszczęto żadnych czynności, więc o całej sprawie wiem tylko ze słyszenia. Na wsiach takich jak ta ludzie gadają.

– I zapewne już zaczęli gadać o wąpierzcu, martwcu lub wampirze.

– Głupi lud, głupie zabobony.

– Zazwyczaj tak. – Honoriusz wzruszył ramionami, jakby całkowicie go to nie obchodziło. – Gdyby chłopcy uchylili okno, mogliby sprawić, że do środka wpadłoby świeże powietrze i gwałtownie przyspieszyłyby procesy chemiczne przebiegające w zwłokach. Czasem nabierają naprawdę błyskawicznego tempa, doprowadzając do uwolnienia się gazów, przez co ciało się porusza. Zdarza się też, że nierównomierne ulatywanie ze zwłok wody doprowadza do rozmaitych skurczów mięśni. Nieboszczycy skaczą jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Doprawdy?

Berg schował notatnik do zewnętrznej kieszeni kurtki i wymownie odchrząknął. Zerknął na Monda jeszcze bardziej podejrzliwie niż dotąd.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby warczeć.

– Czy jestem wolny? – Honoriusz dostrzegł ponaglący gest Allegry. Kobieta niecierpliwiła się przedłużającą się rozmową. – Chciałbym sprawdzić, czy z panną Szmit jest wszystko w porządku.

– Na razie jest pan wolny – wycedził komisarz. – Ale...

– Tak, będę do pańskiej dyspozycji. Rano, we dnie, w nocy, zawsze będę do pomocy.

– Żeby pan wiedział, że tak będzie.

Mond skinął głową i powolnym krokiem ruszył w stronę Allegry. Po przejściu kilku metrów odwrócił się do komisarza.

– Te ciała zostały starannie upozowane – rzucił ponuro. – Zanim je ruszycie choćby o milimetr, zróbcie porządne zdjęcia. Ich ułożenie może mieć znaczenie.



– Co to za świństwo?

– Woda święcona.

Mond z rezygnacją spojrział na Allegrę i westchnął. Wziął od niej bidon, po czym uniósł go, starając się cokolwiek dojrzeć w bladym świetle księżyca.

– Znając cię, byłbym nawet skłonny w to uwierzyć. Choć obstawiam, że to jakiś koktajl ożywczy według receptury chińskich szamanów.

– W Chinach nigdy nie było szamanów.

– Zwał, jak zwał. Magów, czarnoksiężników, hochsztaplerów...

Mond po krótkim namyśle pociągnął z butelki sporego łyka. Przez chwilę trzymał płyn w ustach, wreszcie go przełknął.

– Upewniałeś się, czy nie zawiera domieszki tartego czosnku?

– Robisz jakieś aluzje?

Allegra wzruszyła ramionami.

– Biorąc pod uwagę twoją fizjonomię, kiecki oraz zainteresowanie śmiercią, mógłbyś robić za wampira. Ja pijam chichę, a ty pewnie śpisz w trumnie.

– To była chicha? – Honoriusz z uznaniem pomlaskał, jakby chciał ponownie przywołać smak. – I ty ją...

– Tak. Fermentowała w moich ustach.

– Wyborne. Naprawdę smaczne.

– Kiedyś poczęstuję cię chichą moradą z purpurowej kukurydzy. Pewien hurtownik sprowadza ją specjalnie dla mnie z Peru. Albo zrobimy frutilladę z chichy oraz truskawek.

– Brzmi interesująco.

– I tak smakuje. Nic dziwnego, że Indianie używają jej w trakcie ceremonii mających przegonić złe duchy.

Szmit zamilkła. Rozmowa o smakach jej ulubionego napoju nagle wydała się całkowitą abstrakcją. Przed oczami ponownie przewinął się jej widok trzech niemal splecionych ze sobą zwłok. Choć widziała je ledwie przez kilka sekund, wystarczyło, by wrył się jej w wyobraźnię z najdrobniejszymi szczegółami. A może te jedynie teraz dorabiała? Lśniące mosiężne guziki, jakieś kolorowe tasiemki, paski, rzemyki... Nie, nie. To musiała być jej wyobraźnia.

Podążali z Mondem główną ulicą przebiegającą przez Bobolin, ani słowem nie wracając do tego, co się wydarzyło. W oddali nadal migwały światła radiowozów i słychać było pokrzykiwania reporterów usiłujących wyciągnąć cokolwiek z pracujących na miejscu techników. Większość mieszkańców wsi już od dawna wiedziała o sensacyjnym odkryciu, ale co symptomatyczne dla współczesności, zamiast na miejscu, śledziła relację przed ekranami telewizorów lub telefonów, dlatego okolica wydawała się niemal opustoszała. W gospodarstwach ujadały psy, które wciąż nie doczekały się kolacji, i gdakały niezagonione do kurników kury.

Allegra zamierzała przespacerować się sama, by opanować emocje przed drogą powrotną do Krakowa. Nie czuła się w stanie prowadzić. Gdy Honoriusz zaproponował jej towarzystwo, początkowo się opierała, przekonując go, że jedynie chce rozprostować kości po sprzątaniu, wreszcie zgodziła się, nie przyznając, jak wielką sprawił jej tym ulgę. Nie chciała ani prowadzić, ani włączyć się samotnie po okolicy. Jednak w tym momencie po raz pierwszy znaleźli się tak długo *tête-à-tête*, do tego w scenerii oderwanej od obowiązków zawodowych. Oczywiście, do Bobolina przybyli, aby posprzątać cholerną chałupę, ale to właśnie do chałupy powinno się ograniczyć pole ich wspólnej bytności.

Mimo poczucia ulgi, a nawet wdzięczności z towarzystwa Monda, Szmit czuła zakłopotanie. Wbrew pozorom wiedziała bardzo niewiele o tym wysokim jak tyczka, kościstym mężczyźnie. Intrygował ją, może nawet więcej niż intrygował, lecz jednocześnie nie potrafiła go rozszyfrować. Miał swoje tajemnice, do których nie dopuszczał nikogo z pieczołowitością Boruty strzegącego skarbu ukrytego w łączyckim zamku. Potrafił wybornie lawirować, zmieniać tematy, unikać mówienia o własnej przeszłości



i poglądach na sprawy, o których oględnie prawił dość często. Nawet religijność, zazwyczaj przez niego wykpiwana i wrzucana do jednego worka z gusłami oraz zabobonami, stanowiła pewne niedopowiedzenie.

Szmit miała przygotowaną pulę pytań, na które chciała uzyskać od niego odpowiedzi, lecz wciąż powstrzymywała się przed ich zadaniem. Jednak tego wieczoru, w momencie gdy mijali zamknięty skup owoców z wielkim podwórzem oświetlonym mrugającą latarnią, coś w niej pękło.

– Mówiłam ci, że jesteś dziwny... – rzuciła, patrząc przed siebie. – Ale dziwactwo niczego nie wyjaśnia.

Mond się nie odezwał, więc Szmit perorowała dalej:

– Dziwactwo sobie, ale twoja wiedza oraz doświadczenie sobie... Gdybym cię zapytała, skąd to wszystko wiesz, odpowiedziałbyś mi?

– Skąd wiem co? – zagadnął niewinnie Honoriusz. Ukradkiem zacisnął pięści schowane do kieszeni rozpiętego płaszcza. – Chyba przeceniasz moją wiedzę.

– Już się wycofujesz!

– Nie. Po prostu dużo czytam i mam wiele...

Allegra weszła mu w zdanie.

– Oboje jesteśmy zafiksowani na tym samym temacie.

– To znaczy?

– Życia. Choć ciebie chyba zdecydowanie bardziej interesuje śmierć, ale to właściwie aspekt tego samego.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Czuć to od ciebie na kilometr, a ja mam na pewne sprawy wyjątkowo wyczulone zmysły.

Honoriusz chciał odpowiedzieć jakimś pokrętnym bon motem, lecz w tym momencie usłyszał ciężkie dyszenie. Odwrócił się, jednak lampa na składzie zgasła, a jego oczy nieprzyzwyczajone do kompletnej ciemności z trudem ją przenikały. Dopiero po chwili dostrzegł wyłaniającą się z półmroku zwalistą postać. Po kolejnych dwóch lub trzech sekundach zdał sobie sprawę, że w ich stronę podążał jeden z głuchoniemych wychowanków pana Engela.

– Bernard... – powiedział, możliwie szeroko otwierając usta.

Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków od nich, po czym zaczął szybko mówić w języku migowym. Bardzo chciał im coś przekazać, lecz nic z tego nie rozumieli.



– Pójdźmy do ośrodka, tam pani Bielska pomoże nam się dogadać.

Na te słowa Bernard lękliwie się cofnął i uniósł dłonie. Jednocześnie energicznie pokręcił głową. Najwyraźniej chciał zachować w tajemnicy to, co usiłował przekazać Szmit oraz Honoriuszowi.

– Sami nie potrafimy cię zrozumieć... Przepraszam.

– Czy coś się stało? – dopytywała Allegra. – Możesz nam to pokazać w inny sposób?

Bernard uważnie spoglądał na ich usta, starając się rozszyfrować kolejne słowa. Musiał przy tym tak się ustawiać, by nie zasłaniać światła padającego z nieodległej latarni oraz ze skupu owoców. Bez niego w ciemności nie byłby w stanie dostrzec ruchu warg. Nagle poruszył się i wycelował palcem w Monda. Kilukrotnie nerwowo nim potrząsnął.

– Nie rozumiem... – westchnął mężczyzna. – Wybacz, ale nie rozumiem...

Allegra zmrużyła oczy, usiłując odgadnąć, o co chodzi głuchoniememu. Ten przez kolejne sekundy przytykał dłoń do ucha i odejmował ją od niego. Nagle kobieta pstryknęła palcami.

– On chce twój telefon!

– Telefon?

– Wzięłeś z auta komórkę, prawda?

Honoriusz skinął głową. Rzeczywiście, zanim wybrali się na przechadzkę, zamknął jaguara i wziął ze schowka telefon. Zrobił to odruchowo, choć rzadko z niego korzystał i zazwyczaj miał wyciszone dzwonki.

– Podaj mu go. – Pośpieszyła go Allegra. – I odblokuj.

Mond posłusznie wyjął komórkę, po czym wpisał hasło. Domyślając się, do czego jest potrzebna Bernardowi, otworzył pole wiadomości tekstowej. Wiedział, że część głuchoniemych pozostaje niepiśmienna, lecz wielu

przyswaja zasady rządzące się językiem oraz potrafi posługiwać się nim w piórze. Jest to dla nich trudne, ale jak najbardziej wykonalne.

Bernard przez chwilę przypatrywał się komórce Honoriusza, jakby wahał się, czy postępuje właściwie. Jeszcze raz zerknął na Allegrę, następnie przeniósł wzrok na Monda i cicho wypuścił powietrze. Uchwycił pewniej telefon, po czym ostrożnie zaczął naciskać kolejne przyciski.

– Spokojnie, nie śpiesz się.

Szmit chciała, aby się rozluźnił, lecz mężczyzna w tym momencie nie poświęcał jej ani krztyny uwagi. Całkowicie koncentrował się na wystukiwanej wiadomości. Kilukrotnie coś kasował, poprawiał, wreszcie zrezygnowawszy z dalszych zmagania, oddał telefon Honoriuszowi.

– Udało się?

Mond musiał ponownie wpisać hasło i wybrać odpowiedni folder. Wiadomość wpisana przez Bernarda była krótka, lecz bardzo wymowna.

– Cholera... – Honoriusz obrócił komórkę tak, by Allegra mogła odczytać wiadomość. – Powinniśmy z tym pójść do komisarza.

Na te słowa Bernard nerwowo pokręcił głową i uniósł ręce, chcąc im coś przekazać, lecz szybko zrezygnował.

– Mamy tego nie robić? – zapytał Mond. – Dlaczego?

Bernard jedynie machnął dłonią. Odwrócił się i pośpiesznie oddalił, znikając w mroku bocznej ścieżki. Dopiero teraz Honoriusz dostrzegł stojącą niedaleko nich tablicę ze strzałką oraz napisem: „Dom Ciszy”. Ponownie zerknął w ekran telefonu i zagryzł usta.

– Co to, u licha, znaczy? – Szmit stanęła tuż obok niego. – Może powinniśmy go zatrzymać?

Mond jedynie pokręcił głową.



– O co w tym wszystkim chodzi?

Allegra rozparła się w fotelu jaguara i zagryzła usta. Włączony przez Monda nawiew przyjemnie ją otulał. O szybę auta rozbijały się pojedyncze krople nocnego wiosennego deszczu. Mimo to w środku było bardzo przytulnie. Szmer ściszonego radia dobywał się z najwyższej klasy głośników. Właściwie Szmit już czuła się na siłach, by wrócić własnym autem, lecz spotkanie z Bernardem przyniosło wiele pytań, które potrzebowała wyrazić.

Honoriusz splótł dłonie na piersi i oparł głowę o zagłówek. Jego twarz niezmiennie nie zdradzała żadnych emocji, lecz bystre, całkowicie rozbudzone spojrzenie błędziło za oknem, jakby mężczyzna był zdolny przenikać mrok. Wokół panowała niemal zupełna ciemność, nierozjaśniana już miganiem stroboskopów ani reflektorami techników. Ci nadal pracowali wewnątrz domu Engela. Na poboczu stało jedynie kilka wozów ekip telewizyjnych, których techniczne oświetlenie od czasu do czasu wpadało do jaguara.

Allegra powoli odwróciła się do Monda i przekrzywiła głowę.

– Dlaczego nie wyraził tego wprost? – Energicznym ruchem założyła włosy za uszy i poprawiła beret. – Dlaczego sformułował to właśnie w taki sposób?

– Ze względu na to, że język polski, tak jak każdy inny język mówiony, dla głuchoniemych jest obcy. Dlatego popełniają błędy, ale potrafią przekazać sedno.

– Tylko czym jest to sedno?

– Raczej jakie jest.

– Bawisz się w komisarza... Jak mu tam? – Allegra mlasnęła. – Berga?

– Taaa... Berga.

– Więc co wydedukowałeś? Powinniśmy zatrzymać tego całego Bernarda i namówić go, żeby wyjaśnił, o co mu chodzi.

Honoriusz pokręcił głową. Położył dłonie na skórzanej kierownicy, choć silnik był wyłączony.

– Nie widziałaś, jak bardzo był zdenerwowany? Chciał zachować wszystko w tajemnicy. Poza tym nasze zdolności rozumienia języka migowego sprowadzają się do pojęcia, co znaczy wyprostowany środkowy palec.

– Znam jeszcze kilka innych gestów.

Mond nie zwrócił uwagi na tę uwagę.

– Nie jesteśmy śledczymi – zawyrokował stanowczo. – Nie powinno nas obchodzić, co tu się dzieje ani co już się wydarzyło. Naszym zadaniem było posprzątać dom. Kropka.

– Pan Tajemniczy ma swoje traumy?

– Przestań.

– Powstrzymałeś mnie przed zatrzymaniem Bernarda, jakbyś się czegoś bał. – Allegra spoglądała na towarzysza, lecz jego wzrok nadal utkwiony był za oknem. – Czego? Chodziło ci, aby trzymać się z dala od śledztwa? A jednak to ty zdarłeś tę cholerną wykładzinę.

– Poniosło mnie.

– Poniosło?! A parę trupów pod podłogą już cię nie ponosi? Wiadomość od kogoś, kto może wiedzieć coś więcej, również?

Honoriusz fuknął. Gwałtownie odwrócił się w stronę Szmit i gniewnie sięgnął po telefon. Odblokował go, po czym obrócił do niej ekran z wyświetloną wiadomością.

– „Zaginieni nie sami” – odczytał. – To bełkot, rozumiesz? Głuchoniemi często żyją w świecie swoich fantazji!

– Część tak, ale nie wszyscy. Poza tym...

– Zaginieni nie sami? Tak, po śmierci z całą pewnością ktoś im towarzyszy, a wcześniej też zapewne nie byli sami. Ktoś ich załatwił i sprofanował ciała, ktoś męczył ich i katował, byle tylko...

Mond urwał w pół zdania. Opuścił głowę i głośno sapnął.

– Przepraszam.

– Nie masz za co. – Szmit wyciągnęła ku niemu dłoń, lecz zaraz ją cofnęła. Bransoletki na jej nadgarstku odbiły refleks światła. – To ja przepraszam...

– Daj spokój.

Mond poprawił się w fotelu i zacisnął zęby. Przez chwilę milczał, głęboko się nad czymś zastanawiając. Sztywny kołnierzyk koszuli wbijał mu się w podbródek, a mimo to odruchowo jeszcze mocniej ścisnął węzeł krawata. Allegra niezmiennie zastanawiała się, jakim cudem nigdy mu nie przeszkadza, lecz uznała, że schludność członka firmy sprzątajacej to dla niej najlepsza wizytówka. Poza tym, aby zrozumieć Honoriusza, należało spoglądać na niego nie z perspektywy obniżonych kryteriów dwudziestego pierwszego wieku, ale najbardziej wysublimowanych standardów epoki wiktoriańskiej.

Honoriusz cicho odchrząknął. Ponownie odwrócił się do towarzyszki, lecz tym razem jego twarz miała zwyczajny, łagodnie obojętny wyraz.

– Wierysz w lepsze życie? – zapytał z pełną powagą. – W życiu po życiu w ogóle?

Allegra nad odpowiedzią nie zastanawiała się ani przez moment.

– Wierzę w karmę, w nirwanę, w raj... Jestem przekonana, że po śmierci coś nas czeka.

– Doświadczyłaś czegoś nadprzyrodzonego czy to po prostu wiara?

– Doświadczyłam wielu zjawisk, które nazwano by ponadnaturalnymi. Doświadczają ich wszyscy z nas, choć większość robi, co może, aby nie dopuścić ich do świadomości.

Mond kiwnął głową.

– A piekło? Myślisz, że istnieje?

– Jedynie jako pogróżka papieża dla heretyków. Bóg jest zbyt miłosierny, aby pozwolić, by istniał taki nędzny twór.

– Właśnie. – Honoriusz nieco się rozluźnił. – Ja nie wierzę w nic, choć chciałbym wierzyć. A jeszcze bardziej zazdroszczę ludziom, którzy nie wierzą, lecz wiedzą. Takim jak... ty.

Allegra uśmiechnęła się szeroko. Ponownie wyciągnęła rękę ku Mondowi, ale tym razem nie zawahała się, by złapać go za dłoń. Ta była

zaskakująco zimna i sucha.

– Zamarzasz. Powinieneś podkręcić grzanie.

Honoriusz delikatnie pogładził palcem jej skórę.

– Wiesz, że przed czterema stuleciami istnieli bracia polscy? – zapytał zadumany. – Nazywa się ich arianami, ale to zbyt uogólnienie. Ostatecznie zostali wypędzeni z tego rzekomego rajy dla innowierców, jednak wcześniej przez kilkadziesiąt lat głosili doktrynę pełną miłości, pochwały rozumu oraz negującą istnienie piekła.

– W Hiszpanii spłonęliby na stosie.

– Dlatego wyemigrowali do Węgier i do Kanady. W Kanadzie, zdaje się, jest zbyt zimno na stosy.

Uśmiechnęli się do siebie. Allegra puściła dłoń Monda i poprawiła kołnierz płaszcza.

– Czy coś się stało, czy to te trupy zepsuły nam obojgu humory? – zapytała, odwracając się do drzwi. – Gdybyś chciał mi o czymś powiedzieć...

– Nie.

– Często mam wrażenie, że coś w tobie siedzi. Nawet gdy sprzątam, zbierasz się, ale w ostatniej chwili zmieniasz temat.

– Nie – powtórzył oschle Mond. – Naprawdę. Ale dziękuję za troskę.

– Wobec tego... Chyba już pójdę.

– Dasz radę prowadzić?

– Tak. Ale jeśli...

Szmit zawiesiła głos. Przez moment czekała na reakcję Augusta, jednak ten milczał, tępo wpatrując się przed siebie. Nie była pewna, ale zdawało się jej, że ma zaczerwienione oczy i przesadnie często mruga. Poczuli się nieswojo.

– Dobranoc – powiedziała, wysiadając z auta. – Do jutra.

Mond nie odpowiedział. Jedynie ledwie zauważalnie skinął głową, a gdy drzwi się zamknęły, natychmiast uruchomił silnik. Podgłośnił radio, dokładnie w momencie, gdy rozpoczynał się program informacyjny. Już pierwsza wiadomość sprawiła, że serce zabiło mu mocniej.



– Cholera... – wyszeptał w sposób, w jaki dżentelmeni wyrzucają z siebie najgorsze przekleństwa.



Gdy wzejdzie słońce i zginie mrok,  
Ta trupa wnet przyśpieszy krok.  
Tak szybko hen zmierzają tam,  
Gdzie czeka już wędrowiec sam.

Martwe ma oczy i martwy głos,  
Białe robaki jedzą mu nos.  
Z gnijących warg wychodzi giez,  
Spójrz! Ten wędrowiec za tobą jest!





Oficer prasowy policji był lakoniczny, ale jego komunikat nie budził żadnych wątpliwości. Pod domem Engela rozciągała się sieć piwnic oraz korytarzy, w których natrafiono na kolejne ciała. Nie sprecyzowano natomiast, ani do kogo należały, ani jak wiele ich było. Nadal, mimo nacisków dziennikarzy, rzecznik powstrzymywał się od jakichkolwiek dywagacji dotyczących przyczyn zgonów odnalezionych osób. Oczywiście zapewniał, że więcej informacji w tej sprawie będzie mógł udzielić dopiero, gdy zostaną przeprowadzone autopsje. Tymczasem należało zakończyć oględziny miejsca odnalezienia ciał oraz zweryfikować pierwsze dowody. Sprawa miała charakter rozwojowy i właśnie to wydawało się najbardziej niepokojące.

W pierwszym odruchu Mond chciał podzielić się wieścią z Allegrą. Jednak gdy już miał wybrać jej numer, uznał, że to nie jest najlepszy pomysł. Po co miał ją dodatkowo denerwować? Po co komukolwiek przekazywać parszywe informacje? Tym bardziej że na nic nie mogli mieć wpływu. Otarli się o tę sprawę zupełnie przypadkiem, a gdyby nie on, być może nawet nie zwróciliby na nią uwagi. Ani jedno, ani drugie nie śledziło pilnie informacji i nie orientowało się, czym żyły internet oraz portale społecznościowe. Funkcjonowali w pewnym oderwaniu od problemów codzienności, więc nie miało sensu ich rozkopywanie.

Honoriusz i tak miał sobie za złe, że nie odprowadził Szmit do auta. Zbyt mocno przyzwyczał się, że by stłumić emocje, wystarczy zamknąć się w sobie. Tak jak angielscy dżentelmeni wyznawał zasadę każącą tym ciszej mówić, im bardziej było się zdenerwowanym. Tyczyło się to również jakiegokolwiek innej ekspresji. Musiał jednak w końcu nauczyć się normalnie funkcjonować. Tematy poruszane przez Allegrę nie powinny wyrzeć na niego żadnego wpływu. Ale z drugiej strony...

– Halo, co podać, panie zamyślony?

Spojrzał w okrągłą, skrzącą się od potu twarz barmana o przezwisku Franc. Zresztą być może było to jego prawdziwe imię, ale wszyscy uważali, że jest jedynie nadaną mu przez klientów ksywką, o tyle uzasadnioną, że od lat pracował w CK Browarze.

– Piwko czy absynt?

Od niedawna w ofercie lokalu nawiązującego do austro-węgierskiej tradycji pojawił się czeski trunek, który natychmiast przypadł Honoriuszowi do gustu. Choć pozbawiony był oryginalnych właściwości piołunu, i tak potrafił poprawić humor.

– Z cukrem i fajerwerkami – zdecydował Mond. – Od razu dwa.

– Robi się, moje słońce monarchii. Coś do jedzenia?

– Nie. Szybkie dwie porcyjki i do łóżka.

– O tak wczesnej porze? Może chociaż frytki CK?

– Frytki CK? Smażone na tyrolskim oleju czy sporządzane z galicyjskich kartofli?

Franc wystawił koniuszek języka, starannie odmierzając nalewany przez cukier absynt. Odstawił butelkę i podpalił zapalniczką alkohol. Płomień zwrócił uwagę stojących w pobliżu klientów.

– Nie – odparł po chwili. – Ale te frytki gaszą nawet galicyjski głód, a Wiosnę Ludów zamieniają w Lato Beztroski.

Franc słynął z wymyślanych na poczekaniu bon motów oraz haseł reklamowych i kilka osób wesoło zarechotało. Honoriusz jednak pozostał całkowicie poważny. Szybko wypił zawartość obu kieliszków, po czym uregulował rachunek i skierował się do wyjścia.

Czasem wprost z CK Browaru maszerował do Bull Pubu, gdzie spędzał wieczory, wsłuchując się w szum tła. Szczególnie lubił to miejsce, gdy reprezentacja Anglii rozgrywała jakiś mecz i w pubie pojawiali się kibice wprost z Wysp. Miał wtedy wrażenie, że przenosi się w czasie oraz przestrzeni. Kibice oraz kibole. Było w nich coś atawistycznego. Teraz jednak nie miał najmniejszej ochoty wędrować do kolejnego lokalu i skierował się prosto do hotelu.

Planty pachniały deszczem, a zimny wiatr rozwiewał poły płaszcz Monda. Brakowało mu jedynie cylindra, by upodobnił się do tysięcy

podobnie ubranych postaci, które przemykały tędy przed ponad stu laty. W połowie drogi nagle się zatrzymał i głęboko wciągnął powietrze. Czuł, że nie zaśnie. Kolejne obrazy przewijały mu się przed oczami. Wspomnienia zwłok odnalezionych w domu Engela, rozmaite szczegóły, fragmenty wydarzeń, jego własna przeszłość i znów zwłoki, szczątki, śmierć... A potem jeszcze więcej zwłok. Od zawsze, odkąd pamiętał... Dziesiątki, setki, może więcej.

– Dość... – syknął sam do siebie. Przyłożył palce do skroni i delikatnie je rozmasował. – Dość, dość.

Przełknął ślinę, przywołując ostry ziołowy posmak absyntu. Odkaslnął. Następnie krok za krokiem powłókł się wzdłuż plant, kierując się ku Kazimierzowi. Miał coś do zrobienia. Nadszedł najwyższy czas.



– Co pan robi, panie Mond? Dokąd idą ci panowie?

– Do mojego pokoju.

– Ale...

Honoriusz komenderował dwoma spotkanymi na ulicy zakapiorami, którzy wnosili przewieziony taksówką transportową sprzęt.

– Przecież to pianino. Chce pan na nim grać?

– To szpinet, panie portier.

– Szpinet?

– Odmiana klawesynu, ale z pojedynczym naciągiem strun.

Portier sięgnął do czoła, jakby chciał otrzeć pot, ale zaraz bezradnie rozłożył ręce. Był dystyngowanym, perfekcyjnie pełniącym swe obowiązki mężczyzną po sześćdziesiątce. Nosił zawsze doskonale wyprasowany uniform i pilnie dbał o krótki, regularny wąsik. Właśnie za te przymioty Mond wyjątkowo go cenił. Człowiek wyglądał jak żywcem przeniesiony z przedwojennej Astorii.

– Czy z kimkolwiek pan to uzgadniał? – dopytywał portier. – Przecież to ingerencja w pokój.

– Jaka tam ingerencja? Skoro można wnieść, można i wynieść.

– Ale dźwięki, melodia! Mogą przeszkadzać innym gościom.

– Zapewniam pana, że... Panowie, ostrożnie! – Mond podbiegł, by nie dopuścić, aby instrument uderzył o zdobioną barierę schodową. – Zapewniam pana, że gra wyjątkowo cicho, a barwa dźwięku... – Cmoknął w powietrze. – Cud, miód, malina, jak kiedyś mawiano.

– Ale jest już dwudziesta druga!

– Jutro poproszę o wyciszenie drzwi. W dzisiejszych czasach to żaden problem, a i tak by się tu przydało.

– Nigdy nikt nie narzekał.

– W takim razie nie ma się pan o co martwić, czyż nie?



Po tej uwadze portier jak niepyszny pokręcił głową. Nie była to jego pierwsza utarczka słowna z Honoriuszem, który w ciągu paru tygodni dokonał niejednej modernizacji pokoju. Choć przyznać należy, że hotelowe wyposażenie oraz dekoracje i tak były bliskie jego gustowi. Drewniane, porządne meble, lustra, obrazy, tapetowane ściany, stiuki i drobne elementy ozdobne. A przede wszystkim elegancka łazienka z wanną na mosiężnych nóżkach oraz piękną umywalką tchnęły duchem dawnych wspaniałych czasów.

Wreszcie szpinet stanął pośrodku przestronnego pokoju. Miejsca było wystarczająco, aby swobodnie wyjść na balkon oraz przejść obok łóżka. Instrument wymagał strojenia, lecz Mond nie mógł się doczekać pierwszych taktów. Czuł, że będzie mógł zasnąć tylko, jeżeli ukoji się wydobywającą się spod jego własnych palców muzyką. Jak niegdyś, w dzieciństwie, gdy przed pójściem do łóżka matka pozwalała mu na kwadrans gry. Z czasem zaczął coraz częściej improwizować, ale i tak jednymi z jego ulubionych utworów pozostały *Kołysanka* Brahmsa oraz *Sonata księżycowa* Beethovena.

Poczuł chęć ucieczki w inne światy. Nie zdejmując kapelusza, przyciągnął obity czerwoną tapicerką fotel i otworzył klapę szpinetu. Przymykając oczy, położył palce na klawiszach. Znał najdrobniejszą nierówność każdego z nich i przebiegł go dreszcz ekscytacji. Wyprostował się, po czym zamarł w bezruchu. Po chwili pozwolił się nieść muzyce. To, że jego palce zaczęły wygrywać *Arię na strunie G* z suity orkiestrowej Bacha, odbywało się gdzieś poza jego świadomością. Może właśnie o takim doświadczeniu ponadnaturalnym mówiła Allegra? Gdyby ktoś twierdził, że muzyka może stanowić łącznik rozmaitych światów oraz wymiarów, Mond mógłby się z nim zgodzić.

Nie zwracał uwagi na niedoskonałości strojenia. W jego umyśle wygrywana melodia pozostawała bezgranicznie czysta i pozwalała pozbyć się dręczących go dotąd myśli. Znikały wspomnienia zwłok, szkieletów oraz rozmaite obrazy z bliższej oraz dalszej przeszłości. Mond uspokajał się, całkowicie oddając muzyce. Zatapiał się w niej jak nurek zanurzający się w głębinach oceanu. Pozwalał się jej otulić i pochłonać.

Nicość. O ileż lepsza była w takiej formie, niż gdy myślało się o niej jako o zupełnym niebycie. Po śmierci ludzie mogliby zamieniać się w doskonałe, cudowne wibracje. To była ostatnia świadoma myśl Monda. Przez kolejne kilkanaście minut gra zajmowała każdy przejaw jego jestestwa. Wreszcie oparł dłonie o poręcze fotela, odchylił głowę i zasnął. Mimo to tej nocy znów miały dręczyć go koszmary.



Mond pracował od wczesnego poranka. Minęła ósma, gdy z niezadowoleniem spojrzął na owoc kilkugodzinnego trudu. Mazerunek nanoszony na międzywojenne biurko był zbyt ciemny. Imitacja słoików zbyt mocno kontrastowała z miodową barwą drewna. Istniało kilka rozwiązań tego problemu, lecz najpierw Honoriusz postanowił napić się bawarki.

W niewielkim imbryku na przenośnej kuchence zaparzył ulubioną angielską *breakfast tea*. Dolał do niej kapkę kupionego w dystrybutorze mleka i usiadł na pozbawionym tapicerki fotelu nożycowym.

Upił ledwie kilka łyków, gdy ktoś zapukał do drzwi jego pracowni. Następnie, nim zdążył się odezwać, drzwi się otworzyły i do środka wszedł zwalisty mężczyzna. Miał pochyloną głowę, zapiętą pod szyję kurtkę, a w dłoni trzymał ociekający wodą, złożony parasol. Odstawił go na bok, po czym skierował się ku Mondowi. Dopiero teraz Honoriusz rozpoznał komisarza Berga. W dziennym świetle policjant prezentował się młodziej niż poprzedniego wieczoru, a jego bokierska uroda nabierała pozorów ogłady. Szeroka twarz, płaski nos, prostokątne czoło, wszystko to łagodniało w zestawieniu z bystrymi ciemnymi oczami.

Mężczyzna uważnie rozejrzał się po pracowni, przeciągnął dłonią po oparciu niedawno odrestaurowanego brzożowego krzesła i sprawdził, czy aby na opuszcze palca nie zebrał się kurz. Ukontentowany z rezultatu doświadczenia kiwnął głową, po czym skupił uwagę na Honoriuszu.

– Ładnie się pan tu urządził – mruknął. – Choć sąsiedztwo chyba nie należy do najprzyjemniejszych, co?

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

– Jakby się pan tu chował. Na rubieżach miejskiej cywilizacji.

Mond ostrożnie odstawił filiżankę bawarki na kryty czeczotą stolik. Wstał i odruchowo założył dłonie za plecy.

– Znajdujemy się w środku miasta. Sto metrów stąd mieściła się największa synagoga, niewiele dalej główny cmentarz żydowski, na Wawel jest raptem...

– Wie pan, co miałem na myśli – przerwał mu Berg. – Poza tym cmentarzy nie postrzegam jako najludniejszych kwartałów.

– Kwestia perspektywy.

– Być może. Rzeczywiście, coś w tym jest.

Komisarz ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu i niby oglądając pracę Honoriusza, wyciągnął szufladę odnawianego biurka, następnie ostrożnie ją zasunął i odchrząknął. Mond obserwował to wszystko bez cienia zdenerwowania, nawet z wyrazem pewnego ironicznego zaciekawienia.

– Co pana sprowadza, komisarzu? – zagadnął, odwracając się do policjanta bokiem. – Mogę panu zaproponować jedynie herbatę lub mleko.

– Nie pijam ani jednego, ani drugiego.

– A chichę?

– Co proszę?

– Nie, nic takiego. Tylko sonduję pewien typ ludzi, odbiorców napoju pozyskiwanego z kukurydzy, która fermentuje pod wpływem enzymów znajdujących się w ślinie. Co ciekawe, napój ten, a raczej...

Komisarz ponownie mu przerwał, tym razem nerwowo machnąwszy dłonią.

– Daj pan spokój czokom czy jak im tam. Przeprowadziłem drobny wywiad.

– Nie wiedziałem, że jest pan dziennikarzem. – Mond wypowiedział tę kąśliwą uwagę bez cienia emocji.

– Widzę, że od rana trzyma się pana doskonały humor?

– Raczej od naszej wczorajszej rozmowy zwracam uwagę na słowa. Ale, ale... Mówił pan o jakimś wywiadzie. Z kim?

Berg parsknął.

– Powinien pan raczej zapytać, na jaki temat. Skoro kontynuujemy naszą zabawę.

– To pan ją zaczął.

– Pal diabli. To bez znaczenia.

– Więc na jaki temat pan przeprowadził wywiad?

Komisarz spojrział prosto w oczy Honoriusza i przechylił głowę.

– Na pański – wycedził.

Mężczyźni zmierzyl się wzrokiem, jakby czekając, który pierwszy ustąpi lub który choćby się odezwie. Twarz Monda przez ułamek sekundy wykrzywił bolesny grymas. Momentalnie jednak Honoriusz się opanował i wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żebym był wdzięcznym tematem do rozmów – odparł obojętnym tonem. Sięgnął po filiżankę i upił łyk bawarki.

Komisarz nie odrywał od niego wzroku.

– Jest pan przesadnie skromny, panie Vidocq. Tak pana nazywali przyjaciele z Warszawy, prawda?

– Dawno temu. – Mond powiedział to, będąc nadal obróconym do komisarza bokiem. Upił kolejny łyk, po czym odstawił pustą filiżankę na stolik. Zerknął na grupę łobuzów płaczących się po podwórzu kamienicy. Wszyscy przez chwilę przysłuchiwali się przemowie jedynej towarzyszki, nagle Watażka energicznie potrząsnął głową, jeden z jego kompanów ukradkiem wskazał w stronę warsztatu Honoriusza i ułamek sekundy później całe towarzystwo rozwiało się jak kamfora. – To przezwisko to naprawdę stare czasy.

– Jak to pan zgrabnie ujął, to tylko „kwestia perspektywy”.

– Może.

Berg splótł ręce na piersi i oparł się ramieniem o popękana ścianę. Na podłogę spadł płatek tynku. Honoriusz powoli odwrócił się w jego stronę.

– Czego pan chce? – zapytał lodowatym tonem. – Czy naprawdę interesuje pana moja przeszłość?

– Intrygowało mnie, dlaczego nosił pan przezwisko po nędznym awanturniku, złodzieju oraz oszuście.

– Czy pańska ciekawość została zaspokojona?

– Tak. Z pewnością.

Berg odsunął się od ściany i otrzepał ramię. Zrobił krok w stronę Honoriusza.

– Vidoq przede wszystkim był geniuszem – stwierdził dumnie Mond. – Wszechstronnym geniuszem swoich czasów.

Komisarz cicho parsknął.

– Owszem, dowiedziałem się również, że ma pan cholernie wysokie poczucie własnej wartości.

– To grzech? Poza tym zdaje się, że spędził pan pracowitą noc, ale poświęcając się całkowicie nieistotnym kwestiom. Chyba ma pan kilka ciał na głowie?

Berg zlekceważył tę uwagę Monda.

– Od razu wydał mi się pan znajomy – ciągnął. – Dopiero po powrocie do domu uświadomiłem sobie, że widziałem pana podczas wykładów w Warszawie. „Leonardo da Vinci kryminalistyki”, tak mówili o panu studenci.

– To już mogła być lekka przesada. Leonardo z pewnością miał lepszą kreskę niż ja.

– Wiem też, jaką nazwę ukuł pan dla siebie i swojej katedry, doktorze.

Mond drgnął, jakby przeszył go lodowaty dreszcz.

– Mortalista – wycedził Berg, po czym powtórzył, zniżając głos do szeptu: – Mortalista.



Przez kilkanaście sekund w pracowni Monda panowała całkowita cisza. Przerwał ją Berg, który zrobił krok w stronę drzwi i pstryknął palcem w mosiężny dzwonek.

– Mortalista – powtórzył po raz trzeci, tym razem znacznie głośniej. – Specjalista od umierania i wszystkiego, co z nim związane. Od śmierci i śladów, jakie kostucha pozostawia na ciałach oraz w miejscu, w którym dopadła człowieka.

Mond ponownie przybrał zwykły, obojętny wyraz twarzy. Usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął zdobioną srebrną lufkę. Umieścił w niej krótką cygaretkę, po czym sięgnął po leżące na parapecie zapalniczki. Zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał obecności komisarza.

– Niemal bezbłędnie przytoczył pan opis mojego fakultetu – powiedział z cygarniczką w ustach. Odpalił zapalniczkę i głęboko się zaciągnął ulubionym montecristo. Wypuścił kłęb dymu w stronę Berga. – Wie pan, że dym tytoniowy szkodzi płucom człowieka, ale konserwuje meble?

– Nie wciągnie mnie pan w swoje głupawe teoretyzowanie. I niech się pan nie poczuwa...

– Ogień oraz dym sprawiają, że pewne rodzaje drewna stają się twardsze. Zaleca się nawet okadzanie kadłubów okrętów.

– Dość.

– O tak. Zapomniałem, że to pan jest od zadawania pytań, komisarzu. Proszę więc pytać.

Berg skrzywił się i machnął dłonią, chcąc rozwiać dym.

– Jest pan kilka lat młodszy ode mnie, a jednak gdy ja byłem szczyłem w akademii, pan już miał doktorat.

– Nadal pan oznajmia, a nie pyta.

– Chcę, żeby dobrze mnie pan rozumiał. Wiem o panu więcej, niż mogłoby się zdawać i niż pan przypuszcza.

– Byłem wolny od jakichkolwiek przypuszczeń. – Mond strzepnął popiół do niewielkiej popielniczki z miodowego szkła. – Staram się nigdy ich nie wysnuwać, zanim nie zbiorę dowodów. Miałem nadzieję, że tyle pan zapamiętał z moich wykładów.

On również doskonale pamiętał Berga. To właśnie jego twarz i przypisanie jej do konkretnych wydarzeń z przeszłości sprawiły, że poprzedniego wieczoru powróciły do niego okrutne obrazy oraz wspomnienia. Zdawało mu się, że przyczyniły się do tego jeszcze bardziej niż widok zwłok w piwnicy domu Engela.

– Rzeczywiście uchodził pan za cholernego geniusza. – Komisarz najwyraźniej wziął sobie za punkt honoru, aby udowodnić, jak wiele dowiedział się o Mondzie. – Współpraca z FBI, Interpolem, brytyjskim NCA, niemieckim BfV. Cały szereg spektakularnych sukcesów oraz dokonań, które mogłyby zapełnić kilka podręczników... Albo ksiąg pamiątkowych.

– Bardzo dziękuję za résumé, ale znam swoje curriculum vitae. – Mond dogasił cygaretkę i wyjął ją z lufki. – Nie musi pan tracić czasu na jego streszczanie.

– Dziwi mnie, dlaczego nagle pan zniknął. – Berg zacisnął usta i sapnął. – Doskonale pan zamaskował ten etap życia i muszę solidnie pogłównkować, żeby się co nieco rozeznać.

– Mogę zapytać, do czego miałyby się panu przydać ta wiedza?

– Pytać zawsze można.

– Pytam, by uzyskać odpowiedź.

– Rzucił pan zajebiście płatną robotę, zerwał z wyjazdami po całym świecie i nagle przywiózł tutaj śmierć. Jakby nie mógł jej pan zatrzymać przy sobie. Z dnia na dzień pojawia się pan jako cholerny sprzętacz na podkrakowskim wygwizdowie, a wtedy... – Berg wykonał wymowny gest, poruszając palcem przy gardle. – Cholera wie. Ale będę miał pana na oku, obiecuję.



Nie czekając na reakcję Honoriusza, policjant skierował się do drzwi. Mond nie ruszył się z miejsca.

– Czy poza zbieraniem materiałów do mojej biografii pchnął pan do przodu śledztwo? – zapytał głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Czy zidentyfikowano ofiary albo znaleziono jakieś istotne ślady?

– Chciałby pan to wiedzieć.

Po tych słowach Berg pchnął drzwi, po czym wyszedł na zewnątrz. Honoriusz przez okno obserwował, jak odchodzi. Gdy komisarz wbiegł po schodach i znalazł się na podwórzu, nagle wykonał serię dziwnych ruchów. Wydawało się, jakby odganiał od siebie muchę, lecz Mond momentalnie zrozumiał, w czym rzecz. W stronę policjanta poleciało kilka jajek. Berg pieklił się, ale nie mógł zlokalizować, skąd nadleciały. Honoriusz momentalnie pchnął drzwi i wybiegł przed pracownię.

– Dość, dość! – krzyknął. – To mój gość. Tak nie można!

– To są pańscy znajomi? Okoliczni wandalcy?

– Powiedzmy, że wypaliłem z nimi fajkę pokoju.

– Sukinsyny.

Komisarz parsknął i strzepnął z rękawa lepka maź. Miał szczęście, bo kolejne trzy lub cztery jajka chybiły celu. Wściekły i pochylony, pośpiesznie skierował się w stronę bramy, w której po chwili zniknął. Niemal w tym samym momencie na podwórzu pojawili się uśmiechnięci od ucha do ucha członkowie bandy Watażki.

– Dlaczego to zrobiliście? – zwrócił się do nich Mond z udawaną pretensją. – To mój klient.

– Klient? – Dziewczynka przewróciła oczami. – Naprawdę?

– Można tak powiedzieć.

Watażka wysunął się naprzód i splunął przez zęby.

– Niech pan nas nie okłamuje – rzucił ponuro. – To policjant. Ma pan jakieś kłopoty?

– Ja... Nie. Skąd wiecie, kim jest?

– Doskonale znamy ich wszystkich.

Honoriusz westchnął. Zawrócił w stronę pracowni i sięgnął ku kłamce.

– Kim by nie był, w przyszłości, proszę, nie obrzucajcie moich gości jajkami. Ani niczym innym.

– To zły gliniarz – rzucił blondwłosy brat dziewczynki. – Bardzo zły.

Mond nie dopytał, na jakiej podstawie wysnuwa ten wniosek. Zamyślony wrócił do pracowni i cicho zamknął za sobą drzwi. Rozmowa z Bergiem sprawiła, że coś przyszło mu do głowy.



„Zaginieni nie sami”. Krótka wiadomość napisana przez Bernarda z pewnością odnosiła się do większej liczby ofiar Engela, niż wstępnie sądzono. Przy zastrzeżeniu, że w ogóle należało mówić o ofiarach Engela. Nadal nie można go było jednoznacznie powiązać ze zwłokami odnalezionymi w piwnicy. Poza tym Mond starał się powstrzymać od jakichkolwiek wniosków oraz analiz, w pełni świadomy, że nie dysponuje wystarczającym materiałem.

Oczywiście, dzięki fotograficznej pamięci był w stanie odtworzyć niemal każdy szczegół zaobserwowany w piwnicy, lecz wybiórczość danych bez wątpienia zaburzała osąd.

– Dom Ciszy – wymamrotał.

– Co takiego? – Ginger Chuck, barman Bull Pubu, zerknął na niego zza kontuaru. Był rudzielcem z twarzą usianą piegami i z wyłupiastymi, błękitnymi oczami. Przyjechał do Krakowa z Anglii w ślad za miłością swojego życia. Klienci lokalu uwielbiali uczyć go polskiego, choć już od pewnego czasu nie dawał sobie wmówić, że najpopularniejszym regionalizmem małopolskim jest zwracanie się do teściowej per „ty zdziro”.

– Mówi ci coś ta nazwa?

– Prawie jak *House of the rising sun*.

– Nie, nie. Właśnie Dom Ciszy.

W związku z tym, że nie minęło południe, a Honoriusz wyznawał zasadę, że do dwunastej nie sięga po alkohol, na blacie przed nim stała szklanka świeżo wyciskanego soku pomarańczowego. Popijał go powoli, pogrążony w rozmyślaniach. Na głowę miał nasuniętą czarną fedorę, której rondo nieco osłaniało go od światła.

– Dom Ciszy.... – Ginger Chuck spojrział gdzieś w sufit, szukając właściwego słowa. – Jak... Jak... Rezydencja umarłaków... Zakład funeralny, tak je nazywacie?

– Zakład pogrzebowy.

– Właśnie. Zakład kojarzy mi się z obstawianiem na wyścigach, a umarlaki chyba już niczego nie obstawiają.

– Miałem to samo skojarzenie – przyznał Mond. – To znaczy co do zakładu pogrzebowego, a nie obstawiania wyścigów.

– I co z tym Domem Ciszy?

– No właśnie. Co z nim?

Mond powiódł wzrokiem po zdobionych secesyjnym wzorem lustrach, po obitych na czerwono kanapach, wreszcie jego wzrok spoczął na stoliku o bogato rzeźbionych nogach. Bull Pub potrafił przenieść w czasie i przestrzeni do londyńskiego wyszynku z początku ubiegłego stulecia. Szczególnie wtedy, gdy nie było w nim tłoczno i nie ryczała żadna transmisja sportowa.

Ginger Chuck nachylił się ku Mondowi i rozejrzył się, czy żaden z klientów niczego nie potrzebuje. Następnie zniżył głos.

– Ze względu na to, że już od miesięcy gadamy zupełnie szczerze...

– Tak. – Honoriusz natychmiast wszedł mu w słowo. – Jesteś idiotą.

– Słucham?

– Chciałeś mnie zapytać o poradę miłosną. Przed dwoma dniami na twoim ramieniu był ślad po konturze projektu tatuażu z żalonym mottem kierowanym do ukochanej. Dziś nie ma po nim śladu, a ty wyglądasz jak roztrzęsiona galareta. Do tego nie nosisz łańcuszka, który zapewne był prezentem od dziewczyny.

– Zgadza się, ale...

– Dlatego z góry powiedziałem, że jesteś idiotą. Zakochiwanie się oraz oddawanie jakimkolwiek miłośnikom to najlepszy sposób, aby zniszczyć sobie życie.

– Ludzie się żenią.

– Ludzie nie rozumieją, że najlepiej im samym ze sobą. Wszystko jest interesem. Miłość jest dobra tak długo, jak długo przynosi korzyść obu stronom. Potem przychodzi rozczarowanie albo śmierć.

Honoriusz jednym haustem dopił sok, zapłacił i wyszedł, pozostawiając Ginger Chucka z wyrazem konsternacji na twarzy. Barman nie miał pojęcia,

czy w trakcie rozmowy o Domu Cisy padł ofiarą jakiejś wyszukanej gry słownej, został obrażony czy po prostu nie pojął żartu. Jeszcze bardziej zaskoczyła go bystra analiza, która właściwie zreferowała wydarzenia ostatnich dni jego życia.

Pogrążony w myślach Mond nawet się nie pożegnał. Z rozpiętym płaszczem i wbitym w bruk spojrzeniem przemierzał uliczki wokół krakowskiego rynku. Co jakiś czas odruchowo poprawiał węzeł ciasno zawiązanego krawata. Kilkukrotnie sięgał do kieszeni po srebrny ustnik, ale powstrzymał się przed zapaleniem cygaretki. Wreszcie znalazł się przed hotelem i spojrzał na balkon swojego pokoju.

– Panie Mond! Słyszałem, że dziś w nocy...

Mond spojrzał na szefa przedpołudniowej zmiany. Skinął mu głową i pośpiesznie wbiegł do środka.

– Proszę o wygłuszenie drzwi – rzucił, kierując się ku schodom. – Za wszystko zapłacę.

Dwie minuty później zasiadł do szpinetu i z namaszczeniem podniósł klapę. Wodził palcami po klawiszach, lecz nie naciskał ich. Żadna muzyka nie rozbrzmiała mu w głowie. Zastanawiał się, czy nazwa ośrodka dla głuchoniemych mogła być inwencją pana Engela. Czy był to szaleniec, który w jakiś sposób umyślnie rzucał skojarzenie z domem pogrzebowym, by kilkaset metrów dalej stworzyć swój własny cmentarz?

Skąd Bernard wiedział, że zaginionych było więcej, niż się początkowo zdawało? Mond nie miał wątpliwości, że właśnie o to chodziło w wiadomości. A jednocześnie...

– Dość, dość... – Przytknął palce do skroni i zaczął je delikatnie masować. – To nie moja sprawa.

Gwałtownie wstał od szpinetu, po czym kilkakrotnie szybkim krokiem przemierzył pokój. Założył dłonie za plecy i zagryzł usta. Nie potrafił powstrzymać pędu skojarzeń. Gnębiła go myśl, że na zwłokach w piwnicy nie dostrzegł obecności *Calliphoridae*, muchówek zawsze towarzyszących intensywnemu procesowi rozkładu. Również specyficzny zapach amoniaku wydawał się stłumiony, zastąpiony przez zwykły smród gnijącego mięsa, tak różny od woni, która powinna roznosić się w tych okolicznościach.

Rozległy brak tkanek miękkich wskazywał na dłuższy upływ czasu od zgonu dzieci. Jednak...

Coś mu się nie zgadzało. Gdyby rzeczywiście w piwnicy utrzymywała się wysoka temperatura, szczątki powinny wyglądać zupełnie inaczej. Rozsadzona od wewnątrz skóra nie łuszczyłaby się, lecz po prostu odpadła wielkimi, rozerwanymi płatami. Organy wewnętrzne zostałyby pożarte przez insekty i uległyby całkowitemu rozkładowi. Ubrania powinny być czarne od płynów, a jednak wyraźnie dostrzegł ich kolory.

– To nie moja sprawa... – powtórzył, otwierając oczy.

Jednocześnie gdzieś z tyłu głowy tłukł mu się niedawny wywód Szmit o przeznaczeniu. To były bzdury. Nic takiego nie istniało.

Chcąc zagłuszyć karuzelę myśli, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Jak na złość natychmiast trafił na materiał „z ostatniej chwili”. Wiadomość, która przewijała się na pasku, sprawiła, że bezgłośnie zaklął.



– Gdzie jesteś?

– Zależy, czy masz dla mnie robotę i chcesz mnie ściągnąć do Krakowa, czy pytasz czysto towarzysko.

Szmit westchnęła. Mimo że starała się panować nad głosem, ten wyraźnie drżał.

– Dziś na razie nie mam żadnego zlecenia. To znaczy spławiłam kilku gości, którzy chcieli targować się o cenę.

– To dobrze, to bardzo dobrze.

– Wobec tego chyba możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

– Jadę samochodem.

– Sądziłam, że o tej porze będziesz w swojej cuchnącej pracowni.

– Skończyłem robotę na dzisiaj. A raczej straciłem wenę, bo może nie wiesz, ale renowacja to praca artystyczna.

– Słyszałam o tym milion razy.

Mond nieco pogłośnił i rozparł się w fotelu. Odruchowo położył dłoń na lewarku biegów, który w najnowszym modelu przypominał piłkę do krykieta i zastąpił niezbyt popularne rozwiązanie wysuwanej gałki. Jaguar cicho mknął wśród nieśmiało zieleniących się pól.

– Chciałaś mnie zaprosić na chichę?

– Nie dziś. – Szmit odchrząknęła. – Od wczoraj nie mogę niczego przełknąć, a do tego...

Kobieta zamilkła i Honoriusz cierpliwie czekał, aż ponownie się odezwie. Tymczasem na linii zapadła cisza.

– Jesteś tam? – zapytał wreszcie.

– Tak.

– Potrzebujesz towarzystwa?

Mond domyślił się, że dzisiejszy brak zleceń ściśle wiązał się z humorem Allegry. Zapewne siedziała w biurze, przerzucała graty z kąta w kąt i nie

podnosiła telefonu. Widział to jak na dłoni. Jednocześnie był świadom, jak głęboki szok przeżyła Szmit. Natychmiast wyrzucił sobie, że nie zadzwonił do niej z samego rana i nie zaproponował wspólnego śniadania, spaceru czy czegokolwiek. Choć z drugiej strony przecież nigdy ich jej nie proponował. Przynajmniej aż do wczoraj.

– To były dzieci, słyszałeś? Trzech małych chłopców!

Szmit wykrzyczała to tonem wściekłości, oburzenia i niemocy. Musiała być nieźle zdenerwowana.

– Tak, widziałem fragment dziennika.

– Jaka bestia mogła to zrobić? Trzeba mieć w sobie diabła...

– Albo człowieka.

Mond natychmiast pożałował, że nie utrzymał języka za zębami. Ten wtręt był całkowicie niepotrzebny, ale Allegra nie zaprotestowała. Cicho wypuściła powietrze i westchnęła.

– Chyba masz rację. Nie wiem, jaki Bóg dopuściłby do czegoś takiego. Chyba Hun Ahau albo Kali.

– Mamy wolną wolę, nie pamiętasz?

– I nikt nad nami nie czuwa? Nawet nad niewinnymi dziećmi?

– Jak zwykle to kwestia interpretacji.

Interpretacje, perspektywy, tego było dziś już zbyt wiele. Mond oparł głowę o zagłówek i poruszył nią na boki.

– Jeśli chcesz, żebym do ciebie przyjechał...

– Nie. – Szmit nagle odzyskała rezon. – Masz swoje sprawy i nie będę cię od nich odrywała. W ogóle nie powinnam była dzwonić.

– Ale...

– Dokąd jedziesz?

– Tak, po prostu. Chciałem oderwać myśli i się rozluźnić. Przejazdzka zawsze dobrze mi robi.

Była to nieprawda, lecz Mond wierzył w sens kłamania w imię wyższego dobra. Mimo wszystko był gotów zawrócić i zjawić się, gdzie tylko potrzebowałaby go Szmit.

– Właściwie jestem niedaleko biura – skłamał po raz kolejny. – Mógłbym...



– Nie. Każde z nas powinno to sobie wyjaśnić na swój sposób. – Allegra zaśmiała się nerwowo. – Niedługo pójdę na mszę. Pomodłę się za ich dusze.

Tym razem Honoriusz powstrzymał się od ironii.

– Zapal w moim imieniu im świeczki – rzucił całkiem poważnie.

– Nie kpij.

– Nie kpię. Mówię szczerze, choćbym uważał to za pic na wodę.

– Ty zawsze kpisz. I właśnie takim ludziom jest najłatwiej żyć.

– Życ może i tak, ale na pewno nie umierać. – Mond starał się rozluźnić atmosferę. – Ja naprawdę...

– Dość. Nie chcę się przez to pokłócić.

Szmit się rozłączyła, a Honoriusz przez kilka kolejnych minut jechał, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Zwolnił dopiero, gdy minął drogowy skaz informujący, że wjechał na teren Bobolina.



Chłopcy, którzy odnaleźli zwłoki pana Engela, zeszłego popołudnia wrzucili do internetu dwa filmiki, w których opowiadali o tym, jak do tego doszło. Widać było, że już przetrawili początkową traumę i jak przystało na nastolatków, starali się obrócić wszystko w żart. Jednak gdy Honoriusz trafił na pierwsze nagranie, od razu dostrzegł, że nadal tkwią w nich silne emocje. Nie trzeba było zresztą być psychologiem, aby to zauważyć. Szybko wyrzucane krótkie zdania, ukradkowe spojrzenia poza obiektyw, uśmiechy sprowadzające się jedynie do drgnięcia ust przy jednoczesnym zachowaniu niezmiennego mimiki górnej części twarzy – nawet staranny montaż nie mógł tego ukryć.

Mond nie rozumiał współczesnych czasów. Rozwahał motywacje, jakie mogły towarzyszyć umieszczeniu nagrań na jednym z portali społecznościowych, i co rusz trafiał w ten sam ślepy zaułek. Być może chłopcami kierowała motywacja zyskania popularności, ale gdyby mogli przyjąć takie założenie, otaczający ich na co dzień świat musiałby być naprawdę podły. Honoriusz wolał nie dopuszczać do siebie takiej możliwości. Natomiast uznając, że nagrania stanowiły katartyczną próbę poradzenia sobie z szokiem, ich forma zmuszała do uznania chłopców za półgłówków. Tymczasem pochopne ocenianie nie było w naturze Monda. Wyciąganie wniosków – tak, wypowiedanie sądów – zdecydowanie nie.

W każdym razie filmik opatrzony został krótkim komentarzem, że nagrano go właśnie w Bobolinie, co okazało się bodźcem, który nakręcił Honoriusza do działania. Po pierwsze, nie budziło wątpliwości, że chłopcy w tym wieku nie udaliby się do innej miejscowości na spacer, więc zapewne musieli być sąsiadami Engela. Po drugie, biorąc pod uwagę położenie domu, nie znaleźli się przy nim przypadkiem. Były to kwestie pozornie niezbyt istotne, a jednak gnębiły Monda. Poza tym był przekonany, że komisarz Berg całkowicie je zlekceważy.

Zaparkował jaguara na niewielkim parkingu pod wiejskim sklepem, zwracając baczność uwagę zebranych nieopodal pijaczków. Mimo temperatury nieprzekraczającej dziesięciu stopni i siąpiącego co rusz deszczu mężczyźni popijali piwo pod gołym niebem. Lekceważąc ich przyciszone komentarze dotyczące auta oraz specyficznego ubioru jego właściciela, Honoriusz szeroko się uśmiechnął. Wiejscy pijaczkowie zazwyczaj stanowili doskonałe źródło informacji. Już się miał ku nim skierować, gdy otworzyły się drzwi sklepu i pojawił się w nich kilkuletni malec. Chłopiec w jednej ręczce trzymał otwarte opakowanie czipsów, a w drugiej ciepłego loda. Sobie tylko znanym sposobem jadł jedno i drugie.

Tuż za malcem wyszła niska, drobna kobieta z bladą twarzą i ciemnymi, kontrastującymi z nią oczami. W obu dłoniach trzymała wypakowane po brzegi torby zakupów.

– Proszę pani! – Mond ruszył w jej stronę, po czym uśmiechnął się do chłopca. – Cześć, mały.

– Czego pan chce? – Kobieta nawet nie zwolniła kroku. – To pan był wczoraj w domu Engela.

– Tak, zgadza się.

– I „przypadkowo” znalazł pan zwłoki.

– Hej, Laseczkova! – zawołał jeden z pijaczków. – Wszystko w porządku?

Kobieta uniosła siatkę, co miało stanowić odpowiednik machnięcia ręką.

– Nie jestem żadna Laseczkova – rumieniąc się, zwróciła się do Mondy. – Mam na nazwisko Lasecka, a na wsi... Sam pan wiesz.

– Honoriusz Mond.

– Uścisnęłabym panu rączkę, ale nie mam mocy przerobowej.

– Czy mógłbym pani pomóc?

– Nie trzeba. Za chwilę ten mały potwór pochłonie przekąski i weźmie siatkę.

Lasecka, choć wyraźnie zmęczona, miała ładne, regularne rysy i zgrabną figurę. Do tego Honoriuszowi spodobała się jej bezpośredniość.

– Czego pan chcesz? – zapytała, nie zwalniając kroku.

– Chciałbym dowiedzieć się, gdzie mieszkają chłopcy, którzy... Którzy byli w domu, gdy... Wie pani...

– Którzy trafili na trupa?

– Tak, właśnie.

– A po cóż to panu? Jesteś pan z telewizji?

Mond pokręcił głową.

– Nie, broń Boże. – Zerknął na chłopca, który szedł z niemal zamkniętymi oczami, delektując się lodem zagryzanym czipsami. – Na pewno pani nie pomóc?

– Żeby pod sklepem gadali, żem sobie znalazła gacha?

– Co takiego?

– Pan jesteś z innej planety. Na wsi ludzie gadają, a teraz... Nigdy nie mają dość tematów. Jutro by gadali, że starego Engela oboje załatwiliśmy w zмовie.

Honoriusz zrezygnował z prób ulżenia kobiecie i przyśpieszył, aby się z nią zrównać.

– Czy powie mi pani, gdzie oni mieszkają?

– A pan powie mi, po co to panu? Zresztą, co mnie to... – Lasecka parsknęła, po czym zwróciła się do syna: – Igor, nie ociągaj się! Zjedz to szybko i wyrzuć papierki do kosza. O tak, bardzo ładnie. Dzieci są jak psy, nie sądzi pan?

Mond czuł się przytłoczony tymi szybkimi zmianami tematów. Nie wiedział, które powinien poruszać, a które zlekceważyć. Kobieta jednak odezwała się pierwsza.

– Od lat wraca tu klątwa śmierci, zaginięć i bólu. Chcesz się pan w to mieszać? Po twarzy widzę, żeś porządny. Spojrzałam w dłoń i mogłabym wyczytać przyszłość, ale po co? Kto chce ją znać?

– Mówi pani jak moja szefowa.

– Nie pani. Co ja hrabianka? Mówiłam już, że Lasecka. A jak pan bardzo chcesz, może być i Laseczkowa.

– Dobrze. Czy mogłaby pani... O jakiej klątwie mówisz?

– Nie jesteś pan z tych, co wierzą w klątwy, no nie?

– Dopuszczam istnienie nawet tych zjawisk, w które nie wierzę.

– A mówią, że to na wsi mamy na pęczki filozofów.

Mond się uśmiechnął. Ściągnął poły płaszcza rozwiane przez podmuch wiatru i schował ręce do kieszeni.

– Opowie mi pani o tej klątwie? Jestem jej diabelnie ciekaw.

– Za dużo pytań, mój drogi. – Lasecka nagle się zatrzymała i postawiła siatki na ziemi. Z poważną miną położyła dłoń na ramieniu chłopca, który się do niej przytulił. – Jeśli człowiek chce wiedzieć zbyt wiele, nie dowiaduje się w końcu niczego. Ale...

Kobieta przekrzywiła głowę i spojrzała prosto w oczy Monda. Zmarszczyła czoło, unosząc regularne, ładne brwi.

– Chcesz pan pytaniami zagłuszyć odpowiedzi z przeszłości.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem...

– Całkowicie dobrze.

– Tak bardzo to widać?

– Nawet tego się nie wypierasz. A to już coś.

Lasecka pchnęła metalową furtkę i sięgnęła po siatki. Ponuro pokiwała głową.

– Leć, nicponiu – rzuciła do syna, a gdy chłopiec pobiegł do domu, ponownie zerknęła na Honoriusza. – Tu każdy ma swoje tajemnice i proszę uwierzyć, że lepiej ich nie rozgrzebywać. Zresztą i tak mnie pan nie posłucha.

– To widać w oczach czy w linii ust?

Kobieta uśmiechnęła się do Monda.

– Gdyby nie był pan uparty, nie odprowadziłby mnie pan pod samą chałupę.

Puściła do niego oko i ruszyła w stronę obejścia. Po kilku krokach wypowiedziała numer. Mond nie miał wątpliwości, że to numer domu jednego z chłopców, którzy znaleźli zwłoki. Lasecka miała rację. Pytaniami chciał zagłuszyć odpowiedzi z przeszłości. I nie potrafił nic na to poradzić.



– Ty gnoju, ty parszywy gnoju! Jak wrócisz, obedrę cię ze skóry! Spiorę cię na kwaśne jabłko!

Mond spojrzał na półnagiego, zataczającego się mężczyznę, który wygrażał w stronę krępego chłopca. Malec wybiegł przez drzwi, w których stronę właśnie zmierzał Honoriusz, minął go i odbiegł jeszcze kilkanaście metrów. Mężczyzna pociągnął z przezroczystej butelki solidnego łyka, po czym spojrzał spode łba na Monda.

– A ty co? Opieka społeczna?

Nie czekając na odpowiedź, z impetem rąbnął drzwiami o framugę. Niezrażony tym Honoriusz skierował się w stronę chłopca.

– Hej, zaczekaj! – zawołał, przyśpieszając kroku.

– Na co? – zaczepnie odburknął malec.

– Chcę zadać ci kilka pytań.

– Nie chcę na nie odpowiadać. Niech pan da mi spokój.

– Nie jestem z żadnej opieki społecznej. – Mond zatrzymał się o kilka kroków od chłopca, aby go nie wystraszyć. – Ale twój ojciec...

– Co z nim?

– Powiedział, że obedrę cię ze skóry. To mało pedagogiczne.

– Tylko tak gada. Kiedy wrócę, będzie leżał nachlany i chrapał. Chleje od rana tak mocno, że nie był w stanie nawet dowlec się do kumpli pod sklep.

Mond ponuro pokiwał głową. Zrobił krok w stronę chłopca, lecz ten przezornie się cofnął. Przechodząca drugą stroną ulicy kobieta bacznie się im przypatrywała.

– Mieszkacie we dwóch? – zagadnął łagodnie Honoriusz.

– Nie. Mieszka z nami mama.

– Teraz jest w pracy?

Chłopiec zagryzł usta, jakby starał się opanować płacz. Po chwili wyprostował się, przybierając poważną minę.

– Nie, choruje. I... ona jeździ na wózku, więc ktoś czasem musi jej pomagać. Przynajmniej zrobić zakupy, nie wydając całej forsy na wódkę i szlugi.

– Na co choruje twoja mama?

– Ma stwardnienie boczne czy jakoś tak... – Chłopiec schował dłonie do kieszeni spodni i pociągnął nosem. Najwyraźniej powoli oswajał się z ciekawością Monda. A może raczej od miesiący czekał, by móc się przed kimkolwiek otworzyć. – Leczy się u znachora. Kiedyś jeździliśmy do miasta do lekarzy, ale nic nie pomogli. Niedaleko mieszka jedna pani, do której z kolei przyjeżdżają ludzie z miasta. Przynajmniej sprawiła, że mama sama przenosi się z łóżka na wózek i jeździ z pokoju do pokoju.

Mond powstrzymał się przed westchnięciem. Na słowo „znachor” reagował niemal alergicznie. Dopuszczał metody medycyny alternatywnej, homeopatii, ziołarstwa, nawet akupunktury, ale leśni pustelnicy kojarzyli mu się jedynie z aktorami odgrywającymi na Saharze Berberów i po wizycie turystów wracającymi do wygodnych domów.

– Będę trzymał kciuki za jej powrót do zdrowia. – Uśmiechnął się pokrzepiająco. – Obiecuję.

Chłopiec ponownie przybrał czujną pozycję i zmarszczył czoło. Odsunął się od jezdni, by nie ochlapał go samochód przejeżdżający po drodze pełnej kałuż.

– Czego pan chce? – zapytał zawadiacko.

Honoriusz wzruszył ramionami.

– Mam propozycję. Może pójdziemy do sklepu i kupię ci czipsy w zamian za kilka informacji?

– Czipsy od nieznajomego? To przed tym przestrzegają nauczyciele.

– Przed czipsami czy nieznajomymi? – Mond ponownie się uśmiechnął. Zrobił krok w stronę chłopca i wyciągnął do niego dłoń. – Honoriusz.

Malec zastanawiał się tylko przez chwilę, wreszcie wymienił z mężczyzną uścisk.

– Olaf.

– Wobec tego skoro przedstawianie się mamy za sobą i nie jesteśmy już nieznajomymi, możemy podyskutować nad sposobem mojej zapłaty za

informacje.

- Gotówka – oznajmił chłopiec bez ogródek.
- Gotówka... – powtórzył Mond. – Masz głowę do interesów, mój drogi.
- Płatne na miejscu i z góry.
- Zgoda.
- Zgadza się pan, nim wymienię kwotę?

Mond bezradnie rozłożył dłonie i ruszył w stronę sklepu.

– Czuję się biznesowo rozegrany jak dziecko. Poprawka... Jak noworodek. Ale chcę ponegocjować.

Kilka minut później, lekceważąc spojrzenia pijaczków, wręczył Olałowi paczkę chipsów i skinieniem głowy dał znać, by skierowali się na pobliski przystanek. Przeszklona wiata zapewniała schronienie przed wiatrem, a jednocześnie pozbawiała wścibskich mężczyzn pola do snucia niewybrednych domysłów.

– Co chce pan wiedzieć? – zagadnął malec, gdy usiedli na wąskiej ławce.

Mond wyjął z portfela dziesięciozłotowy banknot i zaszeleścił nim. Chłopiec łapczywie wyciągnął po niego dłoń.

– Nie będzie tak łatwo. – Honoriusz gwałtownie się wyprostował. – Skoro bawimy się w biznesmenów, musimy wprowadzić zasadę ograniczonego zaufania.

– To znaczy?

– Będziesz mógł patrzeć na ten banknot, kiedy będziesz odpowiadał na moje pytanie. Jednak dostaniesz go, gdy skończysz.

– A jeśli mi go pan nie da?

– Dam. Bo będzie mi zależało na kolejnej odpowiedzi. Poza tym, jak myślisz, możesz mi zaufać?

– A bo ja wiem...

– Umiejętność rozpoznawania, komu można ufać, jest bardzo istotna.

Spójrz mi w oczy.

– No i?

– Co widzisz?

– Nic.



– To dobry punkt wyjścia, prawda? Nie widzisz złości ani chęci upokorzenia cię, a to już coś. Taka jest większość ludzi, lecz dobrze wiesz, że nie wszyscy. Musisz uważać.

– Niech pan tak nie gada... Przejdźmy do rzeczy.

– Dobrze. – Honoriusz skinął głową. – Chciałbym porozmawiać o czymś nieprzyjemnym, ale mam nadzieję, że się zgodzisz. Chodzi o pana Engela.

Malec zmrużył oczy i nieco przekrzywił głowę.

– Co z nim?

– Kiedy ty i twój kolega...

– Artur.

– Kiedy ty i Artur byliście pod jego domem, czy przez przypadek otworzyliście okno?

Mond zaakcentował słowa „przez przypadek”. Malec przeniósł wzrok gdzieś w górę i w lewo.

– A bo ja wiem...

– Pamiętaj, liczy się dla mnie szczerłość. Bez niej nie ma wynagrodzenia.

Olaf westchnął. Po chwili, nie patrząc na Monda, pokiwał twierdząco głową.

– Komisarz Berg powiedział mi, że twierdziliście, że ciało się poruszyło. Czy stało się to właśnie wtedy?

– Boże... Chyba tak. Nie wiem... Ja... – Chłopiec namyślił się i opanował głos. – Tak, najpierw otworzyło się okno, a potem poruszyło się jego ciało. Myślałem, że on wstaje!

Honoriusz uważnie obserwował, czy emocje dla Olafa nie są zbyt silne, lecz najwyraźniej czas już zrobił swoje i malec potrafił zachować względny dystans.

– No dobrze, mistrzuniu, to twoja zapłata.

Chłopiec pośpiesznie wyciągnął dłoń po banknot, lecz wtedy Mond pstryknął i pieniądz zniknął.

– Hej! – Olaf skrzywił się z gniewu. – Obiecałeś!

– I dotrzymam słowa.

Honoriusz ponownie pstryknął, po czym sięgnął za ucho chłopca i wyciągnął z za niego banknot. Podał go Olafowi.

– Proszę. A teraz czas na pytanie drugie.

– No, niech będzie. – Olaf uważnie obejrzał dziesięciozłotówkę, jakby miał wątpliwości, czy jest oryginalna. Popatrzył nawet pod światło, zerkając na znak wodny. – Pytaj pan.

Nagle przeniósł wzrok gdzieś dalej i szeroko się uśmiechnął. Uniósł dłoń z banknotem, po czym radośnie nią pomachał.

– Artur! Idzie Artur.

– Ten twój kolega, z którym byliście wtedy pod domem pana Engela?

Chłopiec skinął głową.

– Wobec tego może i on zgodzi się udzielić mi kilku odpowiedzi.

– Czy za podwójne odpytywanie należy się podwójna nagroda? – zapytał chytrze Olaf.



Mond kątem oka dostrzegł, że zgromadzeni pod sklepem mężczyźni coraz częściej zerkają w stronę przystanku, na którym siedział z chłopcami. Lekceważąc ich, wyciągnął z portfela kolejną dziesięciozłotówkę.

Nim zdążył zadać pytanie, tuż obok rozległo się trąbienie. Zardzewiała furgonetka z mrożonkami zwolniła i z kabiny wychylił się krótko ostrzyżony tęgi mężczyzna. Baczenie zerknął na chłopców, a potem przeniósł wzrok na Monda.

– Co tam, chłopaki? – zagadnął gniewnie. – Czego chce od was ten facet?

– On... – bąknął Artur.

– Sprzątałem dom pana Engela – gładko wyjaśnił Mond. – Znalazłem pewien przedmiot, którego właściciela pragnę ustalić.

To pokrętne tłumaczenie najwyraźniej nieco uspokoiło kierowcę. Skinął głową i zamknął szybę. Jeszcze raz pomachał do chłopców, po czym odjechał.

– Nie lubią tu obcych, co? – Honoriusz westchnął, lecz widząc, że chłopcy wymieniają spojrzenia, natychmiast znacząco uniósł palec. – Nie, nie, nie... To nie było pytanie wymienialne na dyszkę.

– W takim razie przejdźmy do konkretów – zdecydował Olaf, który w towarzystwie Artura pozował na wyjątkowo hardego. – Niech pan pyta.

– Wiem, że to zagadnienie będzie nieprzyjemne, więc nie musicie odpowiadać.

– Niech się pan nie martwi.

– W porządku. – Mond przez chwilę namyślał się, jak prawidłowo sformułować pytanie, wreszcie uznał, że wyrażenie go wprost będzie najlepszym rozwiązaniem. – Czy po tym, jak pan Engel obrócił głowę, widzieliście jeszcze jakiś ruch jego ciała? Musicie oddzielić rzeczywistość od wyobraźni, to bardzo ważne.

Olaf zacisnął usta, a Artur cicho mlasnął. Chłopcy zaczęli się zastanawiać, ale najwyraźniej nie potrafili w pełni wiarygodnie odtworzyć wydarzeń sprzed kilku dni. Mond starał się ustalić czas zgonu pana Engela, który z jakiegoś powodu wydawał mu się szalenie istotny. Wstrzymywał się jednak przed rozważaniem, dlaczego tak było. Przekonywał się, że chce rozwiązać tylko jedną zagadkę i na tym poprzestać, bez względu na odpowiedzi. W głębi duszy wiedział jednak, że tak się nie stanie.

Poruszenie głową w wyniku procesów chemicznych świadczyłoby o rozluźnieniu stężenia pośmiertnego, które występowało po czterech lub pięciu dobach od chwili zgonu. Raczej po czterech, o ile nie poruszyło się całe ciało. Wcześniej można byłoby napompować zwłoki azotem, a te nawet by nie drgnęły.

– Chyba tylko głowa – odezwał się z namysłem Olaf. – Przecież to niemożliwe, żeby się cały poruszył.

– Mogło się tak zdarzyć – zaprotestował Mond. – I wcale nie świadczyłoby to, że pan Engel zamienił się w zombie.

– W takim razie...

– Chyba poruszył się cały tułów – stwierdził Artur. – Dlatego zrobiło to takie wrażenie.

– Jesteście w stanie stwierdzić, o której to było godzinie?

Mond ponownie zaszeleścił banknotem.

– Ja wiem... – Olaf wzruszył ramionami.

– Pewnie około drugiej – odezwał się Artur. – Bo potem...

– Co potem?

– Jak go zabierali, na pewno była za pięć piąta. Zwróciłem na to uwagę.

– Co takiego? – Honoriusz odruchowo sięgnął ku węzłowi krawata. Poprawił go i ponownie zerknął w oczy drobniejszego z chłopców. – Pamiętasz dokładną godzinę?

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wreszcie Artur skinął głową, dając znać, by mówił jego towarzysz.

– My... – Olaf spojrzał w oczy Honoriusza, po czym zmieszany splótł dłonie.

Mond uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Słuchajcie, żeby było jasne. Wszystko, o czym rozmawiamy, pozostaje pomiędzy nami. A przynajmniej nie dowie się o tym nikt, kto nie powinien.

– Spojrzał na Olafa, wiedząc, że ten obawia się przede wszystkim gniewu ojca. Po chwili przeniósł wzrok na drugiego chłopca. – Rozumiecie?

– Tak.

– Tak...

– No więc? Chcecie zarobić kolejną dyszkę?

Olaf skinął głową.

– My jeszcze raz poszliśmy pod dom pana Engela – wyrzucił jednym tchem. – Wie pan, wtedy kiedy na miejscu była już policja i tak dalej. Nie zobaczyli, że podchodzimy do tylnego okna.

– Widzieliście go jeszcze raz? – zdziwił się Mond. – Zanim wyniesiono zwłoki?

– Tak. I właśnie wtedy zerknąłem na zegarek na jego nadgarstku. Moją uwagę zwrócił dlatego, że to stary złom podobny do takiego, jaki kiedyś przehandlował mój tata. Wydaje mi się nawet, że mógł to być ten sam zegarek.

– Stary złom?

– No, taki z czasów PRL-u, czy jak to się tam nazywało. Nikt już takich nie nosi.

Mond poważnie skinął głową, sięgnął do portfela i tym razem bez droczenia się wręczył obu chłopcom po dyszce.

– Słuchajcie, to bardzo ważne – odezwał się podniosłym tonem. – Zadam wam jeszcze jedno pytanie, ale musicie bardzo mocno zastanowić się nad odpowiedzią. Dobrze?



– Czego od nich chciałeś?

– Najpierw zaczepiasz pan kobiety, potem chłopców?

– Panowie, zejście mi z drogi.

Mond wyzywająco powiódł spojrzeniem po twarzach mężczyzn. Czterech z nich podeszło w stronę przystanku w momencie, gdy kończył rozmowę z chłopcami. Uzgodnił z nimi, że wszystkie tematy, jakie poruszyli, pozostają tylko pomiędzy nimi.

– Artur, Olaf, czego on od was chciał?

– Rozmawialiśmy tylko o panu Engelu – skwitował Olaf. – W jego domu było kilka przedmiotów z Domu Ciszy, ale nie wiemy czyich konkretnie.

Gładka odpowiedź nieco uspokoiła mężczyzn, podobnie jak wcześniej kierowcę furgonetki z mrożonkami.

– Mogłeś pan nas o to zapytać – zwrócił się do Monda zakapior z krótką, zmierzwioną brodą i małymi oczkami. – Też byśmy odpowiedzieli.

– Dzieci są lepszymi obserwatorami.

– Dla zboczeńców na pewno.

– Akurat o tym mi nic nie wiadomo. Ale jeśli pan tak twierdzi, nie będę się upierał.

Mond, nie zatrzymując się, przeszedł między mężczyznami. Był sporo wyższy od najwyższego z nich, choć jednocześnie dwukrotnie węższy w barach. Mimo to pewnością siebie oraz opanowaniem sprawił, że nikt nie odważył się wejść z nim w bezpośrednią konfrontację. Wymieniono jeszcze kilka uwag oraz przyciszonych komentarzy, lecz żaden z nich nie został skierowany wprost do Honoriusza.

Artur i Olaf, obserwując rozwój wydarzeń, przeszli na drugą stronę ulicy i przeliczali zarobione pieniądze. W nagrodę za szczerość Mond w ramach bonusu wręczył im wszystkie drobne, jakie wypełniały jego spory portfel. Łącznie zapewnili sobie zapas słodczy co najmniej na kilka dni. Chyba że

mieliby przerób równy Watażce i jego bandzie, ale to raczej nie było możliwe.

Podchodząc do jaguara, Honoriusz dostrzegł, że coś znajduje się za przednią wycieraczką. Podniósł ją i wyciągnął złożoną na pół tekturkę, która po rozgięciu ukazała pokracczny rysunek. Z trudem można się było domyślić, że praca przedstawia szczupłego mężczyznę ubranego w rozpięty płaszcz i koszulę pod krawatem. Ktoś o bujnej wyobraźni mógł dostrzec jeszcze więcej. Półkole okalające podbródek mężczyzny oraz kreska nad jego głową zapewne miały przedstawiać szafot. Krótko mówiąc, dzieło przedstawiało wisielca o wielu cechach Honoriusza. Mond przyjrzał mu się i ze znawstwem pokiwał głową.

– Kto to narysował? – zapytał, odwróciwszy się do mężczyzn.

Odpowiedziały mu jedynie cisza oraz niepewne uśmiechy.

– Całkiem niezła kreska, lubię ludową twórczość.

– Wal się – wycedził mężczyzna ze zmierzwioną brodą. – Lepiej nie wracaj tu więcej. Nigdy.

Mond z gracją się mu uklonił, sięgnął ku rondu kapelusza, po czym otworzył drzwi auta.

– Do zobaczenia, panowie. Może oprawię tę pracę i powieszę w gabinecie nad biurkiem. Żałuję, że nie została sygnowana.

Wsiadł do jaguara, zapiął pas i głęboko nabrał powietrza. Błyskawicznie przeanalizował wydarzenia sprzed kilku minut. Ostatnie pytanie, jakie zadał chłopcom, było najmniej delikatne, ale nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Upływ czasu nie tylko pozwolił im oswoić się z wydarzeniami z domu pana Engela, ale wręcz zainteresować różnymi ich aspektami. Dlatego gdy Honoriusz zapytał o to, czy zwłoki położono płasko na noszach, natychmiast odpowiedzieli, że istotnie tak było, ale zaraz obaj zaczęli dopytywać, jak mogłoby być inaczej.

Oczywiście Mond uznał, że nie powinien zgłębiać chłopcom tajników rigor mortis. Byli na to za młodzi. Jednak wyjaśnił im pokrótce, że ciało ludzkie po śmierci uzyskuje drugie życie i jest zdolne do rozmaitych zachowań. Na przykład badania prowadzone na „trupiej farmie” w USA dowiodły, że niemal dziewięćdziesiąt procent zwłok nieumieszczonych

w trumnach w ciągu kilku tygodni po śmierci przesuwa się nawet o metr. Tyle mówiły statystyka i obserwacje. Pogłębianie wiedzy chłopców Mond zostawił już przyszłości i innym nauczycielom.

Tymczasem rozparty w fotelu powoli wyjechał z niewielkiego parkingu pod wiejskim sklepem. Natychmiast pochłoneły go myśli. Skoro zwłoki Engela równomiernie rozłożono na noszach, znaczyło to, że stężenie pośmiertne niemal całkowicie ustąpiło. Świadczyło to, że zgon nastąpił zgodnie z jego wcześniejszymi przypuszczeniami pomiędzy czwartą a piątą dobą przed odkryciem zwłok. Co do tego wszystko wydawało się jasne i proste. Wpisywało się w ogólny obraz sytuacji, jaki stworzył podczas sprzątania domu pana Engela. Jednak było coś, co nie dawało mu spokoju. Coś, co świadczyło o tym, że ktoś przed chłopcami pojawił się przy zwłokach. I zostawił na nich swój niepowtarzalny ślad. Dokładnie tak, jak robiło wielu morderców wszystkich czasów oraz przestrzeni.





Mond zostawił auto na hotelowym parkingu, po czym udał się do Bull Pubu. Było już popołudnie i w środku gromadziło się coraz więcej ludzi. Istotną część z nich stanowili turyści, którzy między zaliczaniem kolejnych zabytków wpadli coś zjeść lub się napić.

Honoriusz chciał jak najszybciej coś przekąsić, więc zrezygnował z obfitej oferty CK Browaru na rzecz sycącego burgera Jameson z soczystym, szarpanym mostkiem wołowym i domowymi piklami. Tak jak zwykle, Ginger Chuck pojawił się z jego zamówieniem po niespełna pięciu minutach. Do burgera Mond poprosił o podwójną porcję benedictine'a. Ziołowy likier stanowił namiastkę jego ulubionego absyntu, a przy okazji doskonale działał na trawienie. Następnym razem zdecydował jednak postawić czeską piołunówkę nad czasem oczekiwania na danie. Życie stanowiło serię kompromisów.

– Na taką pogodę to tylko pić jak ryba, co? – zagadnął Chuck, jakby zapomniał o wcześniejszej scysji. Wydawał się również bardziej odprężony.

– Wy w Anglii pijecie jak ryby, my w Polsce jak szewcy – odparował Mond.

– Naprawdę? Nie mówi się drink like a fish?

– Nie.

– Ale jak szewc pije się i klnie. Co wy macie do tych szewców? Do tego wysyłacie ich do walki z ziejącymi ogniem smokami.

Ginger Chuck teatralnie przeczesał palcami rude włosy i kręcąc głową, odszedł w stronę baru. Mond się uśmiechnął. W tych rozmowach zawsze znajdował coś pouczającego.

– Co mamy do szewców? – wyszeptał, zastanowił się przez chwilę, po czym zabrał się do pałaszowania burgera.

Kilka minut później, pokrzepiony jeszcze jedną podwójną porcją benedictine'a, wyszedł na zewnątrz. Niebo ponownie zasnuły ciężkie,

niskie chmury i wydawało się, że lada moment zacznie sypać śnieg. Wiał zimny, przenikliwy wiatr. Przygarbieni turyści przemykali od knajpy do knajpy i od bramy do bramy.

Mond skierował się w stronę hotelu. Przeszedł obok bazyliki Mariackiej, rzucił okiem na ustawione w szeregu dorożki, wreszcie skręcił we Floriańską. Jej średniowieczny układ, widoczne do dziś znamię ponadpięćsetletniej historii, nieodmiennie go fascynował. Zazwyczaj jego myśli wędrowały od kamienicy Pod Murzynami ku kolejnym zabytkom, delektował się manierystycznym portalem fasady Korlansowskiej, historią Hotelu pod Różą, w którym gościli między innymi car Aleksander I i Franciszek Liszt, a potem każdym następnym budynkiem, detalem, legendą. Jednak tym razem całkowicie pochłonęła go analiza rozmowy z chłopcami. Nie wiedział, czy jej szczegółami powinien podzielić się z komisarzem Bergiem. Oczywiście, obiecał młodzieńcom dyskrecję, ale... No właśnie. Ale co? Czy jego domysły mogły być ważniejsze od danego słowa? Poza tym co on właściwie robił? Po co znowu mieszał się w coś, co nie miało z nim nic wspólnego?

Może doszukiwał się czegoś, co nie miało miejsca? Gdy wracał z Bobolina, w radiu podano, że nadal nie ustalono przyczyny śmierci dzieci znalezionych w domu Engela. Może były ofiarami nieszczęśliwego wypadku? A Engel? Fragmenty układanki odtwarzającej przebieg wydarzeń w jego domu całkowicie do siebie nie pasowały. Ani czas zgonu ofiar, ani relacja czasowa do...

– Panie Mond...

Odźwierny otworzył przed nim drzwi Hotelu Francuskiego. Honoriusz sprężystym krokiem wszedł do środka i przeparadował przy recepcji.

– Czy już wystawiono na mnie fakturę? – zapytał kierownika zmiany.

– Za pokój? Opuszcza pan nas?

– Nie. Ja zostaję, ale drzwi miały być wyciszone.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Mond bezradnie rozłożył ręce i wbiegł po schodach. Gdy się tylko znalazł w pokoju, włączył telewizor, a następnie zasiadł do szpinetu. W programie informacyjnym relacjonowano posiedzenie sejmu, więc ponownie sięgnął

po pilota. Kilukrotnie zmieniał kanał, wreszcie wyłączył telewizor. Posiedzenia sejmowe napawały go większą grozą niż wizyta w prosektorium.

Przymknął oczy i rozpoczął grę. Palce same zaczęły poruszać się po klawiszach w takcie Fantazji C-dur Haendla. Chaotyczna, nieco szaleńcza muzyka doskonale oddawała stan jego myśli, złała się z nimi i wzajemnie się z nimi przenikała. Jakieś fantastyczne obrazy leżały mu się w wyobraźni.

Nagie zwłoki z rozłożonymi na boki rękoma, naręczny zegarek odmierzający czas w przyśpieszonym tempie, obłaząca płatami skóra z tułowia, rosnące na czaszce siwe włosy.

Dźwięk dzwonka brutalnie wyrwał go z zamyślenia. W pierwszej chwili był przekonany, że ktoś dobija się do drzwi, chcąc go zrugać za zbyt głośną grę, lecz po chwili uświadomił sobie, że to dzwonek jego telefonu. Przeszedł do przedpokoju i wyciągnął go z płaszcza. Telefonowała Allegra.

– Halo? Jak się czujesz, moja droga? Czy...

– Mamy robotę. – Szmit natychmiast weszła mu w zdanie. – Podaję ci adres, więc uważnie słuchaj albo zanotuj.



Sprzątanie ograniczało się do deratyzacji niewielkiej piwnicy. Zazwyczaj do podobnych zadań jeździło jedno z nich, ale Monda nie zdziwiło, że Allegra chciała się spotkać. Jego wszystkie przypuszczenia oraz obawy potwierdziły się, gdy tylko ją zobaczył. Sztuczne żółte światło żarówki potęgowało wrażenie, lecz nie było wątpliwości, że kobieta ma podkrążone, zaczerwienione oczy. Na widok Honoriusza usiłowała się uśmiechnąć i schować w półcieniu, lecz szybko zdała sobie sprawę, że to bezsensowne. Poza tym najwyraźniej nie zamierzała się specjalnie kryć z emocjami.

– Spałaś choć trochę? – Mond spojrzał na nią ponuro. – Trzeba było powiedzieć, żebym przyjechał.

– I co by to zmieniło?

– Mógłbym opowiedzieć ci parę angielskich dowcipów zasłyszanych od Ginger Chucka. Na przykład ten o facecie, który mówi blondynce, że urodził się we Francji, a gdy ta pyta, w której części, on odpowiada, że w całości... – Honoriusz westchnął. – Rozumiesz? On myślał, że ona pyta o część jego ciała i... Przepraszam.

Szmit uśmiechnęła się szeroko i rzuciła w jego stronę opakowanie z trutką na szczury.

– Masz, wsadzaj ją lepiej do pułapek. Opowiadanie żartów ci nie wychodzi.

– Podwójne zabezpieczenie?

– Oczywiście. Klient się śpieszy, bo chce wynająć te piwnice na jakiś lokal.

– Gastronomia?

– A kto go wie? Może klub BDSM.

– Wtedy szczury nie powinny w niczym przeszkadzać.

Tym razem Allegra zaśmiała się na głos. Odwróciła się do Honoriusza i nagle spoważniała.

– Nie rozumiem, jak można zrobić krzywdę dzieciom. To, kurwa, nie mieści mi się w pale. W każdej religii dzieci są święte, a ich zabicie stanowi cholerne tabu. Trzeba być pieprzonym wykolejńcem.

– Nie wiemy, w jaki sposób zginęły.

Szmit machnęła dłonią, jakby irytowało ją, że Mond w ogóle może dopuszczać scenariusze inne niż zabójstwa.

– Od wczoraj się głowię, jak Bóg mógł na to pozwolić.

Honoriusz poprawił jedną z pułapek i się wyprostował. Włożył dłonie do kieszeni płaszcza, po czym spojrzął z ukosa na Allegrę.

– Może nie musiał pozwalać, bo go nie ma?

– Wtedy to wszystko miałoby jeszcze mniej sensu niż dopuszczenie, że jest, tylko ma wszystko w dupie.

– Albo to skrzętnie opracowany plan, którego my, maluczcy, nie możemy pojąć.

– Zaraz, zaraz, chyba zamieniamy się stanowiskami. To ja jestem od tego, żeby bronić istnienia Boga.

– Ja tylko stawiam pytania. Kiedy jechałem taksówką, obserwowałem szarówkę tego świata i...

Allegra przerwała mu w pół zdania.

– Jechałeś taksówką?

– Tak, bo wypilem do obiadu kilka sztofek ziołówki.

– No proszę. Ot tak? A wcześniej gdzie byłeś?

Pod jej pilnym spojrzeniem Mond poczuł się jak małe dziecko przyłapano na złym uczynku.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać?

– Czemu nie?

– Wybrałem się na wycieczkę do Bobolina. Przeprowadziłem kilka krótkich wywiadów.

– Z...

– Z tym i owym. – Honoriusz odchrząknął. – To nie ma znaczenia. Sednem jest, że Engel, gdy zabierano jego ciało, miał na dłoni zegarek,

który wskazywał dobrą godzinę.

Szmit spojrzała na niego jak na wariata. Zacisnęła palce lewej dłoni na bransoletkach oplatających prawy nadgarstek.

– No i? Zegarki mają to do siebie, że wskazują dobrą godzinę. Gdyby wskazywał inną, wtedy bym się zastanawiała, ale i tak mamy czas miejscowy, kosmiczny, planetarny, astrologiczny, a nawet astralny, który zdaniem Nostradamusa...

Honoriusz nie pozwolił jej na dobre rozwinąć tego tematu.

– Ten zegarek był nakręcany ręcznie, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Wszystko wskazuje, że Engel zmarł albo zginął od stu do stu dziesięciu godzin temu.

– A skąd to niby możesz wiedzieć? I to, którą godzinę wskazywał zegarek?

Mond niedbale machnął ręką. Wolał nie tłumaczyć szczegółów swojej przedpołudniowej wycieczki. Miał dziwne przeczucie, że Allegra mogłaby na nie zareagować niezbyt entuzjastycznie.

– Zdajesz sobie sprawę, że takie zegarki zatrzymują się po czterdziestu godzinach od ostatniego nakręcenia? Rzadko który model przechodzi pięćdziesiąt godzin, ale na pewno nie radziecki złom z lat siedemdziesiątych.

– Sugerujesz, że...

– Tak.

– Boże. Jakim cudem?

Honoriusz sapnął. Wyciągnął z kieszeni srebrną cygarniczkę i nie nabijając, wsunął ją do ust. Po chwili wyraził na głos myśl, która gnębiła go przez ostatnie godziny.



Chłopiec starannie umył włosy zmarłego i poprawił jego głowę. Wysunął go spod kranu, po czym zwolnił hamulce łóżka. Przesunął je bliżej uchwytu, w którym znajdowała się mała suszarka. Włączył ją, by pracowała na niewielkiej mocy. Nie lubił hałasu, poza tym zbyt mocny nawiew powodował późniejsze problemy z ułożeniem fryzury.

Ostrożnie przeczesywał palcami włosy nieboszczyka. Gładził je i układał niczym doświadczony stylistą. Kiedy skończył, nałożył odrobinę żelu oraz specjalnej pomady, która miała nadać włosom blask. Porównał efekt z odłożonym na metalowy blat zdjęciem i z zadowoleniem pokiwał głową. Tak, ojciec powinien być ukontentowany.

W pewnym momencie zacisnął pięści i wstrzymał powietrze. Od kilku dni fale bólu raz po raz rozchodziły się po jego ciele, niemal go paraliżując. Choć doświadczał go od dzieciństwa, nigdy nie były tak częste i mocne. Lekarze bezradnie rozkładali ręce. Neurologzy utrzymywali, że to choroba genetyczna, psychiatrzy doszukiwali się zaburzeń osobowości, onkolodzy podejrzewali rzadki nowotwór, niewykrywalny w trakcie standardowych badań. Fakt faktem, że nie ujawniły go również badania specjalistyczne, a jego istnienia nie potwierdziła terapia objawowa. Żadne środki ani kuracje nie odnosiły skutku. Chłopiec cierpiał.

Świat zawirował, a ostre punktowe światła zamocowane w kąciku sanitarnym zapulsowały. Nagle nabrały rozmaitych kolorów oraz zbliżyły się do malca niczym wystrzelone w jego stronę barwne konfetti.

Chłopiec zamrugał, lecz ból był tak mocny, że nie mógł ustać. Rozlał się po jego ciele i zacisnął obcęgi na każdym mięśniu. Uderzył obuchem w jego potylicę, wbił zgrabiałe palce w oczodoły, a nawet ścisnął mu język.

Malec oburącz chwycił sztywną rękę zmarłego. Starał się zachować przytomność i nie pozwolić całkowicie poddać bólowi. Mimo to poczuł, jakby ktoś kopniakiem podciął mu nogi. Zachwiał się, ale nie upadł.

Jeszcze mocniej ścisnął rękę nieboszczyka, wiedząc, że z pewnością nie pozostawi na niej śladów. Nawet gdyby okładał ją młotkiem, nie mógłby go zranić ani spowodować siniaków. Natomiast ojciec doskonale usuwał wszelkie deformacje oraz mankamenty.

Chłopiec kurczowo chwycił się mieszaniny rozpadających się tkanek, którą od wewnątrz toczyło robactwo. Wiedział o tym, choć teraz trudno było je dostrzec. Gnijące trzewia, wysychający mózg, spojówki, język, obciążająca się skóra, rozpadające się białka i rozrywające pęcherzyki płucne. Myślał o tym wszystkim, aby odciągnąć uwagę od bólu. Nie przerażało go to, a raczej fascynowało. Ojciec mawiał, że śmierć jest życiem *à rebours*, zmierzającym ku uniwersum, tak jak w chwili urodzin rozpoczyna się indywiduum. Indywiduum to ból, uniwersum natomiast to całkowita doskonałość. Doskonałość sprowadzająca się raczej do niebytu niż bajkowych niebios.





– Ktoś nakręcił zegarek na rękę trupa mniej więcej trzy dni po jego śmierci. Nie ma innej możliwości.

Szmit przez chwilę trawiła słowa Monda. Znaczyły ni mniej, ni więcej, że ktoś pojawił się w domu Engela już po jego śmierci. A skoro tak, mógł się do niej przyczynić.

– Te dzieci... Czy sądzisz, że Engel mógł ich nie zabić? Że mogły być ofiarami kogoś innego?

– Nie wiem. Wiem natomiast, że znaleziono je w jego piwnicy.

– A jeśli tak... – Allegra pstryknęła palcami. – Zabójców mogło być dwóch, mogli też tworzyć jakąś sektę. W Stanach istnieli tak zwani Mossawici, którzy składali dzieci w ofierze i wierzyli, że bóg Czihawe objawi się, jeśli zabiją stu nieletnich pierworodnych. Tyle że... – Machnęła dłonią, jakby chcąc odgonić tę dygresję. Zmrużyła oczy i uważnie spojrzała na Monda. – Skąd wiesz, jaki on miał zegarek? Kto ci o tym powiedział?

– To skomplikowane.

– Taki status związku ustawiają sobie na mediach społecznościowych prostytutki.

– Nie znam się na mediach społecznościowych, ale... No dobrze. – Mond przesunął stopą jedną z pułapek na szczury. – Rozmawiałem z chłopcami, którzy znaleźli ciało Engela.

– Co takiego?!

– To, co słyszałaś. Zadałaś pytanie, a ja na nie odpowiedziałem.

Allegra odrzuciła do tyłu włosy i założyła dłonie za głowę. Zagryzła usta, jakby chcąc powstrzymać wypowiedzenie pierwszej frazy, która przysła jej na myśl. Mimo to nie mogła się opanować. Obrzuciła Honoriusza wściekłym spojrzeniem.

– Boże, ty jesteś nienormalny! Jak ci nie wstyd wypytywać dzieciaki o takie szczegóły? Czy nie rozumiesz, że mogłeś spowodować trwałe urazy

w ich psychice?

– To chłopcy – spokojnie odparł Mond.

– Co z tego? Czy młodzi mężczyźni, przygotowani genetycznie do dźwigania włóczni oraz polowania na mamuty, od najmłodszych lat mają być z premedytacją wystawiani na kontakt ze śmiercią? Nie jesteśmy jaskiniowcami.

– Nie chodzi o jaskiniowców. Sto lat temu normalne było, że dzieci uczestniczyły w przygotowywaniu zmarłych członków rodziny do pogrzebu. Dziewczynki pomagały ich ubierać, chłopcy pełnili rolę przy marach. Śmierć to coś tak samo naturalnego jak narodziny, a nieboszczycy zazwyczaj są bardziej estetyczni niż noworodki.

Szmit przewróciła oczami.

– Po pierwsze, nie jesteśmy „sto lat temu”. Po drugie, nie miałeś prawa decydować o tym, czy poruszyć traumatyczne wspomnienia chłopców bez zgody ich rodziców.

– Myślę, że przynajmniej w jednym przypadku zgodę uzyskałbym za flaszkę wódki.

– Jesteś niepoprawny.

– Nigdy nie aspirowałem do bycia poprawnym. Zgoda to zgoda, prawda?

– A ty nie uzyskałeś nawet jej. To niemoralne.

– Niemoralne jest pozostawienie wątpliwości samemu sobie. Niemoralne jest zapewne również to, że ci o tym wszystkim opowiadam, gdy chłopcom obiecałem, że zostanie to między nami. Ale co miałem zrobić? – Honoriusz bezradnie westchnął. Jego twarz jednak jak zwykle nie zdradzała żadnych emocji. – Od początku gnębiło mnie przeczucie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Że coś jest tam cholernie nie w porządku. Dlatego musiałem pojechać do tej wsi i postarać się czegokolwiek dowiedzieć. Komisarz Berg zapewne nadal tkwi w punkcie wyjścia, a te informacje mogą mu się przydać.

– Chcesz mu je przekazać?

– Chyba tak. Choć zapewne anonimowo. Już i tak podejrzewa mnie o konszachty z diabłem.

– Nie on jeden.

Honoriusz nie zareagował na tę zaczepkę. Mimo wszystko Allegra powoli się uspokajała i najwyraźniej zaczynała rozumieć jego motywacje. To sprawiło mu ulgę, choć nie dał tego po sobie poznać.

– Koniec roboty, nic tu po nas. – Kobieta zdjęła rękawiczki i skierowała się do wyjścia. – Pułapki zastawione, trutki wysypane, jeśli jakiś szczur się uchowa, jutro potraktujemy go gazem. Czas się stąd wyszmitować.

– I tyle?

– Co tyle?

Honoriusz przepuścił ją przodem i gdy znaleźli się na schodach, wyciągnął z kieszeni montecristo.

– Mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć – odezwał się, odpalając cygaretkę. – Nie chciałaś się spotkać dla samego spotkania, prawda? Robotę mogłem wykonać samodzielnie albo ty byś się nią zajęła.

– Skąd to przypuszczenie?

– Po prostu poznałem cię już dość dobrze.

– A jednak nic o mnie nie wiesz. – Allegra zatrzymała się przed budynkiem i spojrzała w niebo. Przeciągnęła dłońmi po policzkach, jakby ocierała łzy. Wreszcie przeniosła wzrok na Monda. Robiło się już ciemno, lecz na jego pociągłą twarz padało światło z pobliskiej latarni. – Chodź ze mną do auta, odwiozę cię albo pojedziemy w pewne miejsce. Muszę ci się do czegoś przyznać.



– Wiem, kim byłeś i czym się zajmowałeś. Wiem o tobie znacznie więcej, niż sądziłeś.

Mond nie wydawał się zdziwiony tym wyznaniem Allegry. Siedział w jej potężnym pick-upie i wpatrywał się w zawieszony na lusterku dziesiątki różańców, czterolistnych koniczynek, podków oraz amuletów. Nie miał pojęcia, jak z czymś ustawicznie dyndającym tuż obok twarzy można było prowadzić.

– Nie zaskoczyłam cię?

Pokręcił głową.

– Spodziewałem się tego.

– Naprawdę? Niby skąd?

– Nigdy nie zapytałaś o moją przeszłość ani nie zdziwiło cię, że wiem, co to *Lucilla sericata*. Twoją ofertę pracy dostałem za pośrednictwem portalu, w którym trafienie na mój profil graniczyło z cudem. Poza tym zgodziłaś się na wszystkie moje warunki finansowe, a to już było kompletnie podejrzane.

– I nie chciałaś wiedzieć dlaczego?

– A czy to by coś zmieniło? Przez ostatnie tygodnie zrozumiałem jedynie, że przed przeszłością nie można uciec. Można z nią co najwyżej zerwać, ale i tak siedzi człowiekowi na karku.

Szmit westchnęła i otworzyła usta, jednak nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Mond perorował dalej:

– Byłaś dziennikarką, wiem to, bo do tej pory masz odruch notowania. Zapewne trafiłaś na jakiś nieprzyjemny temat, który sprawił, że rzuciłaś zawód i zainwestowałaś pieniądze w firmę sprzątającą. Nie była to duża inwestycja, lecz zaciągnęłaś długi. Być może wzięłaś kredyt hipoteczny i sprzedałaś część rzeczy z biura, na ścianach nadal są ślady po obrazach. Dopuszczam też opcję, że oddałaś je w zastaw, ale to dzisiaj mało

popularne, poza tym nie przywiązujesz się szczególnie do przedmiotów i zamiast odkupywać, wolałabyś nabyć coś nowego. – Honoriusz, nie mrugając, wpatrywał się prosto przed siebie. – Twoja wiara jest autentyczna, choć to ciąg skomplikowanych interpretacji, wierzeń i klechd. Nie ciągnie cię do macierzyństwa, ale lubisz dzieci i przejmujesz ich krzywdę. Zapewne wychowywał cię ojciec, z wykształcenia teolog lub filozof. Poza tym...

Allegra ze złością uderzyła dłonią w kierownicę. Spojrzała na Monda, lecz ten nadal siedział nieruchomo, wpatrując się sztywno przed siebie.

– Dość, skończ z tym!

– Przepraszam. Nie chciałem cię urazić, ale to ty grzebałaś w mojej przeszłości.

– Widzę, że z wzajemnością.

– Nie. To wszystko, co powiedziałem, jest tylko dedukcją.

Szmit tak mocno zacisnęła dłonie na kierownicy, że pobielwały jej kłykcie.

– To nie był ojciec, ale ojczym – wycedziła. – Poza tym nie był filozofem, lecz antropologiem ze specjalizacją z etnologii. Cała reszta się zgadza.

Honoriusz się skrzywił.

– Myślałem o etnologii, ale zmylił mnie nacisk na chrześcijaństwo. Widocznie statystyka nie zawsze dobrze służy. Muszę to częściej brać pod uwagę.

– Mogła być zaburzona.

– To znaczy?

– W młodości ojczym chciał wstąpić do zakonu.

Mond odwrócił się i z uśmiechem spojrzał na Allegrę.

– Wobec tego chyba mamy remis? Choć nie do końca rozumiem, po co chciałaś mnie zatrudnić w swojej firmie.

– Po prostu... Kojarzyłam cię z wywiadów w kilku zagranicznych czasopismach oraz z komentarzy dotyczących zbrodni na terenie Polski. Śledziłam przebieg twojej kariery. A potem zniknąłeś. I ni stąd, ni zowąd odkryłam twój profil na portalu dla szukających roboty. Czysty zbieg okoliczności. A ja wierzę, że one zawsze mają sens.

– I wtedy postanowiłaś mnie adoptować? Tak jak adoptowano ciebie? Chciałaś mieć mnie przy sobie, aby poznać człowieka, którego znałaś z gazet?

Szmit z piskiem opon ruszyła spod świateł. Po chwili gwałtownie zjechała na lewy pas i zjechała z głównej trasy. Kierowca z tyłu z furią kilkakrotnie wcisnął klakson.

– Niech będzie mu wybaczone – wyszeptała.

– Temu, co trąbi?

– Wszystko jedno. Wszystkim... Jemu, tobie, mnie...

Mond odchrząknął. Splótł dłonie na piersi i ponownie wbił wzrok w jezdnię przed nimi.

– To nie jest droga w moją stronę.

– Wiem.

– Wobec tego dokąd jedziemy, szefowo?

– Umówiłam nas z pewnym człowiekiem. Jeśli nie chcesz w to dalej brnąć, powiedz to teraz albo się przeżegnaj.

– Żegnanie się to pogański zwyczaj, mający takie samo źródło jak taniec deszczu albo rytuał przejścia ognia. Tyle że zakreśla się krzyż.

Szmit się skrzywiła.

– Wiem o tym. W każdym razie masz ostatni moment, aby zaprotestować.

– Nie zrobiłem tego, jadąc na wycieczkę do Bobolina, więc nie zrobię tego również teraz. – Mond oparł głowę o szybę i zamknął oczy. – Choć powinienem zrobić. Wszystko znów będzie takie jak dawniej, ale ty o tym wiedziałaś. Mimo to zwiodłaś mnie na pokuszenie.

– Broń Boże.

– Powiesz mi chociaż, dokąd jedziemy. Mam kilka koncepcji, ale żadna mi się nie podoba.

– Prawie jesteśmy na miejscu. Byłeś tu już kiedyś przy okazji pewnego śledztwa.

Mond zacisnął usta i przeczesał palcami włosy.

– Tego się spodziewałem, odkąd wybrałaś określoną trasę w stronę rynku. – Westchnął i zerknął na dwuskrzydłową bramę.

O tak, doskonale znał to miejsce.





Prosektorium Katedry Anatomii UJ mieściło się w zabytkowym budynku o architekturze dworskowej z drugiej połowy XIX stulecia. Na jego frontonie znajdował się ozdobny napis „THEATRUM ANATOMICUM”, który niezmiennie nasuwał Honoriuszowi skojarzenia z obrazami Rembrandta przedstawiającymi sekcje zwłok. Wokół rozciągał się niewielki park z wysokimi, bezlistnymi jeszcze drzewami. Ich ponure cienie gięły się w świetle kilku latarni.

Mond z rękoma założonymi za plecy i ze srebrną lufką w ustach zatrzymał się przed bramą. Czuł wewnętrzny opór przed zrobieniem kroku w stronę tego świata, tak mocno tkwiącego w jego przeszłości.

– Życie jest tylko ciągiem fatalnych zbiegów okoliczności – wyszeptał. – Przypadków, reakcji i kontreakcji.

– Co takiego? – Szmit stanęła tuż obok niego i pośpiesznie znalazła na ekranie telefonu krótki SMS. – Coś powiedział?

– Myślimy, że mamy wolną wolę, a poruszamy się jak woły z klapkami na oczach.

– Włączyło ci się filozofowanie?

– Najwyraźniej twoja obecność sprzyja takiej atmosferze.

– Pytałam, czy nie chcesz zawrócić. Zresztą do swojego hotelu dasz radę stąd przejść na piechotę.

Mond schował ustnik do kieszeni płaszcza i przez chwilę przyglądał się grupce studentów rozprawiających przed łukowatymi schodami. Z odległości kilkudziesięciu metrów dobiegały go ich przyciszone śmiechy oraz pełne ekscytacji przekrzykiwania. Być może właśnie uczestniczyli w pierwszej w swoim życiu autopsji. A może ćwiczili przy preparatach stanowiących ostatni podarunek świata przez tych, którzy z niego odeszli. Anonimowi bezdomni, ekscentryczni milionerzy, szczodrzy naukowcy, wszyscy stawali się tak samo dobrym materiałem do nauki.



Czy życie mogło nabierać sensu dopiero po śmierci? To pytanie często stawiał ojciec Monda i podświadomie on również właśnie starał się na nie odpowiedzieć. Nie miał jednak wątpliwości, że to zupełnie bezcelowe. Odwrócił się do Szmit i spojrzał na nią zmęczonymi oczami.

– Jesteś na mnie zły? – zapytała kobieta. – Nie chciałam cię w nic uwikłać.

– Tylko się nam wydaje, że mamy wpływ na inne osoby.

– Zaczynasz bełkotać, Honoriuszu Mondry. Chyba twój organizm dopiero przyswoił ziołówkę.

– Twoje religie nic o tym nie mówią? Przecież wszystko jest w rękach Boga lub bogów.

– O ile po stworzeniu świata nie machnęli na niego ręką.

– „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”, co? – Mond parsknął. – Tyle że po śmierci chcą nas rozliczać i żądają od nas rachunku sumienia.

– Skończ. Nie mam teraz ochoty na te gierki.

– Gierki? To ja się czuję wiecznie rozgrywany.

– Brzmisz jak człowiek z depresją.

– Depresja? Co to takiego?

– A tak, do tego ponoć trzeba mieć uczucia.

– Sądziłem, że jedynie serotoninę.

Allegra ponownie zerknęła na telefon, po czym odczytała wiadomość. Grupa studentów zmierzała w ich stronę, niezmiennie śmiejąc się i przekrzykując.

– Chyba nie czekamy na któregoś z nich? – Mond ponuro przyglądał się przechodzącym. Niektórzy wymieniali z nim przelotne spojrzenie, lecz większość jakby wstydziła się nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. Być może sądzili, że jest jednym z wykładowców.

– Nie. – Szmit schowała telefon i postawiła kołnierz płaszcza. – W zakładzie medycyny mam znajomego z dawnych czasów. Poprosiłam, żeby pogadał z kimś, kto mógłby pogadać z kimś, kto...

– Kto znalazłby patologa zajmującego się sprawą Engela i szczątków z piwnicy?

Allegra skinęła głową. Wiatr rozwiewał jej bujne, przypominające cieniuteńkie sprężynki włosy.

– Opowiesz mu o wszystkim, a on załączy raport do materiałów śledztwa – stwierdziła stanowczo. – To lepsze od składania anonimowych donosów.

– A potem?

– Zadasz mu każde pytanie, jakie zapragniesz, i o ile ten człowiek będzie w stanie, uzyskasz wyczerpującą odpowiedź. Mamy jego pełne zaufanie. Następnie grzecznie wrócimy do domów.

Mond westchnął. Obrócił między palcami srebrną cygarniczkę, ale jej nie wyciągnął. Kątem oka dostrzegł tęgiego człowieka, który szybkim krokiem właśnie zmierzał w ich stronę.

– Dlaczego to robisz? – przyciszonym tonem zwrócił się do Allegry.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może dlatego, że ufam ci bardziej niż policji. A także dlatego, że tak samo jak sprawiedliwość boska jest dla mnie ważna ta ziemską. – Szmit spojrzała mu prosto w oczy. – Ponoć jesteś geniuszem, więc, do cholery, spraw, żeby gliniarze dorwali sukinsyna, który skrzywdził dzieci.



Lekarz, który przedstawił się jako Tomasz Pudwel, miał około sześćdziesięciu lat, pyzată, nalaną twarz i ramiona tak szerokie, że kitel największego rozmiaru zdawał się ledwie je opinać. Mimo przenikliwego zimna mężczyzna nie założył płaszcza, a i tak jego twarz rosił pot. Mówił z lekką zadyszka jak większość osób o przesadnej tężyznie. Miał przy tym małe, ale bystre oczy, którymi uważnie lustrował rozmówców.

Cała trójka zeszła w boczną alejkę parczku, gdzie pozostawała poza zasięgiem wzroku kogokolwiek znajdującego się w szpitalu. Pudwel nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu zależy na konspiracji, więc zapewne była to inicjatywa Allegry. Tymczasem Mond z właściwą sobie pozorną obojętnością zadawał kolejne pytania.

Okazało się, że Pudwel był patologiem wyznaczonym do przeprowadzenia autopsji zwłok odnalezionych w domu Engela. Mimo że nie mogli lepiej trafić, mężczyzna udzielał odpowiedzi dość pokrętnych i Mond miał wrażenie, że umyślnie pomija pewne szczegóły. Poza tym wewnętrzna blokada wciąż zabraniała mu poruszania pewnych tematów. Co więcej, nie do końca rozumiał intencje Allegry.

– Ciała tych dzieci, których stan zwłok pozwalał to ocenić, nosiły znamiona skrajnego wycieńczenia. – Patolog mówił niskim głosem śpiewaka operowego. – Zapytacie, co więcej? Jako przyczynę zgonów należy rozpatrywać odwodnienie, zagłodzenie oraz przegrzanie. Właśnie w tej kolejności. Ale to kwestia ostatnich zwłok.

– Ile ich odnaleziono?

– Łącznie sześć. Czterech chłopców oraz dwie dziewczynki.

Allegra zerknęła na Monda i cicho zaklęła. Honoriusz jedynie pokiwał głową. Tymczasem patolog, nie bacząc na wrażenie, jakie wywarł, mówił dalej:

– Nachylałam się, grzebię w wysuszonych szczątkach, babram się w nich i wiecie co? Pytam się, co komu zawiniły dzieci? – Nie czekając na reakcję rozmówców, natychmiast sam sobie odpowiedział: – Nic. I to mnie diabelnie bulwersuje zawsze, gdy mam przed sobą na stole kogoś do trzynastego roku życia. Potem ludzie się psują, degenerują, ale nie wcześniej. Jasne, są sporadyczne przypadki, jednak to całkiem inna historia, zresztą... – Pudwel zawiesił głos i spojrzał na Allegrę. – Przepraszam. W obecności żywych mam zwyczaj rozgadywania się. Pozwólcie, że usiądę. Nastałam się przy stole niemal od rana. Padam na pysk.

Lekarz ciężko usiadł na drewnianej ławce i założył ramiona za jej oparcie.

– Dołączycie się? – zapytał. – Czy wolicie stać?

– W tym zimnie wybieram stanie – odparła Allegra.

Mond nawet nie drgnął. Wciąż tkwił w tej samej pozycji, jakby lekarz nigdzie się nie ruszył.

– Z jakiego okresu pochodzą najstarsze zwłoki?

– Nad tym już będą głowili się w laboratorium. To nie moja działka.

– Ale zapewne potrafi pan chociaż w przybliżeniu oszacować ich wiek?

Patolog zabębnił palcami w drewniane oparcie.

– To nie takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Poza tym wpływ ma mnóstwo czynników, o których trudno się wypowiadać bez szczegółowych analiz. Chcielibyście, żebym zgadywał? A tak, widzę po panu, panie Mond, że pan lubi zmuszać ludzi do strzelania w ciemno. Do rozstrzeliwania ich, że tak powiem. – Lekarz mówił to z lekkim uśmiechem, bez cienia niechęci. – No dobrze, dobrze... Najstarsze zwłoki nosiły znamiona mumifikacji. Usunięto z nich narządy wewnętrzne i zabezpieczono czymś w rodzaju lakieru...

– Lakieru? – Allegra z niedowierzaniem pokręciła głową. – Mój Boże, to obłąd!

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Proszę winić ludzi.

– Powtarzam jej to samo – wtrącił się Mond. – Ale co do zwłok...

Patolog po raz kolejny sapnął.

– Ależ pan niecierpliwy, mój drogi – odezwał się po chwili. – Każesz mi pan strzelać, a ja nie lubię żadnego strzelania. Odmawiałem go nawet

w wojsku. Ale obstawiam, że najstarsze zwłoki mają co najmniej piętnaście, może nawet dwadzieścia kilka lat. Wskazuje na to między innymi stopień kruszenia niezabezpieczonych kości, ich kolor oraz chropowatość. Wiecie, że kości z czasem się utleniają i zmieniają kolor? Tak, tak, zachowują się jak złoto, które na przykład w pobliżu rud żelaza zabarwia się na czerwono. Podkrwawiają, że tak powiem. Jednak ze szkieletami jest nieco inaczej...

Tym razem Mond nie czekał, aż lekarz rozpocznie kolejny oboczny wywód. Uznał, że nadszedł najwyższy czas, aby przedstawić mu informacje, które zdobył od chłopców. Podzielił się również spostrzeżeniem dotyczącym zegarka Engela, układu jego zwłok i stopniem ich rozkładu. Na koniec zasugerował, że chciałby, aby patolog przekazał te „nowinki” komisarzowi Bergowi jako własny wkład w śledztwo.

Pudwel nie wyglądał ani na zachwyconego, ani na rozentuzjasmowanego wizją wnoszenia czegokolwiek do akt sprawy ponad to, czego bezwzględnie wymagały od niego przepisy. Otarł dłonie o uda i przewrócił oczami.

– A już na pewno nie zanotuję żadnych domysłów – zakończył swój wywód. – Poza tym... – Sapnął. – Poza tym jest coś, co istotnie komplikuje całą historię.

Patolog wyjął policzki i wymownie spojrzał na Monda.



Patolog z iście teatralną zręcznością potrafił budować napięcie. Najpierw oderwał wzrok od twarzy Honoriusza, spojrzął na swoje dłonie, by wreszcie po raz enty przegładzić pogięty kitel. Mond przez cały czas stał nieruchomo, ze zmarszczonymi brwiami, zapewne traktując słowa Pudwela jako wyzwanie i zagadkę, którą powinien rozwiązać.

– Co niby komplikuje sprawę? – Allegra poirytowanym tonem wyraziła na głos niesformułowane dotąd pytanie. – Może pan mówić jaśniej?

– Zdaje się, że pan Engel komplikuje sprawę. – Mond odparł za patologa. – Czyż nie?

Mężczyźni ponownie wymienili spojrzenia, a puciołowaty lekarz chrząknął, co najwyraźniej miało stanowić dowód uznania dla logiki Honoriusza.

– Jak ja lubię ludzi, którzy pytanie retoryczne potrafią zakończyć staroświeckim „czyż nie?” – stwierdził po chwili. – Jest pan ginącym gatunkiem, panie Mond.

– Na szczęście dla świata.

– Dobre sobie, naprawdę! Ale co do pana Engela, ma pan rację. Problemem jest to, że na razie nie mam żadnych dowodów, by do jego śmierci przyczyniły się osoby trzecie.

– Żadnych?

– Żadnych. Mimo że stan zwłok nie ułatwia mi pracy, niemal na sto procent jestem przekonany, że przyczyną zgonu było samobójstwo.

Mond nasunął głębiej kapelusz i założył dłonie za plecy.

– Tego się obawiałem. – Jedyne nadzwyczajna powściągliwość powstrzymała go przed zaklęciem. – Nienaturalne ułożenie zwłok po śmierci, ich poruszanie się, zapewne czerwonoróżowe plamy opadowe, intensywny proces wydzielania tłuszczu oraz jego szczególna konsystencja, a do tego charakterystyczna reakcja na nagły dopływ tlenu... Zatrucie?

Pudwel był pod wrażeniem wyводу Honoriusza, lecz powstrzymał się od komentarza.

– Wiele na to wskazuje.

– W takim razie co z tym zegarkiem? – wtrąciła się Allegra. – Przecież nie nakręcił go po śmierci.

– Tego nie potrafię wyjaśnić. Chłopcom mogło się coś przewidzieć. Dziś zegarek już nie chodził.

Mond przeszedł nerwowo to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie się zatrzymał, wyciągnął ustnik i nabił go cygaretką. Z ekstatyczną przyjemnością zapalił. Wypuścił kłęb dymu, zmrużył oczy i przez chwilę milczał.

– Mały nie zmyślał – stwierdził kategorycznie. – Nie była to również kwestia przewidzenia. Skoro potwierdza pan, że Engel miał na nadgarstku nakręcany zegarek sprzed czterdziestu czy pięćdziesięciu lat, nie mam wątpliwości, że chłopiec zwrócił uwagę na godzinę.

– Skoro jest pan o tym przekonany.

– Powinien pan to ująć w raporcie.

– Gdyby zegarek nadal chodził, zrobiłbym to. A tak nie zamierzam opierać się na fantazjach kilku nastolatków. Poza tym... – Pudwel założył dłonie za głowę i z wymowną miną mlasnął. – Sytuacja wygląda tak, że siedemdziesięciolatek popełnia samobójstwo akurat nad wjazdem do piwnicy. W piwnicy zostają odnalezione zwłoki dzieci zamordowanych lub zagłodzonych, co zresztą na jedno wychodzi, w ciągu ostatniej dekady. Czy to nie rozwiązuje sprawy lepiej niż gilotyna, że tak powiem?

Patolog pokręcił głową, co sprawiło, że Mond się zasępił. Sięgnął po srebrny ustnik, lecz jedynie obrócił go między palcami, raz za razem się zaciągając. Jednocześnie co chwilę wypuszczał nosem kłęby dymu.

– Szkoda, że śledztwo prowadzi ten pechowiec Berg.

– Dlaczego? – Allegra natychmiast chwyciła przynętę. – Nie zdążyłam się o nim niemal niczego dowiedzieć.

– Komisarz Berg... Po prostu mam z nim jak najgorsze doświadczenia.

Szmit poruszyła palcami rąk, starając się rozgrzać.

– Wydawał się profesjonalny. Kiedy ze mną rozmawiał, aż biło od niego pozorem kompetencji i...

Patolog pokręcił głową, jakby chciał ukrócić błędne domysły.

– To nie jest zły policjant, ale nie nadaje się do wydziału kryminalnego. Rozumiecie? Trzeba określonych typów osobowości, określonych cech, aby zajmować się zwłokami. On tego nie ma. Był w wydziale narkotykowym, lecz, zdaje się, jakiś czas temu go przeniesiono, choć może to tylko plotki albo domysły. W każdym razie ma słabą statystykę, a zbrodnie się go trzymają jak grzyby truchła, że tak powiem. Na swoich dyżurach trafia na naprawdę paskudne przypadki. Wiecie, co mam na myśli? – Lekarz porozumiewawczo zerknął na rozmówców, po czym swoim zwyczajem nie czekał na ich reakcję, lecz mówił dalej: – Brutalne zabójstwo trzech osób w kamienicy na Prądniku sprzed dwóch miesięcy? Jego sprawa. Ostatnie zabójstwo zakonnika na Podgórzu? Jego sprawa. Oczywiście zabójców jak nie było, tak nie ma.

Mond zerknął spode łba na lekarza. Wyjął niedopałek cygaretki z ustnika i pstryknął go do nieodległego kosza. Żar rozwiął się, przez chwilę znacząc w powietrzu ognistą ścieżkę.

– Dlatego poprosił, aby w miarę możliwości jeszcze bardziej nie psuć mu statystyki? – zapytał z ponurym uśmiechem. – Na papierze wszystko będzie załatwione, a sprawa na razie trafi *ad acta*?

Patolog z wysiłkiem założył nogę na nogę, lecz zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. Spojrzał na Allegrę, osłaniając oczy dłonią przed światłem latarni.

– Pani znajomy, który nas umówił, powiedział, że kiedyś zajmowała się pani dziennikarstwem śledczym.

– Powiedział panu prawdę.

– Nie wątpię. I choć nie mam pojęcia, czym zajmował się pan... A może nazwisko, które znam z relacji przyjaciół, to nie jest zbieg okoliczności? – Lekarz ponownie zerknął na Monda, ale nie czekał na odpowiedź. – Z własnego doświadczenia wiem, że prawda bywa łatwiejsza do uchwycenia, gdy nie ma się rąk związanych formalnościami.



Honoriusz milczał, lecz nie odwrócił wzroku. Po chwili porozumiewawczo skinął głową. Tomasz Pudwel poprawił kitel i powoli podniósł się z ławki.

– Zapewne jeszcze się spotkamy. – Sapnął. – A może wcale nie? Oby nie... Oby nie...

– Wtedy może powie pan coś więcej.

Allegra westchnęła, spoglądając, jak lekarz ciężkim, powolnym krokiem się oddala. Dopiero po chwili spostrzegła, że na ławce, na której siedział, coś leży. Z pewnością nie było tam tego wcześniej, więc... Zbliżyła się i sięgnęła po złożoną na pół białą kopertę.

– Doktorze, zostawił pan coś!

– To dla pana Honoriusza – odparł lekarz potężnym basem. – Powinno go zainteresować.

Nawet się nie odwrócił. Niezmiennym, posuwistym krokiem zbliżał się już do głównej ścieżki. Po chwili jego wielkie cielsko zniknęło za zakrętem.

Mond niechętnie wziął od Allegry kopertę i obrócił ją w dłoni. Nabrał głęboko powietrza, po czym bez słowa skierował się w stronę wyjścia z terenu akademii.



– Honoriusz!

Mond maszerował z białą kopertą pod pachą. Stawiał długie kroki, nie bacząc na pojedyncze kałuże.

– Nie sprawdzisz, co w niej jest? – Szmit dogoniła go dopiero przy bramie. – No, otwórz.

– Nie teraz.

– A kiedy?

– Musi nadejść jej czas. – Mond przeszedł bramę i zatrzymał się przy wielkim pick-upie. – Albo mój.

– Dlaczego jesteś taki oschły? Wściekasz się na mnie?

– Nie.

– A jednak...

– Kiedy mówię „nie”, to znaczy „nie”. No, wsiadaj do auta i wracaj do domu.

Allegra stanęła obok niego i spuściła głowę. Kierując się tajemniczym kluczem, pogładziła palcami lewej dłoni niektóre bransoletki na prawym nadgarstku. Mond stanowczo otworzył drzwi pick-upa od strony kierowcy.

– Powiedziałem, jedź do domu.

– Sprawiałam ci przykrość? – Szmit chciała uchwycić jego wzrok, lecz Honoriusz spojrzał gdzieś ponad nią. – Dawałam ci szansę wycofania.

– Znowu zaczynasz gadać o tym samym. Temat odpowiedzialności mamy już za sobą.

– A jednak wyglądasz na obrażonego.

– Kiedy się obrażam, zupełnie przestaję się odzywać i ukradkiem płacę. Teraz po prostu muszę w ciszy pomyśleć. Bez rozmów o fatum, bożkach indyjskich i tych wszystkich bzdurach.

– Tematy naszych rozmów uważasz za bzdury?

Mond potrząsnął głową.

– Jedź do domu i bądź ostrożna – rzucił, kierując się w stronę plant. – On już wie, kim jesteście.

– O kim ty mówisz? O Pudwelu?

W pierwszym odruchu Szmit chciała pobiec za Honoriuszem, lecz po zrobieniu kilku kroków zrezygnowała. Mond, nie oglądając się, przebiegł na drugą stronę ulicy i zniknął jej z oczu za rzędem zaparkowanych aut.

Chwilę później wsiadła do samochodu, po czym natychmiast uruchomiła silnik. Wcisnęła przycisk blokujący drzwi i wyciszyła radio. Starła się uporządkować myśli. Wyciągnęła dłoń po zawieszony na lusterku amulet, ale nie dotknęła żadnego z nich. Nagle, pod wpływem impulsu, dodała gazu i włączyła się do ruchu. Ponownie starła się wypatrzyć Monda, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Musiał oddalić się sobie tylko znanymi ścieżkami.

– Faktycznie jesteś dziwny – wyszeptała, sięgając po komórkę.

Przez kilka sekund wahała się, wreszcie rzuciła ją na siedzenie pasażera. Zamiast niej sięgnęła po włożony do podręcznego schowka niewielki przedmiot. Był to pojemnik z gazem pieprzowym. Schowała go do kieszeni w momencie, gdy poczuła lekkie uderzenie. W lusterkach odbiły się mocne światła samochodu tuż za nią. Samochodu, który usiłował ją staranować.



Mond, całkowicie pogrążony w myślach, nawet nie wiedział, kiedy pokonał trasę do CK Browaru. Właściwie na dobre odzyskał kontakt z rzeczywistością, gdy ktoś o mały włos nie zdzielił go drzwiami prowadzącymi do lokalu. Nagle zdał sobie sprawę, że w ustach trzyma srebrną lufkę ze zgaszonym niedopałkiem montecristo, a założone za plecy dłonie niemal zupełnie mu skostniały z zimna. W pierwszym odruchu przeraził się, że zgubił kopertę, ale okazało się, że ta, zwinięta w rulon, tkwi w kieszeni jego płaszcza. Międląc ją w dłoniach, podszedł do baru. Tym razem nigdzie nie dostrzegł Franca, więc złożył zamówienie u jednej z kelnerek.

Usiadł samotnie, przy ścianie, niedaleko gabloty z nagrodowymi kuflami oraz szklanicami. Kopertę położył na stoliku przed sobą. Kilukrotnie z namaszczeniem gładził ją dłonią, ale powstrzymywał się przed otwarciem. Aby skrócić czas oczekiwania na danie, dwukrotnie domawiał podwójne porcje absyntu. Po sześciu kieliszkach, pochłoniętych niemal na pusty żołądek, poczuł zawrót głowy. Na całe szczęście właśnie wtedy stanęła przed nim porcja ulubionych żeberek zapiekanych w miodzie z zasmażaną kapustą. Sycące danie, które mogło postawić na nogi nawet po wypiciu bimbrowego na złanej z silnika ropy naftowej.

Mond pośpiesznie zjadł i rozochocony wypił jeszcze dwie kolejki absyntu. Nie zabawiał się w przelewanie go przez cukier, więc alkohol z podwójną mocą rozgrzał go od środka. Tak smakował najlepiej.

Pobudzony nagłą myślą, nie czekając na kelnerkę, podszedł do baru i uregulował rachunek. Pośpiesznie skierował się do wyjścia, lecz w połowie schodów przystanął. Pijackim gestem zaszalutował w stronę portretu Cesarskiej Mości Franciszka Józefa.

– Trzymaj kciuki – rzucił zuchwale.

Pół godziny później znajdował się w taksówce dojeżdżającej do Bobolina. Siedział z tyłu, z głową opartą o lekko opuszczoną szybę.

– Gdzie dokładnie? – zapytał kierowca. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Mond drgnął i upewnił się, że koperta wciąż jest w kieszeni jego płaszcza. Następnie odruchowo poprawił węzeł krawata.

– Pod bar.

– Ten przy sklepie?

– A jest ich więcej? Mam na myśli najgłośniejszy bar w tej zapadłej dziurze.

Taksówkarz zjechał na pobocze i wskazał głową w stronę niewielkiego, nieotynkowanego budynku, przed którym stało kilka osób. Ze środka dobiegała głośna muzyka.

– Bawią się – skwitował, podając Mondowi paragon.

– A co w takich wiochach robić poza odtańczeniem tańca śmierci?

Honoriusz zapłacił, postawił kołnierz płaszcza i lekceważąc zdumione spojrzenie kierowcy, wysiadł z auta. Sprężystym krokiem minął grupkę podchmielonych młodzików, od których niósł się zapach marihuany. Po chwili wszedł do prostej wiejskiej knajpy z rzędami stołów, parkietem tanecznym pośrodku oraz barem pod ścianą. Przy wejściu stały trzy niedziałające automaty do gier.

– Przyszedłeś rozmawiać z chłopcami? Twój koleś tuż po dobranocce poszli spać.

Honoriusz zerknął na mężczyznę ze zmierzwioną brodą, który w południe przestrzegł go przed powrotem do wsi. Teraz przybrał wyraźnie konfrontacyjną postawę, blokując Mondowi drogę i unosząc butelkę z piwem. Zataczał się, jednak Honoriusz całkowicie go zlekceważył. Przeszedł bokiem, uśmiechając się do grupki dziewcząt siedzących przy oknie. Zamówił piwo, po czym spoczął na pojedynczym krześle wciśniętym niemal w róg sali.

Tymczasem brodacz gdzieś zniknął. Repertuar didżeja stanowił mieszaninę disco polo, polskiego rapu oraz rozmaitej jazgotliwej muzyki, która budziła niezmiennie zdziwienie Monda, że na robieniu hałasu w najczystszej postaci można zarobić. Było to niezwykle zjawisko.

Z minuty na minutę na parkiecie przybywało tańczących. Większość gości stanowili podchmieleni nastolatki oraz mężczyźni starsi od nich o całe pokolenie, jakby jakaś zaraza sprzątnęła dwudziesto- i trzydziestoparolatków. Zapewne ci odsypiali po dniu ciężkiej pracy.

– Kogo ja widzę?

Do Monda od strony toalet podeszła mocno umalowana, zgrabna kobieta w jeansach oraz obcisłej bluzce. Gdyby nie te same adidas, jakie miała na sobie przed południem, poznanie jej byłoby prawdziwym wyzwaniem.

– Pani Lasecka!

– Zuza.

– A ja...

– Honoriusz. Tak, zapamiętałam. Nie sposób zapomnieć.

Mond się uśmiechnął i wstał z krzesła.

– Proszę usiąść.

– Nie, dzięki. Jestem tu z koleżankami.

– Wymiana lokalnych plotek?

– Po tych wszystkich latach mieszkania w tym miejscu chyba nadal nie dopuszczają mnie do większości z nich.

– Nie jesteś stąd?

– Przeprowadziłam się kilka lat temu i ciągle jestem niemal tak samo obca jak ty. – Lasecka wzruszyła ramionami. – Ale mój nicpoń już śpi, więc mogę się nieco odprężyć. Choć dziś wszyscy gadają tylko o jednym.

– Naprawdę? – Honoriusz wznosił kufel piwa jak do toastu i upił łyk. – O czym?

– Jak to o czym? O Engelu i jego ofiarach.

– Zdaje się, że śledztwo jest w toku.

Zuza wzruszyła ramionami i odwróciła się do kobiet siedzących kilka stolików dalej. Pomachała w ich stronę.

– Od lat mówiło się, że w okolicy dzieci przepadają bez wieści – odezwała się po chwili. – Straszło się tymi opowieściami dzieci. Ale nikt nie sądził... Nikt nie przypuszczał, że ich zwłoki znajdują się w domu obok tej... Obok naszej wsi.

– Nikt nie podejrzewał pana Engela?

– Absolutnie! To był nieco zdziwaczały, ale niesamowicie sympatyczny facet. Ponoć kilkanaście lat temu zrezygnował z nauczania muzyki w pobliskiej szkole.

– Uczył muzyki?

– Tak. Zdaje się, że kiedyś był w Krakowie solistą czy kimś tam takim.

Mond odstawił piwo na stolik i przygryzł wargę.

– A to ciekawe.

– W ogóle nad tym stanowiskiem ciąży jakaś klątwa. Ten tam... – Lasecka ukradkiem wskazała na brodacza, który pojawił się przy drzwiach baru – zastąpił Engela po odejściu z pracy. Przepracował dwa czy trzy lata, ale w tym czasie zaginęło jego dwóch uczniów. Ponoć miał wyrzuty sumienia, że nie potrafił przekonać ich, by nie wracali do domu przez las, tylko dłuższą, ale główną drogą, i również się zwolnił.

– Ten facet też jest muzykiem?

Mond zmierzył brodacza wzrokiem. Ten, wymieniwszy kilka uwag z kumplami, niemal w tym samym momencie ruszył w jego stronę.

– Igor Tuchin – przedstawiła go Zuza. – Po odejściu ze szkoły niestety się rozpił i szybko stoczył na samo dno.

Jakby na potwierdzenie tych słów brodacz się zatoczył. Chwilę później jakimś pijackim zrywem dopadł do Monda i zacisnął pięści. Natychmiast zamachnął się, chcąc go uderzyć w twarz. Honoriusz zwinnie się uchylił, lecz pijaczek natychmiast ponowił atak. Tym razem Mondowi udało się go sparować i odskoczyć na bok.

– Ostrzegałem, żebyś tu nie przyjeżdżał, gnoju – wybełkotał Tuchin. – Mącisz i przywozisz ze sobą problemy.

– Prawdę mówiąc, staram się je rozwiązywać.

– Naprawdę? Patrzcie, jaki mądrała! Choć tym razem przyjeżdża taksówką, bo pewnie boi się zabłocić swoje auto.

Mond westchnął. Nie miał zamiaru wdawać się w utarczkę z pijakiem, tym bardziej że do niesienia mu pomocy było chętnych kilku kolejnych drabów.

– Panowie, dajcie spokój! – Zuza starała się opanować Tuchina. Momentalnie pojawili się przy niej jedna z koleżanek oraz jakiś łysy

młodzieniec.

Po chwili do towarzystwa dołączył barman.

– Taksówka na pana czeka – rzucił oschle. – Lepiej niech pan wyjdzie.

Tuchin oraz jego kolega atakowali Monda, lecz ten z niezwykłym sprytem unikał kolejnych ciosów. Lawirując, zdołał wycofać się między stolikami. Wreszcie gdy jeden z drabów chwycił go za połę płaszcza, wywinął się i zdzielił go obok prawego ucha. Zamroczony osiłek zdziwionym wzrokiem powiódł po kumplach, po czym kompletnie bezwładnie zwałił się na podłogę.

– Hoo-i-boo! – rzucił ni to w stronę tłumu, ni to do siebie Honoriusz. Jednocześnie łokciem otworzył drzwi. – Splot nerwów, których gwałtowny ucisk powoduje chwilowy paraliż. Nic mu nie będzie... Zalecane jest podniesienie głowy, żeby nie zadławił się językiem.

Widząc rosnące oburzenie oraz natłok agresywnych klientów baru, pośpiesznie wycofał się na dwór. Na szczęście podwórze wydawało się puste, a taksówka rzeczywiście czekała przy wjeździe na parking.

Mond ściągnął połę płaszcza i pośpiesznie ruszył w stronę auta. Gdy znalazł się w środku, podał adres hotelu, po czym wyciągnął kopertę. Nie czekając, aż pojawią się wątpliwości, natychmiast ją rozerwał. Rozproszone światło latarni padło na plik kartek. Już pierwsze przeczytane linijki wystarczyły, by Honoriusz zapomniał o bożym świecie i wstrzymał oddech.





Allegra dodała gazu i jej pick-up z rykiem silnika wyrwał do przodu. Zerknęła w lusterko, lecz podążające za nią auto nie zwalniało. Pojazd znajdował się zaledwie kilka metrów z tyłu, utrzymując jednak stałą odległość.

Szmit sięgnęła po telefon. Wciskając gaz niemal do oporu, chciała wybrać numer alarmowy. Jednak nim to zrobiła, dostrzegła wąską uliczkę prowadzącą między podwórzami kamienic. Gwałtownie przyhamowała i wykorzystując wszystkie systemy utrzymujące zardzewiały pojazd w torze jazdy, skręciła niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Rozległ się pisk opon, ponad który przebiło się wściekłe trąbienie. Allegra, nie zważając na to, ponownie dodała gazu. Modliła się, by na jezdnię nie wyszedł przechodzień lub nie wybiegło jakieś zwierzę. Prawie trzydziestoletni pick-up był bliski rozpadnięcia się.

Po kilkudziesięciu sekundach Szmit zdała sobie sprawę, że nikt jej nie ściga. Jechała sama, kompletnie pustą uliczką. Rozluźniła uścisk dłoni na kierownicy. Palce miała aż zdrętwiałe od wysiłku. Czuła, że po czole ścieka jej pot.

– Cholera...

Zwolniła i starała się uspokoić oddech. Serce kołatało jej tak mocno, że czuła je niemal w przełyku. Nie była pewna, czy wydarzenia z ostatnich minut nie stanowiły jedynie wytworu jej wyobraźni. Może spanikowała? Może napięte nerwy sprawiły, że huk zawieszenia na nierówności jezdni wydał jej się uderzeniem?

Wyjechała na dwupasmową ulicę i odetchnęła. Tu nic jej nie groziło. Wokół było mnóstwo aut oraz przechodniów. Przejechała jeszcze kilkaset metrów, po czym zjechała na pobocze. Nie wyłączając silnika, wysiadła z samochodu i uważnie się rozejrzała. Nie dostrzegła, by jakiegokolwiek auto również teraz parkowało. Wokół nie było nikogo podejrzanego,

z wyjątkiem paru meneli siedzących na chodniku niedaleko wejścia do sklepu monopolowego. Neon rzucał na ich twarze na przemian czerwone oraz zielone światło.

Szmit ukradkiem się przeżegnała, po czym powoli obeszała samochód. Nachyliła się, by obejrzeć zderzak. Nawet w półmroku było widać niewielkie wgniecenie oraz podłużną rysę.

– Czyli nie oszalałam... – szepnęła, prostując się. Jeszcze raz się przeżegnała, po czym wróciła do auta.

A jeśli ktoś przypadkowo uderzył w tył jej pick-upa, a potem chciał się zatrzymać, by spisać protokół? Albo uznał, że to ona jest winna stłuczki, i usiłował ją gonić? Biorąc pod uwagę manewry, jakie wykonywała w kolejnych sekundach, mógł uznać, że jest pijana lub pod wpływem środków odurzających. Mógł już nawet zgłosić sprawę na policję. Jeśli dysponował nagraniem, zapewne czyste domniemanie wystarczyłoby, aby uznać Allegrę za winną.

Kup se kota i się uspokój, zganiła się w myślach. Powoli uspokajając oddech, zabębniła palcami w kierownicę. Nagle coś zastukało w jej szybę. Niemal podskoczyła, gdy dostrzegła twarz siwego, chudego mężczyzny.

– Proszę pani, czy pani wyjeżdża?

Dobiegające z zewnątrz stłumione pytanie sprawiło, że niemal wybuchła nerwowym śmiechem. Opanowała się i uprzejmie skinęła głową. Wrzuciła bieg, po czym powoli wycofała auto na ulicę.

Musiała się opanować. Musiała w końcu zwyciężyć z tkwiącymi w niej od miesięcy lękami. Postanowiła wrócić do domu i oddać się długiej, kojącej medytacji.



Taksówka jechała ulicami pozbawionymi latarni, przez co Mond nie był w stanie niemal niczego rozczytać, a gdy zapalił światło umieszczone w podsufitce, kierowca natychmiast zwrócił mu uwagę.

– To zabronione.

– Przez?

– Przepisy. Proszę wyłączyć.

– Osłonię je dłonią tak, żeby padało mi prosto na kartki.

– Nie będę mógł kontynuować kursu, proszę zgasić to światło.

Honoriusz nerwowo westchnął.

– Ale kiedy będzie osłonięte, nikt nie zwróci na to uwagi. O! Widzi pan?

– Nie.

– Czyli wszystko się zgadza, bo policja również nie zauważy.

Taksówkarz nie podzielał jego poczucia humoru. Istotnie zwolnił, co stanowiło niezawodny znak, że jest gotów spełnić swoją groźbę i zakończyć kurs. Mondowi nie uśmiechało się maszerowanie po nocy kilkunastu kilometrów, wobec czego niechętnie zgasił światło. Schował dokumenty do koperty i przymknął oczy. Aby zająć czymś myśli, odliczał mijane samochody.

– Reflektory aut z naprzeciwka oświetlają nas tak samo jak ta lampka – wycedził po kilku minutach milczenia.

– To bez znaczenia.

– Wręcz przeciwnie. – Honoriusz otworzył oczy. – Minęło nas czterdzieści siedem pojazdów, które łącznie rozświetlały wnętrze przez co najmniej półtorej minuty. A przez ten czas...

– Jest pan pijany... – wszedł mu w słowo taksówkarz.

– Bynajmniej.

Po tej wymianie zdań w aucie ponownie zapadła cisza. Gdy tylko zatrzymali się przed hotelem, Mond uregulował płatność i rzucił się ku

wejściu. Lekceważąc wychodzących ludzi, wpadł do środka, po czym pędem wbiegł po schodach. Nie zwrócił uwagi na głos oburzenia starszego mężczyzny wspierającego się o lasce. Niemal wywrócił stojącą w korytarzu wazę, wreszcie, uderzając drzwiami o ścianę, wmaszerował do pokoju.

Natychmiast rzucił teczkę na drewniane biurko i przyciągnął do niego stojący przy szpinecie fotel. Zakręcił się w kółko jak cyrkowiec. Nim zaczął czytać, wyciągnął ustnik i nabił go cygaretką. Choć w pokoju obowiązywał całkowity zakaz palenia, w związku z tym, że wynajął go długoterminowo, przymknięto oko na odpięty czujnik dymu. Mimo to tym razem Mond nie zapalił. Jedynie międlil lufkę, zaciągając się aromatem suszonych liści tytoniu.

Powoli, delektując się chwilą, wyciągał z teczki kolejne strony. Kopia raportu medyków stwierdzających zgon, kopia sporządzonego przez kryminalistyków schematu miejsca zdarzenia, protokół oględzin, wreszcie wstępny formularz przeprowadzonych autopsji sześćdziesięciodwuletniego mężczyzny oraz czworga dzieci. Najwyraźniej dwójka jeszcze czekała na sekcję.

Mając ogólne rozeznanie w posiadanym materiale, Honoriusz zaczął uważnie go studiować. Większość informacji nie stanowiła dla niego zaskoczenia, ponieważ pokrywała się z jego dotychczasowymi domysłami. Schemat kryminalistyków ani raport medyczny nie wniosły całkowicie niczego. Niestety wśród dokumentów nie znajdowały się żadne dalsze protokoły z przeszukania domu Engela, a przez to żadna wzmianka o znalezionych i zabezpieczonych śladach oraz jakichkolwiek dowodach. Najwyraźniej procedury dbały, by patolog otrzymał tylko to, co było ściśle potrzebne do wykonania przez niego pracy.

Mond odłożył cygarniczkę na biurko i sięgnął po przeźroczystą koszulkę z adnotacją: „materiał zdjęciowy”. W środku znajdowało się około dwudziestu wydrukowanych fotografii, a na pierwszej z nich ukazano zwłoki Engela tak, jak zastano je w kuchni. Mężczyzna leżał na boku, z głową nienaturalnie odchyłoną do tyłu, wyciągniętą ręką i z podkulonymi nogami. Znajdował się dokładnie w miejscu, w którym tuż pod wykładziną ukryty był włącz do piwnicy.

Honoriusz sięgnął do szuflady po małe, wyściełane aksamitem etui. Wyjął z niego składaną, mocno powiększającą lupę. Starannie rozłożył zdjęcia na blacie, po czym zaczął je studiować. Przekładał je w rozmaitej kolejności, wertował, oglądał nawet pod różnymi kątami. Na sam koniec zostawił dokumentację fotograficzną sekcji dzieci. Te miały stanowić crème de la crème wieczoru. Jednak gdy tylko sięgnął po pierwsze ze zdjęć, jego kamienna dotąd twarz nagle stężała, usta zacisnęły się, a źrenice się rozszerzyły.



Po kwadransie lustrowania zdjęć Mond wstał i przesunął fotel do szpinetu. Nim usiadł, podszedł do barku, z którego wyciągnął butelkę absyntu oraz kryształowy kieliszek na nóżce. Wrzucił do niego kostkę cukru, a następnie zalał alkoholem. Postawił zielonkawy trunek na skraju instrumentu, na malutkiej haftowanej serwetce, która miała chronić politurę przed uszkodzeniem.

Wreszcie, siadając przed klawiaturą, wyciągnął telefon i głosowo wybrał jeden z zapisanych kontaktów. Gdy rozległ się dźwięk nawiązywanego połączenia, zaczął cicho grać. Improwizował. Wygrywał ponure, dość ciężkie tony, które kontrastowały z krotochwilną duszą szpinetu.

– Honoriusz?

Z głośnika dobiegł damski, głęboki głos.

– Co to za łupanina? Usiłujesz coś stworzyć?

– Tworzę – odparł, delikatnie nachylając się ku komórce. – Takiego układu nie zagrał nikt przede mną i nie zagra nikt po mnie.

– Jest okropny. To wirginał?

– Szpinet.

– Jeszcze gorzej. – Kobieta wymownie westchnęła. – Co cię podkusiło?

– Dobrze wiesz, wyzwanie.

– Na tym nie da się dobrze zagrać. Wydobywasz dźwięki podobne do pisku francuskiej guwernantki, która ma rozwolnienie i biegnąc do kibla, musi zdjąć dziesięć warstw ubrań.

Mond uniósł dłonie, pozwalając jeszcze przez moment rozbrzmiewać melodii.

– Naprawdę nie dostrzegasz trzystuletniego piękna?

– Piękna? Jesteś racjonalny, więc powinieneś rozumieć, że każdy porządniejszy elektroniczny instrument jest w stanie je naśladować.

– Naśladować, ale nie odwzorować.

Kobieta parsknęła. Przez chwilę na łączu panowała cisza, nagle rozległ się dźwięk wypuszczanego w słuchawkę powietrza.

– To jest melodia – odezwała się wreszcie. – Impulsy elektryczne, drgania, amplitudy. Nigdy dwa razy nie wypuścisz powietrza w taki sam sposób.

– To klątwa saksofonistów. Poza tym...

– Dość. Teraz powiedz mi, po co dzwonicz.

Mond się wyprostował i położył dłonie na klawiszach, jednak ich nie nacisnął. Zerknął w stronę leżących na biurku dokumentów. Następnie przeniósł wzrok na absynt, którego powierzchnia wciąż drżała, wprawiona w wibrację już niesłyszalną melodią.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy jeśli będę tego potrzebował, mogę liczyć na twoją pomoc. Tak jak dawniej, bez pytań i wyrzutów.

Kobieta cicho się zaśmiała. Brzmiała raczej serdecznie i Honoriusz nie doszukał się w jej śmiechu nuty sarkazmu.

– Mój drogi... Po pierwsze, wiem, że właśnie jesteś w Krakowie.

– Sprawdziłaś to?

– Mogłabym, ale co mi po tym? Już wiedziałabym, gdzie się zaszył, z dokładnością do dwóch i pół metra.

– Ostrzegam, że szpinet jest ustawiony przy ścianie i mogłabyś zrobić nalot niewinnemu człowiekowi.

Kobieta całkowicie zlekceważyła tę uwagę.

– Wiem, gdzie jesteś, bo pewien komisarz na konferencji prasowej dwukrotnie odniósł się do nekrofauny i „entomologicznego materiału dowodowego”. Wiesz, jak to brzmiało w jego ustach? Kto w ogóle o tym mówi w trakcie konferencji prasowej? Musiałeś mocno mu sięść na psychikę i wywiercić niezłą dziurę w brzuchu.

– Wcale nie.

– Nie bądź taki skromny. Ale przejdźmy do punktu drugiego.

– Na to czekałem.

– Jesteśmy rodziną, Honoriusz. – Kobieta powiedziała to lodowatym, całkowicie poważnym tonem. – Choć dość niezwykłą i mocno pochrzanioną, to jednak rodziną. A rodzinie zawsze się pomaga.

– A nie brzmiało to, że z rodziną dobrze się wychodzi jedynie na zdjęciach pośmiertnych? Przynajmniej tak mawiał mój staruszek.

– Sam powinieneś wiedzieć.

Mond westchnął. Wstał od szpinetu i przesunął się do biurka.

– W takim razie odezwę się we właściwym czasie – szepnął. – Dziękuję.

Odpowiedział mu sygnał rozłączanego połączenia. Schował telefon do kieszeni i ponownie nachylił się nad dokumentami. Wstępnie udało się stwierdzić przyczynę zgonu trzech chłopców oraz jednej dziewczynki. Było nią ogólne wyniszczenie organizmu, spowodowane najprawdopodobniej zagłodzeniem. Domyślnie zgon pozostałych dwojga dzieci spowodowany był podobnym procesem, lecz stan zwłok uniemożliwił wyciągnięcie jednoznacznych wniosków.

Honoriusz sięgnął po wydruk raportu. Pośpiesznie przebiegł go wzrokiem, wreszcie zatrzymał się na krótkim fragmencie. Przeczytał go kilkakrotnie, rozważając sens następujących po sobie zdań. W pierwszym momencie wydawały mu się całkowicie absurdalne, ale po chwili nasunął mu się pewien pomysł. Ta sprawa zakrawała na czyste szaleństwo. Jednak jego od lat pasjonowało wszystko, co szalone.





Mond obudził się po kilku godzinach niespokojnego snu. Swoim zwyczajem natychmiast podniósł się z łóżka, zjadł dwie chrupkie kromki szwedzkiego pieczywa z dżemem, pół czerstwego rogała i pośpiesznie się ubrał. Do śnieżnobiałej koszuli dobrał czarny krawat oraz kaszmirową kamizelkę w takim samym kolorze. Wtedy jego wzrok po raz pierwszy tego poranka spoczął na leżących na kupce dokumentach.

W momencie gdy miał ponownie je przejrzeć, odezwał się dzwonek starego telefonu na szafce nocnej. Niemal nikt nie znał tego numeru, więc Honoriusz z zainteresowaniem natychmiast odebrał.

– Halo? Recepcja. Panie Mond, czeka tu na pana pewna kobieta... Pani... Chwileczkę. Szmit. Allegra Szmit.

– Wpuśćcie ją.

– Jak pan sobie życzy. Wracając do tematu wyciszenia...

Mond odłożył słuchawkę. Niespełna minutę później do jego pokoju wparadowała Szmit. Miała zaczerwienione oczy i zmierzwione włosy.

– Gdyby nie nowe spodnie, uznałbym, że na noc nie wróciłaś do domu. – Honoriusz obrzucił ją badawczym spojrzeniem. – Chyba że masz koleżankę dokładnie o tym samym rozmiarze, ale biorąc pod uwagę, że spodnie wyraźnie skracano, sądę jednak, że zaszłaś do domu.

Allegra niedbale machnęła ręką.

– Nie mogłam spać. Od świtu czekałam, aż wyjdiesz z hotelu.

– Skąd wiesz, że tu mieszkam?

– Nie pamiętasz, czym się zajmowałam? Nie odbierałaś telefonu.

Mond westchnął. Po wieczornej rozmowie wyłączył go i odłożył do szafki nocnej.

– Mamy jakieś zlecenie? – zapytał niepewnie.

– Nie. – Szmit zagryzła wargę. Bacznie rozglądała się wokół, oglądając pokój Honoriusza. – Pięknie wyposażony apartament, czy to twoje rzeczy?

– Tylko niektóre.

– A to? – Wskazała na szpinet. – To tylko rekwizyt?

– Jest sprawny.

– Grywasz na nim?

– Kiedy czuję, że moje i jego czakry są wystarczająco otwarte, by nas połączyć.

Allegra przeniosła spojrzenie na Monda i ponownie westchnęła. Następnie podeszła do biurka, na którym leżały złożone dokumenty.

– Moje czakry każą mi przypuszczać, że spędziłeś nad tym sporo czasu.

– Twoje czakry bywają zatkane kurzem unoszącym się w sprzątanym pomieszczeniach.

Szmit sapnęła.

– Po co te złośliwości? Przeszkadza ci, że się tu zjawiłam?

– Raczej to, że jeśli pójdę na zwolnienie, będziesz wiedziała, gdzie mnie sprawdzić.

– Żartowniś.

– Czy widzisz, żebym się śmiał?

Mond rzeczywiście pozostawał całkowicie poważny. Przeciągnął dłońmi po niedawno ogolonej twarzy, jakby szukał pozostałości kremu. Wreszcie podszedł do Szmit i zatrzymał się o krok za nią.

– Czego się dowiedziałeś? – Kobieta znacząco na niego spojrzała. – Przez tę sprawę miesza mi się w głowie.

– Wobec tego nie powinnaś pytać. Powinnaś o niej zapomnieć.

– Wiesz, że nie mogę. Ty też nie.

– Ale ja nadal potrafię się od niej odciąć.

– Naprawdę?

Allegra podeszła do szpinetu i wyciągnęła dłoń ku kieliszkowi z niebieskawym alkoholem. Powąchała jego zawartość, po czym się skrzywiła. Następnie odwróciła się w stronę stosu książek stojących obok łóżka. Mond przeglądał je w nocy w poszukiwaniu konkretnych informacji. Były to biblie kryminalistyki oraz medycyny sądowej, opracowane w czterech lub pięciu językach. Wystawały z nich setki znaczników i zakładek.

– Czy może przypadkowo przyszedłam nie w porę? – Szmit utkwiała wzrok w połówce czerstwego rogala. Skinęła ku niemu głową. – Wiesz, dlaczego rogale robi się półokrągłe?

– Kwestie kulinarne niewiele mnie interesują. Ale zdaje się, że miały symbolizować rogi byka, a potem muzułmański półksiężyc jako metaforę zwycięstwa pod Wiedniem.

– To ładne bajeczki.

– A ty w jaką wierzysz?

Allegra uśmiechnęła się delikatnie.

– W tę, że od starożytności nadawano im kształt podkowy jako symbolu szczęścia. Minimum pracy, a potężna moc talizmanu.

– Widać podczas ostatnich wojen światowych Francuzi jedli ich stanowczo zbyt mało.

– Półokrągłe rogale to domena Włochów oraz Austriaków.

– Wobec tego znam przynajmniej kilka przypadków deficytu szczęścia.

Mond odwrócił wzrok pod naporem spojrzenia Allegry. Lewą ręką wygrał na szpinecie krótką, wesołą melodyjkę, którą zakończył przeciągłym, niskim dźwiękiem. Zamyślony powtórzył ją jeszcze raz, lecz gdy chciał ponownie dotknąć klawiszy, Szmit ostentacyjnie podeszła do jego biurka i sięgnęła ku zdjęciom. Honoriusz przypatrywał się jej, lecz nie ruszył się z miejsca.

– Zastanów się, czy chcesz je oglądać – rzucił z zaintrygowaniem, wypatrując reakcji kobiety. – Ostrzegam, że są makabryczne.

– Prosiłam, abyś opowiedział mi o swoich spostrzeżeniach.

– Nawet jeśli stanowią katalog wyrzutów wobec jakiegokolwiek dobrego lub choćby współczującego bóstwa?

– To, że ich nie rozumiesz, nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– A więc dobrze.

Honoriusz zrobił kilka kroków i zatrzymał się tuż obok Szmit. Ich ręce niemal się dotykały, oboje pochylili się nad biurkiem. Mond sięgnął po to samo zdjęcie, po które właśnie zamierzała wyciągnąć dłoń Szmit. Kobieta spojrzała na niego zmieszana, lecz Honoriusz nawet nie drgnął.

– Spójrz.

Potrząsnął kolorowym wydrukiem przedstawiającym mniej więcej środkowy etap autopsji jednego z chłopców. Skóra z jego głowy była zdjęta, obciągnięta na potylicę i na podbródek, a góra czaszki odcięta. Na klatce piersiowej widniało nacięcie w kształcie litery „Y”, lecz mimo że jama brzuszna została otwarta, nie rozcięto jeszcze żeber.

– Najpierw myślałem, że kumpel twojego przyjaciela z sądówki ma nietypowy sposób przeprowadzania sekcji. – Honoriusz mówił szeptem, niemal wprost na ucho Szmit. – Jednak gdy porównałem wszystko z raportem i dokładnie przyjrzałem się nacięciom jamy brzusznej, stało się jasne, że powstały przed tym, zanim zwłoki trafiły na stół. Widzisz to?

Mond obrócił się tak, by na fotografię padło światło zza okna.

– Może zapalić lampę albo chcesz lupę? Ja oglądałem to pod lupą, żałuję, że nie mam tu mikroskopu. Zdjęcia są bardzo dobrej jakości.

– Nie, dzięki. Chyba wiem, o co ci chodzi.

– Zwróciłaś uwagę na stan zwłok? Jak byś go określiła?

– Zgniłe, nadgniłe, nie wiem, jakiej terminologii się używa.

Allegra coraz częściej przełykała ślinę, lecz Mond nie zwracał na to uwagi.

– To ciało około sześciolatniego chłopca – mówił całkowicie obojętnym tonem. – Poddano je nieudolnej mumifikacji, więc w niektórych miejscach zupełnie zgniło, a w innych nadpsuło się, lecz tkanka nadal się zachowała. Spójrz na genitalia oraz uda.

– Honoriuszu, błagam, do sedna.

– Dobrze. Powiedziałaś przecież, że wytrzymasz.

– Wytrzymam, choćbym ci miała zarzygać cały apartament. – Szmit się wyprostowała i gwałtownie nabrała powietrza. – Są dla mnie rzeczy istotniejsze niż to, czy mój żołądek jest na coś odporny.

Mond przekrzywił głowę i spojrzał na Allegrę z jeszcze większym niż dotąd zainteresowaniem.

– Świetnie – rzucił szczerze ukontentowany. – W takim razie mogę przejść do sedna.

Z każdym kolejnym jego słowem Szmit czuła narastające mdłości.



Stoi za tobą, czy chcesz, czy nie,  
Stoi przy tobie w nocie i dnie.  
Kiwa palcem i pyta co rusz,  
Czy czujesz, że jest tuż-tuż.

Na nic się zdadzą biadania twe,  
Gdy w lustrze palcem przyzywa cię.  
Przeraża cię ten prosty gest,  
Choć martwisz się – śmierć tobą jest!





Mond cofnął się o dwa kroki, jakby chciał mieć lepszy punkt obserwacyjny na Szmit. Stał plecami do okna, z pochyloną głową obserwując kolejne reakcje kobiety.

– W dwóch z mumifikowanych ciałach natrafiono na specyficzne robactwo. Pod pewnym powiększeniem na wydruku z miejsca zbrodni widać nie tylko muchy, ale również jaja oraz larwy. Plujki burczały lub padlinówki skórnicy, a może jedne i drugie. Jakość nie jest aż tak dobra, bym stwierdził na sto procent. Nekrofauna pozwala na szczegółową analizę.

– Nekro... co?

– Nekrofauna. Ogół gatunków obcujących w towarzystwie rozmaitej padliny. Swoją drogą, w domu Engela moją uwagę zwróciła plujka, która wyleciała z piwnicy. Nie pasowała do zasuszonych szczątków. Podobnie jak chrząszcze omarlice na spodzie kłapy.

– Co w związku z tym?

– Ano to, że nawet jeśli brać pod uwagę czas zgonu ostatniej z ofiar, to żaden z tych bezkręgowców nie zainteresowałby się taką padliną. Tymczasem w trzewiach chłopca, którego zdjęcie masz przed sobą, oraz w jamie brzusznej dziewczynki odkryto mięso.

– Mięso?

– Dokładnie tak, mięso.

– W sensie ludzkie podroby, flaczki i tak dalej? To jakaś forma niesmacznego żartu czy jak mam to rozumieć?

– Całkowicie dosłownie. Jeśli mówię o podrobach, nie używam słowa „mięso”. – Mond splótł dłonie na piersi i zrobił niewinną minę. – Wnętrznosci zmarłych usunięto w trakcie procesu mumifikacyjnego.

– Nic z tego nie rozumiem. – Allegra rzuciła zdjęcia na blat biurka i głośno przełknęła ślinę. Jej policzki były zaróżowione, a nad górną wargą



perlił się pot. Mimo to starała się nie pokazywać zniesmaczenia. Hardo spojrzała prosto w oczy Honoriusza. – Możesz mówić jaśniej?

– Jak najbardziej. W brzuchy denatów kilka dni temu napchano mięsa. Najprawdopodobniej wołowego, zważywszy na sposób ukrwienia oraz charakter składanych jaj.

– Chryste...

– Znów go przyzywasz?

Allegra oparła się bokiem o biurko i pokręciła głową. Jej związane w palemkę włosy opadły na twarz tak, że musiała je odrzucić. W dłoni mierzwiła czerwony beret.

– Po co? Do cholery, po co tak sprofanowano zwłoki?

Mond nie odrywał od niej spojrzenia.

– Mnie bardziej interesowało, kiedy to zrobiono.

– Jak zwykle niesztampowo.

– Słucham?

– Nic, nic. Lepiej powiedz, do jakich wniosków doszedłeś.

– Że stało się to wkrótce po zgonie Engela. Wobec tego mięso miało kilka dni, aby nadgnić. Dopiero to pozwala szukać odpowiedzi na twoje pytanie.

Szmit westchnęła. Usiadła na fotelu przy szpince i głęboko nabrała powietrza. Mond jedną dłonią wygrał wymyśloną kilkanaście minut wcześniej krótką melodię. Ponownie zakończył ją przeciągłym niskim dźwiękiem, po czym sięgnął do kieszeni. Nie znalazł w niej jednak srebrnego ustnika, co sprawiło mu wyraźny zawód. Rozejrzał się i z ulgą zdał sobie sprawę, że ten jest obok papierów.

– Rozkładające się mięso intensywnie śmierdzi, a procesy gnilne powodują reakcje nawet pozornie zmumifikowanej tkanki. Koło się zamyka.

– Chyba otwiera worek pytań... Ktoś chciał zrobić nędzny ludzki szaszłyk? Roladę z wkładką?

– Nie rozumiesz?! – Honoriusz po raz pierwszy z ekscytacji lekko uniósł głos. – Ktoś chciał utrudnić ustalenie czasu zgonu ofiar. Właściwie zrobił to, bo wszystko jest pomieszane. Tkanki ludzkie, zwierzęce, procesy gnilne, nekrofauna, gazy...

Allegra odchyliła głowę, położyła ją na oparciu i przymknęła oczy. Nagle się podniosła, po czym przeszła przez pokój i otworzyła balkon. Głęboko wciągnęła świeże wiosenne powietrze. Z dołu dobiegały turkot przejeżdżającej dorożki oraz pokrzykiwania turystów z Włoch.

– Myślisz, że naprawdę chodziło o utrudnienie ustalenia czasu zgonu? – zapytała, spoglądając na gmach kościoła po drugiej stronie ulicy. – A może o sprofanowanie zwłok?

– Taką ewentualność dopuszczam jako drugą. Choć nie dostrzegam w faszerowaniu mięsem żadnego sensownego wzorca dla bezczeszczenia martwych.

– Nie, to całkiem normalne. – Allegra odwróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Każdy przeciętny człowiek marzy o napchaniu wołowiny do jamy brzusznej zmumifikowanego trupa.

– Nie w tym rzecz. Nie liczy się perspektywa każdego normalnego człowieka, ale zwyrodnialca. Psychicznej aberracji.

– I?

– Włożenie mięsa do trupa to czysty absurd. Coś niemal tak irracjonalnego, jak wiara w szczęście przynoszone przez koniczynki albo podkowy. Albo jak założenie koszuli z krótkim rękawem pod marynarkę.

– To, że nie jesteś sobie w stanie wyobrazić motywacji, nie znaczy, że ona nie istnieje.

– Dlatego dopuszczam tę ewentualność jako drugą.

– Co za wyrozumiałość! Jesteś naprawdę łaskawy dla szaleńczego braku logiki.

Mond poprawił krawat i sięgnął po jedną z teczek leżących na biurku. Otworzył ją, po czym wyjął pojedyncze zdjęcie. Trzymając je w dłoni, podszedł do Allegry.

– Wykonano je na miejscu zdarzenia. W piwnicy.

Szmit zagryzła usta i wzięła fotografię. Przez chwilę zaintrygowana zerkała to na nią, to na Honoriusza.

– Co to, u licha, jest? – zapytała wreszcie. – Nic z tego nie rozumiem...

– To właśnie jest najciekawsze.



– Oj, Laseczkova, Laseczkova, ty to byś tylko chciała się kurwić. Co ci ten dziwak z Krakowa naopowiadał? We łbie ci namieszał i tylko wodzis oczami, czy aby skąd nie jedzie. Widzieliście?

Tuchin zwrócił się do stojących obok niego pijaczków. Zuza Lasecka przełożyła z ręki do ręki torbę zakupów i pokazała mu środkowy palec. Mężczyzna gwałtownie zrobił krok naprzód. Zamachnął się, jakby chciał ją uderzyć, tak że kobieta aż odskoczyła.

– Pieprz się – syknęła. – Nie stać cię na nic więcej?

– Stać, stać. Słowo daję.

Tuchin złapał się za krocę i szeroko się uśmiechnął. W drugiej ręce uniósł butelkę piwa.

– Ale ze swoimi nie chcesz się zabawić – parsknął. – Miastowi lepsi, a jeszcze jak taki przyjeżdża wielką furą, to dostaje się wścieku dupy, co?

– Wal się.

– To może później!

– Dajcie mi przejść.

– Nigdy nie będziesz do końca stąd i wszyscy zawsze to wiedzieli. Czarownico.

Lasecka uniosła wysoko głowę i nie odwracając się, ruszyła w stronę domu. Spod sklepu dobiegły ją jeszcze pojedyncze gwizdy. Udała, że ich nie słyszy.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów dotarły do niej warkot silnika i szum nadjeżdżającego pojazdu. Przez wieś poza traktorami oraz sprzętem rolniczym rzadko cokolwiek przejeżdżało, więc odruchowo zerknęła przez ramię. Zobaczyła zardzewiały furgon z logo firmy rozwożącej mrożonki. Natychmiast poznała kierowcę, który również zwolnił, aby jej pomachać. Pucółowaty mężczyzna z minimalną prędkością pokonał kolejne sto

metrów, włączył sygnał informujący o swojej obecności we wsi, po czym niemal od razu zawrócił.

– Mógłby pan kiedyś zaczekać dłużej, może ktoś by dobiegł! – krzyknęła Lasecka, gdy pojazd ponownie ją mijał. Tym razem jednak kierowca był skupiony na drodze i nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

Kobieta poprawiła siatkę i skręciła w stronę domu. Po wejściu do środka szybko zdjęła palto, buty, a następnie przeszła do kuchni. W połowie drogi zatrzymała się, by zerknąć, co robi jej syn. Malec siedział na łóżku, obracając coś w dłoni. Cicho przy tym coś do siebie mamrotał.

– Co tam masz, szarańczo? – Kobieta rzuciła siatkę na podłogę i podeszła w jego stronę. Nagle zmarszczyła czoło, po czym chwyciła przedmiot, który całkowicie zaprzętnął uwagę chłopca. – Skąd go wzięłeś? Słyszysz, do cholery, odpowiadaj!

Malec jedynie szeroko się uśmiechnął. Wyciągnął dłoń i zapożyczonym z jakiegoś filmu gestem powoli zgiął palec.

– Oddaj, to moje – nakazał władczym tonem. – Oddawaj, mammo.



Mond z namaszczeniem zapalił cygaretkę. Wcześniej lnianą szmatką starannie wyczyścił ustnik i delikatnie go przedmuchał. Wreszcie rozsiadł się w fotelu, założył nogę na nogę i wypuścił kłąb dymu. Szmit siedziała przy biurku, wciąż przeglądając zdjęcia. Co chwilę porównywała je z czymś w telefonie. Kręciła przy tym z rezygnacją głową i ciężko wzdychała. W pewnej chwili przeciągnęła się, odwróciła do Honoriusza, po czym machnęła dłonią, rozganiając gęstniejący dym.

– To ty zabawiasz się grą na tym szpinaku, więc...

– Szpinecie.

– Szpinancie. Dlatego powinienes coś o tym wiedzieć. Poza tym sprawiasz wrażenie chodzącej encyklopedii.

Mond oblizał usta i dmuchnął, jakby chciał odkleić coś, co przyłgnęło mu do warg.

– Wybacz, że cię rozczarowuję – odezwał się spokojnym tonem. – Nie mam bladego pojęcia, co to jest.

– Nie wątpisz chyba, że to instrumenty oraz jakieś stroje karnawałowe?

– Tę tezę uznaję za najbardziej prawdopodobną.

– Chodzi o jakieś rytualne nawiązanie do bardów?

– Do bardów, bojanów, wagantów, zwał, jak zwał.

Allegra po raz kolejny zerknęła w ekran telefonu, a Honoriusz odłożył palącą się cygaretkę do popielniczki. Podniósł się i podszedł do Szmit. Stał za jej plecami, po czym sięgnął po leżące na wierzchu zdjęcie. Uchwycono na nim zwłoki dwojga dzieci w istotnym stadium rozkładu. Ich płci można się było jedynie domyślać po włosach, które u jednego były długie i jasne, natomiast u drugiego krótkie i rdzawe. Z obu twarzy skóra złuszczyła się całymi czarnobrazowymi płatami, gałki oczne wyschły, a z rozwartych ust zionęła pustka. Uwagę zwracały jedynie odsłonięte przez uniesione wargi nienaturalnie duże zęby. W miejscu nosów widoczne były

podwójne otwory, ukazujące, że niebawem zwłoki miały zamienić się w pozbawione jakiejkolwiek tkanki kościotrupy. Pokrywałyby je, niczym całuny, stroje przypominające habity mnichów ściągnięte w pasach konopnymi sznurami. Jeden był ciemnografitowy, niemal czarny, drugi miał barwę brunatnej czerwieni.

Obok zwłok na ziemi leżały dziwaczne przedmioty, które przypominały skrzypce lub kontrabasy z nabitymi na końcówki głowami brodatych kukieł w kapeluszach. Wieńczyły je przechylone, pokryte pleśnią wysokie czapki.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Jeśli ci powiem, że ja też, pewnie nie uwierzysz.

– Chyba jednak powinnam. – Szmit westchnęła, po czym wykonała na telefonie kilka operacji. – Przez lata zbierałam rozmaite kontakty, więc zdaje się, że mam kogoś, kto może nam pomóc.

Mond poprawił węzeł krawata i się wyprostował.

– Jesteś przekonana, że to właśnie my potrzebujemy pomocy, a nie komisarz Berg?

– Boisz się lub chcesz się wycofać?

– To ja cię o to pytałem.

– I chyba nie odpowiedziałeś samemu sobie.

Honoriusz przeszedł po pokoju z rękoma założonymi za plecy. Nagle zatrzymał się przy balkonie, spojrzął na fasadę kościoła pijarów i odchrząknął.

– Mimo wszystkich wątpliwości ciekawość ludzka zawsze okazuje się najsilniejszym uczuciem. Bez niej nie zbudowano by teleskopu ani nie przeprowadzono pierwszych sekcji zwłok.

– Jak zwykle musiałeś nawiązać do trupów.

– Nie ma nic bardziej życiowego niż śmierć. – Mond zerknął na dogasającą cygaretkę i przeniósł wzrok na Allegrę. – Skontaktuj nas z kimś, kto zaspokoi naszą ciekawość.

Allegra skinęła głową, po czym natychmiast wybrała numer.



Profesor Ossolecki, zdaniem Allegry, miał być największym znawcą historii muzyki oraz wszystkiego, co związane z muzyką. Mond z zainteresowaniem wysłuchał opowieści o materiale, który niegdyś z nim opracowywała, wreszcie uznał, że spotkanie się z naukowcem to całkiem dobry pomysł. Szczególnie że jego również gnębiła gmatwanina bezcelowych domysłów.

Na szczęście Szmít nie tylko miała numer komórki profesora, ale i ogromną siłę przekonywania, w związku z czym kwadrans po tym, jak wpadli na pomysł złożenia odwiedzin, byli już w drodze. Mond uparł się, żeby pojechali jaguarem, który rzekomo wymagał codziennego „rozruszania”, a w rzeczywistości przejażdżka nim stanowiła pewną formę uzależniania Honoriusza. Ta zdawała się jednak usprawiedliwiona.

Profesor zaprosił ich do swojego podkrakowskiego domu, gdzie przygotowywał się do nowego cyklu wykładów. Z pewnym ociąganiem, jednak obiecał znaleźć dla nich dość czasu. Jego lokum stanowiła niewielka, lecz zgrabna rezydencja w willowym stylu lat dwudziestych, otoczona kilkunastoma wysokimi drzewami. Gdy tylko Mond zaparkował na podjeździe, dwuskrzydłowe drzwi domu otworzyły się i stanął w nich zgarbiony siwy człowieczek w luźnym brązowym garniturze. Miał ruchliwe ciemne oczy oraz szczecinę wąsów pod nosem. Pośpieszającym gestem zaprosił ich do środka.

Dwie minuty później cała trójka znalazła się w obszernym gabinecie, pełnym rozmaitych szpargałów, instrumentów oraz mebli. Mond z przyjemnością chłonał detale każdego z nich. Po serdecznej ceremonii powitalnej profesor zostawił ich na chwilę samych, wreszcie wrócił z tacą pełną herbatników i filiżankami parującej herbaty. Honoriusz mimowolnie przypomniał sobie Berga, który deklarował, że nie pije ani herbaty, ani

kawy. W myślach pogardliwie skwitował jego dziwactwo, po czym sięgnął po filiżankę.

– A oto nasz skromny wkład w spotkanie. – Drugą dłonią podał profesorowi otwartą teczkę, w której na pierwszym miejscu umieszczone było zdjęcie dwójki dzieci w dziwnych strojach. – I źródło całego kłopotu, który stanowimy.

– Żaden kłopot. Tym bardziej że macie ponoć coś interesującego, a mnie wszelkie ciekawostki do cna pochłaniają. O! Proszę bardzo!

Profesor aż się uśmiechnął, wyciągając fotografię. Z niezwykłą jak na swój wiek sprawnością podszedł do pochyłego hebanowego pulpitu i położył ją na nim. Następnie sięgnął po ramię wielkiej lupy z podświetlanym okularzem. W tej samej chwili zapewne uświadomił sobie, że spogląda na zwłoki, gdyż uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy.

– Co was interesuje? – zapytał, lustrując kolejne szczegóły zdjęcia. – Jakież konkrety?

– Stroje, te instrumenty... – Allegra zatoczyła palcem koło nad pulpitem. – Wszystko, co pan profesor dostrzeże na fotografiach.

– Jest tu sporo szczegółów.

– Prosimy więc o przytoczenie ich wszystkich. I mam nadzieję, że rozumie pan delikatność tej sprawy.

Ossolecki, nie wyprostowując się, obrócił szczurzą, wyjątkowo chudą twarz w stronę Allegry. Ściągnął usta tak, że pod dolną wargą zebrały mu się głębokie zmarszczki.

– Czy ma ona związek ze zwłokami odkrytymi w Bobolinie? – zapytał po chwili. – Czy to może właśnie „te” zwłoki?

Szmit zerknęła na Monda, a ten zatrzymał filiżankę herbaty w pół drogi do ust.

– Dokładnie tak – przyznał obojętnym tonem. – To tym ciekawsze, prawda? Operujemy na konkretnych zwłokach, oderwanych od obcości sztuki oraz sztuczności obcych, jeśli tak mogę się wyrazić. To niemal żywa tkanka.

Allegra spiorunowała go spojrzeniem, lecz o dziwo profesor jedynie się uśmiechnął. Ponownie zajął się oglądaniem zdjęcia przez lupę.



– Jeśli chodzi o ubiór – chrząknął – bez wątpienia jest wzorowany na tak zwanych gardecorps, określaných czasem w Polsce mylnie surkotami, czyli standardowym ubiorze podróżnych z trzynastego, ewentualnie czternastego stulecia. W piętnastym wieku gardecorps wyewoluował już w formę bardziej ozdobną i bogatą.

– Średniowieczny strój podróżnych? – Mond odstawił filiżankę na rozłożoną na okrągłym stoliku serwetę. – Pielgrzymów?

– Pielgrzymi nosili raczej stroje pokutne lub znacznie grubsze nakrycia wierzchnie z kapturami. Na wielu sztychach, w ilustracjach inkunabułów oraz na całkiem sporej liczbie fresków zachowały się przedstawienia wędrownych grajków właśnie w gardecorps. I to do ich fatałaszków podobne są te szaty, oczywiście w pewnym uproszczeniu.

– To wszystko, co możemy powiedzieć na ich temat?

– Niekoniecznie. Zwróćcie uwagę na wymalowany najprawdopodobniej wapnem krzyż, a pod nim drugi znak. Widzicie, co przedstawia? To wyjątkowo ciekawe...

Oczy starca aż błyszczały z podekscytowania.



Profesor się wyprostował i odłożył lupę na bok. Mond stanął tuż przy nim.

– To zakonnicy?

– Nie. Sam krzyż mógłby prowadzić do takiego wniosku, lecz pod spodem wyraźnie widzę zarys ćmy. Spójrzcie.

Osolecki ruchem głowy nakłonił ich, by się przybliżyli. Mond stanął o krok od niego i zmrużył oczy. Już wcześniej zwrócił uwagę na ten znak, jednak początkowo wydawał mu się skazą zdjęcia, a potem skłaniał się ku tezie, że stanowi rozdarcie materiału. Teraz wyraźnie widział zarys owada z rozpostartymi skrzydłami.

– *Acherontia atropos*? – zagadnął, marszcząc brwi.

Profesor spojrzał na niego z wyrazem głębokiego zaintrygowania.

– Zmierchnica trupia główka. Choć nie jestem entomologiem, te pojęcia są mi dobrze znane właśnie w związku z zachowanymi wizerunkami u pewnych wędrownych trup.

– O jakie dokładnie trupy chodzi?

– Muzyków śmierci.

Dwa związane słowa rzucone przez Osoleckiego sprawiły, że Mond i Allegra wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Muzyków śmierci? – Szmit przeciągnęła dłońmi po twarzy i pokręciła głową. Z rezygnacją sapnęła. – Tego robi się zbyt wiele. Muzycy śmierci, trupy, trupie główki. Jakby mało mi było znaleźć same cholerne zwłoki.

– Trochę szacunku dla szczątków ludzkich.

– Nawet nie zaczynaj, Honoriuszu.

– Ja tylko parafrazuję twoje słowa. A profesor...

Osolecki poprawił okulary i mlasnął. Wyczuwając sprzeczkę, która mogła rozgorzeć pod jego własnym dachem, czym prędzej zwrócił ponownie uwagę gości na zdjęcie.

– Ten instrument... – Pstryknął paznokciem w jego skraj – To diabelskie skrzypce.

– Jezu...

– Nie przerywaj panu profesorowi. Może powinnaś napić się chichy albo łyknąć tybetańskie tabletki ziołowe?

Allegra spolegliwie uniosła dłonie i bezradnie spojrzała na Ossoleckiego. Ten ciągnął jakby nigdy nic.

– Diabelskie skrzypce są charakterystyczne dla rozmaitych regionów, które zdają się nie mieć ze sobą wiele wspólnego. Znają je Kaszubi, Łemkowie, plemiona uralskie, a nawet niewielka grupa etniczna z Alp, szerzej notowana jako Ladynowie.

– I te diabelskie skrzypce były używane przez owych muzyków śmierci?

– Zgadza się. Muzycy śmierci wywodzili się z tradycji średniowiecznych bardów wędrujących w czasach zarazy. Zamiast zabawiać ludność, ich głównym zadaniem stało się przeprowadzanie dusz z tego na tamten świat.

– Chyba nie rozumiem. – Allegra się skrzywiła. – Skąd dokąd mieli przeprowadzać te dusze?

– Wyprowadzali je z domów i prowadzili na cmentarze. Szczekot diabelskich skrzypiec miał naśladować wycie upiorów.

– Dlaczego wycie upiorów, a nie pieśni aniołów? Kompletnie mi się to nie podoba.

– W tamtym okresie jednym było bardzo blisko do drugich. Właściwie chodziło o przeniesienie się do zaświatów. Tam dusze dobrych ludzi miały już sobie poradzić, ale istnieje również inna interpretacja. Zgodnie z nią upiory miały strzec bram cmentarnych i nie wpuszczać przez nie czystych dusz. Dlatego diabelskimi skrzypcami odwracano ich uwagę, by pozwoliły im na przejście.

– Druga opcja wydaje mi się znacznie logiczniejsza – wtrącił Mond.

– Świetnie. Jestem diabelnie podekscytowana. – Szmit odrzuciła do tyłu włosy i włożyła dłonie do kieszeni. – Wydawało mi się, że wiem wszystko o wędrowce dusz, a tu psikus.

– To mało znane rytuały – pocieszył ją profesor.

– Wolałabym nie mieć z nimi nic wspólnego. – Allegra jak oparzona wyjęła dłonie z kieszeni i trzykrotnie się przeżegnała. – Amen.

– Pani jest wierząca?

– Wierząca raczej bez przesady – bąknął Honoriusz. – Głównie praktykująca.

– Wcale nie. Wierzę w mistycyzm, a przede wszystkim w rozmaite złe duchy.

– Współczuję – powiedział to profesor ni do Szmit, ni do Monda. Aby zatrzeć chwilowe niemiłe wrażenie, dotknął okularu lupy i zmienił temat. – Co do tych instrumentów, diabelskich skrzypiec, jest jeszcze jedna funkcja, jaką pełniły w kulturze ludowej. To właściwie najbardziej intrygująca część historii.



– Tato, skończyła się nam bajka. Włączysz nam jeszcze jedną?

– A ja nie mam już picia.

– Będzie ci się chciało siku, mówiłem, żebyście dozowali napój, bo nie będziemy robić postoju.

– Ale ja już muszę! I coś słodkiego... Umieram z głodu.

Drobny pyzaty chłopczyk z kręconymi włosami opadającymi na policzki zaniósł się spazmatycznym płaczem. Siedząca obok brata smukła dziewczynka spojrzała na niego z pogardą i się odsunęła. Przewróciła oczami, jakby wyczuła, że ojciec właśnie na nią zerka w lusterku.

– Jezu, ostatni raz wybieram się na ten cmentarz. – Robert Kotwicki parsknął, po czym przeniósł wzrok na żonę. Podobna jak dwie krople wody do córki kobieta siedziała obok niego z rękoma splecionymi na piersi i wzrokiem wbitym przed siebie. – To kompletny idiotyzm. Prawie czterysta kilometrów tylko po to, żeby... No właśnie. Po co?

– Bo zawsze tak jeździłam.

– Zawsze, zawsze... Twoja siostra ma o połowę bliżej, może ona postawi znicz i wyleje na grób wiadro wody?

– Robi to przed Wszystkimi Świętymi.

– Z rozpędu mogłaby wpaść także teraz. W ogóle kto słyszał o odwiedzaniu grobów w urodziny zmarłego? I to kogoś, kto zmarł przed dwudziestu laty. Szkoda, że nie wieziemy tortu ani pizczalek.

– Właśnie, moglibyśmy zatrzymać się i kupić gdzieś tort! – podchwycił chłopczyk, który momentalnie przestał płakać. – Moglibyśmy, moglibyśmy? Mamo, tato?

– Nie chcę żadnego tortu – fuknęła dziewczynka. – Od tego się tyje i wypadają zęby.

– Nie interesują mnie moje zęby! Mogą mi wypaść.

Beata Kotwicka zerknęła na męża i wymownie pokręciła głową. Nie musiała nic mówić. Ten tylko mocniej chwycił kierownicę, po czym niemal bezgłośnie wypowiedział słowa przeprosin. Nie chciał wywoływać burzy, lecz miał dość pracy, aby nie tracić całego dnia na bezdurne podróżowanie. Wolał jednak uniknąć kłótni. Sytuacja powtarzała się co roku, dlatego miał dość czasu, by się przyzwycząić.

– Ile jeszcze? – dopytała dziewczynka.

– Niedługo będziemy na miejscu.

Chłopczyk natychmiast posmutniał i głośno pociągnął nosem.

– To nie damy już rady kupić tortu? A w ogóle czy przy cmentarzu będą toalety?

– Jest las – warknął ojciec. – Miliony drzew do podlania. Mamy globalną suszę.

– Robert.

– No co? Przecież nie powinni liczyć na łazienkę z kącikiem sanitarnym i przewijakiem.

Beata Kotwicka westchnęła. Nagle sięgnęła do siatki położonej między nogami i zaczęła w niej czegoś szukać.

– Pamiętasz, czy brałam ze sobą zapalniczkę?

– A skąd mam wiedzieć?

– Pytałam tylko, czy może pamiętasz. Zwróciłeś uwagę lub coś podobnego.

– Nie.

– Mógłbyś być miłszy, wtedy podróż upłynęłaby szybciej i przyjemniej.

– Jestem cholernie miły.

Kobieta rzuciła siatkę na podłogę i zagryzła usta.

– Nie wiem, czy spakowałam płyn do czyszczenia kamienia. Zatrzymaj się, muszę sprawdzić w bagażniku.

– Jeżeli go nie mamy, to i tak po niego nie wrócimy.

– A zapalniczka?

– Zapalisz znicz od innego.

– To niemal opuszczony cmentarz – odparła kobieta. – Większością grobów nikt się nie interesuje, więc może być o to trudno.

– Wobec tego użyje się krzemienia i hubki albo szkła powiększającego, by skupić promienie słoneczne. Tak podpalano lonty. Co ty na to, synu?

– Ja chcę podpalić lont, tato! Będę mógł?

– Oczywiście.

Robert oderwał wzrok od drogi i tryumfalnie spojrzął na żonę. Powoli zjechał na pobocze.

– Będziesz mógł, jeśli tylko mama pozwoli.



Zdaniem profesora niektóre społeczności uważały, że diabelskie skrzypce miały zdolność leczenia z rozmaitych chorób. Muzycy śmierci nie przez przypadek pojawili się w czasach epidemii dżumy i nie przez przypadek byli wyposażeni właśnie w takie instrumenty. Nie od czasów średniowiecza ludzie starali się radzić sobie z pomorami na rozmaite sposoby. Przez kolejne wieki sława diabelskich skrzypiec przetrwała w wielu wsiach i regionach, choć nie była już szeroko kulturowana. Wypłynęła ponownie w dziewiętnastym stuleciu za sprawą romantycznego zainteresowania gusłami oraz mnogości badaczy folkloru.

Informacje uzyskane od profesora Ossoleckiego, choć interesujące, wprowadziły Monda w konsternację. Żadna z nich nie przybliżyła go ani o krok do rozwiązania zagadki nieokreślonego czasu zgonu oraz ingerencji osoby trzeciej w scenierię zastaną w domu Engela.

– Może rzeczywiście powinniśmy powiadomić Berga? – zagadnął, gdy na powrót wjechali do centrum Krakowa. – Może się okazać, że on nadal prowadzi śledztwo nakierowane na przypisanie całej winy Engelowi.

– A naprawdę uważasz go za niewinnego?

– Nawet jeśli, ktoś inny uwikłany w morderstwa dzieci pozostaje na wolności. Ktoś, kto może zabić ponownie.

– Engel nie pasował do profilu jego ofiary.

– Tym bardziej. Wolałbym, żeby mieszkańcy Bobolina oraz okolic mieli jasno powiedziane, że powinni na siebie uważać.

– Pudwel z pewnością przekazał Bergowi twoje uwagi.

– A ten co z nimi zrobił? Mógł je uznać za zwykłe bajanie.

– Tego, że zegarek wciąż chodził, nikt nie zdoła potwierdzić.

– Ale ja to wiem – powiedział z naciskiem Mond. – Jestem tego pewny bardziej, niż gdyby chłopiec dał mi uroczyste słowo.

– Jesteś naiwny i przeterminowany.



Honoriusz zabębnił palcami w obszytą jasną skórą kierownicę. Miał coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie wewnątrz auta wypełnił ryk kogoś nieudolnie śpiewającego psalm. Allegra poruszyła się i wyciągnęła z kieszeni telefon. Nie bacząc na karcące spojrzenie Monda, przez chwilę wsłuchiwała się w nagranie, aż wreszcie, gdy głos zaczął zanikać, odebrała. Zamieniła kilka pośpiesznych zdań.

– Mamy zlecenie od stałego klienta – rzuciła po chwili. – Poprawka dezynsekcji pokoju hotelowego.

– Znowu on?

– Twierdzi, że pluskwy wróciły.

Mond przewrócił oczami. Pan van Hayden był holenderskim inwestorem, który zakupił jedną z kamienic w pobliżu krakowskiego rynku i przerobił ją na hotel. Od pewnego czasu utrzymywał jednak, że w jednym z pokoiów załęgło się robactwo. Przez to wciąż nie przystąpił do pozyskiwania ostatecznych zgód na otwarcie obiektu. Po każdej dezynsekcji pragnął odczekać kilka dni, a potem zdawało mu się, że insekty wróciły. Ani Mond, ani Szmit nigdy żadnego nie widzieli i byli pewni, że w sterylnej czystym hotelu stanowią jedynie wymysł fantazji Haydena. Mimo to, skoro mężczyzna płacił, należało sprostać jego wymaganiom. Oczywiście uczciwy duch Allegry nakazywał jej podejmowanie prób tłumaczenia, że pokoje są czyste, te jednak nie przynosiły żadnego efektu. Dlatego zarzuciła je już jakiś czas temu.

– Zajmę się tym – oznajmił Mond. – Ty sobie odpocznij. Stoczę bohaterską walkę z białymi myszkami, które na swoje i moje nieszczęście nie stanowią owocu oddziaływania absyntu.

– Absynt przyczynia się do choroby psychicznej.

– Naprawdę? Może wobec tego również leczy z niej chorych?

– Nie drwij.

– Mówię całkiem poważnie. Może powinniśmy kupić Haydenowi flaszkę, namówić go, żeby sobie porządnie golnął, i nagle insekty znikną?

– Pewnie wolałby, żeby nasączyć absyntem podłogę i ściany.

– Tego nawet jego wypchany portfel mógłby nie wytrzymać.

Mond zjechał na pobocze i włączył światła awaryjne.

– No, spływaj. – Mrugnął do Szmit. – Zajmij się swoimi sprawami, odpocznij, a ja skupię się na froncie walki z upiornymi insektami.

– Pojadę z tobą.

– Po co? Żebyśmy wspólnie stracili czas?

Allegra sięgnęła do mocowania pasa, ale zatrzymała na nim dłoń.

– A narzędzia? Hayden skapnie się, że przychodzisz z pustymi rękoma.

– W bagażniku mam proszek do prania i kilka płynów do spryskiwaczy. Do tego rękawiczki oraz kamizelkę odblaskową. Powinno wystarczyć.

– Jesteś pewny?

Honoriusz skinął głową. Ponownie zabębnił palcami w kierownicę, pośpieszając Szmit. Kiedy tylko ta wyszła z auta, dodał gazu i skierował się w stronę rynku. Natychmiast pogrążył się w myślach. W pokoju hotelowym mógł pobyć sam i całkowicie się skupić. Nie potrzebował teraz niczego więcej. Nawet jeśli jednocześnie miał toczyć walkę z nieistniejącym robactwem.



Boris van Hayden nie pozwolił Mondowi zebrać myśli. Ubzdurał sobie, że wraz z nim weźmie udział w kampanii przeciw insektom, i ubrany w wytrzaśnięty najwyraźniej ze sklepu dla przebierańców kombinezon ochronny, wkroczył za Honoriuszem do pokoju.

– Pracuje pan bez żadnych zabezpieczeń?

– Przywykłem do najgorszych chemikaliów. Poza tym ważna jest tylko ochrona dłoni. Zdradzę panu, że płuca oraz oczy i tak mamy skazane na potępienie.

Mond wymownie naciągnął lateksowe rękawiczki i sięgnął do torby, w której miał pojemnik z przesypanym proszkiem oraz resztką środka owadobójczego. Na szczęście w bagażniku jego auta było dość miejsca, aby upchnąć rzeczy, o których się zapominało, a które okazywały się przydatne w najmniej spodziewanych momentach.

– Co pan proponuje?

Van Hayden, jak na człowieka, który mieszkał w Krakowie ledwie od trzech lat, całkiem biegle posługiwał się językiem polskim. Ponoć jego matka urodziła się w Poznaniu lub Warszawie, ale ta historia miała tyle wersji, że mało kto w nią wierzył. Ten człowiek zresztą był wyjątkowo skomplikowany i gdyby Mond wiedział, że uzna swoją obecność za obowiązkową w trakcie dezynsekcji, z pewnością nie wziąłby się za samodzielne przyjęcie zlecenia.

– Panie Hayden, lepiej, aby się pan nie struł. Może zaczeka pan na dole?

– Skoro pan to wytrzyma, ja również dam radę.

– Ja mam doświadczenie.

– Czy doświadczenie uodparnia na chemikalia?

– Na to pytanie najlepiej odpowiedziałaby panu Maria Skłodowska-Curie.

– Kiedy ona nie żyje!

Honoriusz westchnął.

No właśnie, nie żyje – dopowiedział sobie w myślach. Zaczął tu i ówdzie rozsypywać proszek, przekonany, że w sterylnym pokoju nie ma żadnych insektów. W tym samym momencie van Hayden zaglądał pod łóżka, szafki nocne oraz elegancką wykładzinę.

– Były tu, słowo daję. Całe chmary!

– Wierzę panu.

– Co z nimi się stało? Czy powinienem się zapytać: „Co się z nimi stało”?

– Na jedno wychodzi.

– Żaden z nas nie wychodzi. – Van Hayden stanął na środku pokoju i zsunął na plecy specjalny kaptur z przyłbicą. – Szukamy ich.

Mond nic na to nie odpowiedział. Cierpliwie rozrzucał proszek, starając się nie oddychać zbyt głęboko. Jednocześnie korzystając z chwili milczenia Holendra, zastanawiał się nad tym, co z Allegrą usłyszeli od starego profesora.

Muzycy śmierci, diabelskie skrzypce, upiory... Każde z tych pojęć było na swój sposób intrygujące, ale nie zgrywało się z jego wizją świata. Jednocześnie śmierć oraz morderstwo zawsze traktował niemal jak fragment działania matematycznego, do którego nie pasowały zmienne mające podłoże w gusłach.

Van Hayden nadal milczał, po raz enty przeczesując pokój w poszukiwaniu insektów. Od przyjazdu Honoriusza minęło już ponad półtorej godziny, proszek oraz trucie zostały rozsypane niemal po całej podłodze, na parapetach oraz na części mebli. Plusem było to, że Holender do posprzątania po dezynsekcji zazwyczaj wzywał kogoś innego.

Mond odgrywał szopkę, trzepiąc pościel i przewracając na drugą stronę niektóre z półek w szafie. Jednocześnie bieg myśli skierował go ku Igorowi Tuchinowi. Nauczyciel muzyki, który zastąpił Engela i po dwóch lub trzech latach rozpił się z powodu nie do końca zrozumiałych dla Honoriusza wyrzutów sumienia. Nawet jeżeli rzeczywiście zaginęło jego kilku uczniów, nie mógł temu zaradzić. Nie był ich rodzicem ani opiekunem. Nie powinien czuć się za nich odpowiedzialny bardziej niż za psa strzegącego w nocy szkolnego podwórza. Chyba że...

W głowie Monda zaczęła kształtować się pewna myśl, lecz w momencie gdy niemal znalazła swój wyraz, mężczyzna poczuł wibrację telefonu. Odebrał, nim jeszcze ten zaczął dzwonić. Po chwili usłyszał zdenerwowany głos Allegry.

– Powinieneś do mnie jak najszybciej przyjechać – rzuciła. – Naprawdę jak najszybciej.

– Właśnie kończę sprzątanie. Stało się coś?

Szmit nie odpowiedziała na jego pytanie. Podekscytowana nawet nie zwróciła na nie uwagi.

– Wyślę ci adres. I mówię, lepiej się pośpiesz.

Po tych słowach natychmiast się rozłączyła.



Mond pośpiesznie pożegnał się z van Haydenem, zapewnił go, że tym razem żaden insekt nie ma prawa przeżyć, po czym szybko wyszedł z pokoju hotelowego. Zbiegł na dół wypucowaną, pachnącą pastą klatką schodową. Gdy pchnął rzeźbione, drewniane drzwi i wypadł na ulicę, niemal się z kimś zderzył. W pierwszym momencie chciał wyminąć mężczyznę stojącego mu na drodze, lecz zaraz się zatrzymał.

– Komisarz Berg. – Z niedowierzaniem zamarł w pół kroku. – Nie sędzę, aby nasze spotkanie mogło być przypadkowe.

– I tak, i nie – wycedził Berg.

– I tak, i nie?

– Przejeżdżając w pobliżu, zobaczyłem pańskie auto, to rzeczywiście przypadek. Jednak następnie postanowiłem na pana zaczekać, co było całkowicie zamierzone.

Komisarz spojrział prosto w oczy Honoriusza, po czym odwrócił się i splunął. Miał napiętą twarz, przekrwione białka i cuchnął papierosami. Honoriusz, mimo że palił cygaretki, z daleka wyczuwał od ludzi nieprzyjemny odór nędznego tytoniu.

– Czego by pan pragnął? – zwrócił się uprzejmie do policjanta. – Jeżeli chce pan sprawdzić, co tu robiłem, proszę wejść do środka, zastanie pan właściciela hotelu.

– To akurat mnie kurewsko mało interesuje.

– Wobec tego o co chodzi? Pan wybaczy, ale się śpieszę.

– Nie cierpię tego pańskiego ugrzecznionego tonu.

Mond wzruszył ramionami i zrobił krok w stronę jaguara. Poprawił krawat, jakby zamierzał zaraz wygłosić odczyt.

– Nie czuję potrzeby za to przeproszać, o ile w ogóle pan oczekuje przeprosin.

Berg mlasnął. Podszedł do Honoriusza i zatrzymał się tuż przed nim.

– Posłuchaj – wymamrotał, przechodząc nagle na ty. – Byłem dziś w Bobolinie i wiem, że rozmawiałaś z dziećmi. Wiem też, o czym mniej więcej z nimi głądziłaś, choć obaj są wyjątkowo mało skłonni do zdradzenia waszej cholernej tajemnicy.

– Chciałem zdobyć kilka informacji.

– I niepotrzebnie. Rozumiesz?

Berg pochylił głowę, jakby chciał, niczym byk, natrzeć na pierś Honoriusza.

– Pan wybaczy, ale moje potrzeby to moja sprawa.

– O nie, nie... – Komisarz nabrał powietrza i pogroził mu palcem. – W tym rzecz, że nie. Przynajmniej nie wtedy, gdy mieszasz w głowie małym dzieciom. Wałkowałeś z nimi szczegóły zapamiętane z domu Engela?

– Może.

– Mógłbym cię szybko zmusić do udzielenia odpowiedzi.

– Nie sądzę, panie komisarzu.

Mond zrobił kolejny krok w stronę samochodu i odblokował zamek. Chwycił klamkę, ale jej nie pociągnął.

– Naprawdę chciałbym być panu pomocny, więc mam nadzieję, że zrobił pan postępy w śledztwie.

– To cię bardzo interesuje, prawda? – Berg, mówiąc, niemal nie otwierał ust. Wściekłość aż w nim kipiała i gdyby nie liczni przechodnie, zapewne byłby skłonny do bardziej fizycznej perswazji. – Interesuje cię, jak wiele kto wie. A mnie coraz bardziej ciekawi, skąd te twoje zainteresowania.

– Nie lubię pytań, na które nie znam odpowiedzi.

– Piękna wymówka. Tyle że cholernie naiwna, a ja nie jestem naiwny. Oj nie, ty ciekawska gnido.

Mond westchnął. Otworzył drzwi samochodu i zrobił ruch w jego stronę.

– Pan wybaczy, bardzo się śpieszę. Jeżeli będę do czegoś panu potrzebny, pozostaję do dyspozycji.

– Owszem.

– Tak?

Berg chwycił drzwi jaguara i zablokował je swoim ciałem. Mond siedział już w środku. Nie robiąc sobie nic z emocji komisarza, uruchomił silnik i wybrał zachowane ustawienie fotela.

– Do pewnych spraw się nie wraca. – Berg daremnie usiłował złapać jego spojrzenie. – Jeden z chłopców to kuzyn dzieciaka zamordowanego przed laty. Właśnie ustaliliśmy jego tożsamość. Rozdrapywanie ran w małych społecznościach jest niepotrzebne.

Mond nagle okazał zainteresowanie i odwrócił się do komisarza.

– Kuzyn jednego z chłopców? W takim razie skoro dokonaliście identyfikacji, śledztwo zostanie zamknięte?

Berg nie odpowiedział. Odsunął się od drzwi i ruszył w stronę zaparkowanego po drugiej stronie ulicy radiowożu.

– Trzymaj się od tej sprawy z daleka – rzucił, przepuszczając dorożkę. – Dla swojego dobra.





Mond nigdy nie widział czegoś podobnego. Wnętrze niewielkiego domu Allegry przypominało architektoniczne połączenie gotyckiej kaplicy, murzyńskiego kościoła na południu USA oraz klubu dla hipisów. Nad dolną kondygnacją nie było stropu, przez co przestronne pomieszczenie miało wysokość dwóch pięter i krył je dopiero okładany drewnem dach budynku. Cały kąt domu zajmowała kuchnia z nowoczesnymi sprzętami mrugającymi mnóstwem diod, wyświetlaczy oraz czujników. Jedynym wydzielonym pomieszczeniem była łazienka z ustawioną na środku wanną w kształcie łódki.

Całą resztę stanowił salon, a właściwie wspomniane połączenie klubu, pokoju dziennego oraz kościoła. Główną dekoracją był blisko dwumetrowy krzyż, obok którego wisały rozmaite dzwonki, grzechotki oraz amulety. Święte obrazy i ikony przeplatały się z oprawionymi w ramy mandalami oraz kartami rozmaitych świętych ksiąg.

Drogę do części kuchennej wytyczał czarny lakierowany barek pełen rozmaitych nalewek, fiolek oraz słoików. Niedaleko od niego stały dwa skórzane czerwone fotele oraz okrągły granatowy stół. Mnogość kolorów podkreślało oświetlenie – kilkadziesiąt żarówek ledowych przechodzących przez wszystkie kolory tęczy. Gdyby zmiany były mniej łagodne i tylko nieco szybsze, Honoriusz nie miał wątpliwości, że dostałby ataku apopleksji.

– Siadaj. – Allegra wskazała na jeden z czerwonych foteli. Naprzeciw niego na wysięgniku wisiał spory płaski telewizor. Włączony był program rozrywkowy, choć zupełnie wyciszono głos. – Pij.

– Co to?

– Chicha. Przecież ci obiecałam.

– Ta zrobiona na twojej ślinie?

– Osąd oddaję twojej dedukcji.

Szmit postawiła przed Honoriuszem szklanę napoju o słomkowym kolorze. Sama rzuciła się na drugi fotel i sięgnęła po leżące na podłodze wydruki. Mond dopiero teraz zobaczył upchnięte pod metalową konsolką drukarkę oraz laptop. Kobieta przez ostatnie godziny musiała intensywnie na nim pracować, gdyż był podpięty do prądu, a wokół poniewierało się sporo pomiętych wydrukowanych kartek.

– Poczytałam co nieco o Engelu. – Szmit obserwowała, czy Honoriusz skrzywi się, popijając podany napój. Widząc, że ten pochłania go niemal duszkiem, przeniosła wzrok gdzieś w głąb domu. – Przed laty ten facet był nauczycielem muzyki, uczył w szkole obok Bobolina.

Mond odstawił szklanę i oblizał usta. Niedbale machnął ręką.

– Wiem o tym.

– Wiesz? – Allegra zmarszczyła czoło. – Skąd?

– Rozmawiałem przecież z mieszkańcami.

– I czego jeszcze się o nim dowiedziałeś?

– Właściwie niewiele więcej. Zastąpił go drugi sympatyczny jegomość, który groził mi śmiercią. Przynajmniej do tego sprowadzała się żywiołowa laudacja na temat mojej skromnej osoby.

Szmit westchnęła.

– A wiedziałeś, że Engel był zamieszany w jakiś skandal z solistami czy kimś? I że opieka społeczna zabrała mu dziecko?

Honoriusz przygryzł wargę.

– Nie. Mów dalej.

– Wtedy kompletnie odciął się od mieszkańców wsi. Nie wiem, na czym polegała afera, lecz domyślam się, że miała podłoże seksualne.

Mond założył nogę na nogę i odchylił się w fotelu. Na bieżąco porządkował kolejne informacje i starał się je właściwie zasufladkować. Obserwował, jak Allegra przekłada kolejne wydruki, po czym rzuca je niedbale na podłogę. Przed jego przyjściem i tak musiała w środku posprzątać. Widział jeszcze świeże mazaje po niedawnym zmywaniu podłogi.

– Wkrótce potem zmarła jego żona – ciągnęła Szmit. – Niestety nie udało mi się znaleźć oficjalnej przyczyny zgonu, ale...

- Spodziewasz się, że mogła zejść z tego świata w sposób nienaturalny.
- Rozważam taką możliwość.
- Kiedy to było?
- Jakież dwadzieścia lat temu.

Mond przewrócił oczami. Przez chwilę coś kalkulując, międlął palcem wargę. Allegra zamilkła i przypatrywała mu się z zainteresowaniem.

- Skąd ta mina? – zapytała wreszcie.

Honoriusz westchnął.

– Tojad, bieluń i wiele innych specyfików będzie już niewykrywalnych. Autopsja nie mogłaby niczego wykazać. Chyba że facet był mniej wyrefinowany, ale wtedy już podstawowa sekcja powinna wzbudzić wiele wątpliwości. Ciągle mnie jednak zastanawia motyw oraz spójność *modus operandi*, a przede wszystkim... – Mond poprawił się w fotelu i pstryknął palcami, jakby przywoływał samego siebie do rzeczywistości. – Kto i po co nakręciłby jego zegarek? Kto wiedziałby o jego śmierci?

- Zakładasz, że to on był mordercą.

- Albo jednym z morderców.

– A ja nie jestem tego taka pewna. – Allegra wymownie się uśmiechnęła i sięgnęła po pilota telewizyjnego. – Najlepsze zostawiłam na koniec. To wiadomość wałkowana od jakichś czterdziestu pięciu minut, ale tak jak sądziłam, nie oglądałeś wiadomości.

Szmit przełączyła kanał na program informacyjny. Mond z niedowierzaniem śledził komunikat przewijający się na czerwonym pasku.

- Szlag... – wycedził, zaciskając pięści.



– No, wsiadamy. Mamy tylko jakieś dwie doby opóźnienia.

Robert Kotwicki zerknął na żonę, ale ta nie odpowiedziała na jego zaczepny ton. Wsiadła z auta, po czym wyciągnęła z bagażnika dwie spore torby z przyborami do czyszczenia grobu.

– Dzieciaki, lećcie na górę i szukajcie Antoniego Witerby. Chyba gdzieś na prawo, niedaleko za bramą.

– Jak można być tu co roku i nie pamiętać, gdzie jest grób? – Robert zapalił papierosa, po czym wziął od żony jedną z toreb. – Dwadzieścia lat poszukiwań.

– Od dwunastu jeździsz tu ze mną.

– Ale ja nie zwracam na to uwagi. Jestem zmęczony po czterystukilometrowej trasie, a ty miałaś kilka godzin odpoczynku.

– Uważasz, że słuchanie twojego marudzenia to odpoczynek?

– Kto tu niby marudzi! Następnym razem pojedziesz sama, to będzie ci najwygodniej.

– Żebyś wiedział.

Kobieta pośpiesznie ruszyła za dziećmi, które już wbiegły na cmentarz. Oczywiście, jak zwykle, poza nimi w zasięgu wzroku nie było nikogo. W półmroku mrugało tylko kilka dogasających zniczy.

– Musimy się śpieszyć, niedługo będzie ciemno – rzuciła, pchnąwszy szerzej żelazną bramę. – Nie mamy latarek.

– Zapomniałaś o nich?

– W ogóle nie miałam w planie ich brać. Nie bądź złośliwy.

– Co za beznadziejna organizacja wycieczki!

Robert cisnął niedopałek na ziemię i dogonił żonę. Chwytał ją za dłoń, po czym się uśmiechnął.

– Tylko się drocę. Znajdźmy ten cholerny grób i spadajmy stąd jak najszybciej.

– Dzieciaki już są na tropie.

Rzeczywiście rodzeństwo, niczym wyszkolona ekipa poszukiwawcza, przeczesywało rząd po rzędzie. Ich systematycy na przeszkodzie stał ogólny chaos panujący na cmentarzu. Przez setki lat groby ziemne ustępowały miejsca kamiennym, które przesuвано ze względu na wytyczane alejki, budowę kaplicy oraz nowe kwaterunki. Małeńkie pochówki dziecięce często znajdowały się niemal na środku ścieżek, natomiast kilka bogatych grobowców z wysokimi figurami stawało im w poprzek, oznajmiając, że oto doszło się do kresu ślepego zaułka. Do tego rodzeństwo z dziecięcą delikatnością powstrzymywało się choćby przed nadeptaniem na skraj miejsc pochówku.

– To gdzieś tam. – Robert skinął głową w kierunku, skąd dobiegały pokrzykiwania dzieci. – Szukajcie, szukajcie!

– Rob, nie wołaj do nich jak do psów.

– To moje gończe ogary.

– Jeśli już, to nasze.

– Cieszę się, że chociaż w tym się zgadzamy. Szukajcie, a znajdziecie. Proście, a będzie wam dane! Tak to leciało?

Kobieta już otworzyła usta, by go zrugać, gdy zza grobów dobył się przeraźliwy krzyk. Po chwili do krzyku dołączył histeryczny płacz.

– Boże! Co się stało?

Robert puścił dłoń żony i rzucił się biegiem za dziećmi.



– Można się było tego spodziewać. – Honoriusz sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej srebrną lufkę. W momencie gdy chciał do niej włożyć cygaretkę, spotkał wzrok Szmit. Natychmiast się zreflektował. – Przepraszam, to odruch.

– Nie chodzi o jaranie.

– A o co?

– Skąd się niby można było spodziewać tego, co się stało?

Allegra patrzyła na Monda, jakby ten okazał się przybyszem z obcej planety. Choć relacja dziennikarska była wyjątkowo oględna, a policja nie zorganizowała jeszcze konferencji prasowej, z materiału możliwe było wyłowienie kilku zasadniczych faktów. Mond, ponownie patrząc w telewizor, starał się je uporządkować.

– To czysta statystyka. Bardzo często śmierć jednego z morderców stanowi element zapalny całego procesu. A nawet jeśli nie mordercy, to osoby uwikłanej w morderstwa.

– Tego nie możemy wiedzieć.

– Będę się upierał.

Mond przygryzł wargę, słuchając jeszcze jednego podsumowania dokonywanego przez specjalistów debatujących w studiu lokalnej telewizji. Na cmentarzu, na którym poprzedniego wieczoru sekretnie pochowano Engela, odnaleziono zwłoki zamordowanego mężczyzny. Wszystko wskazywało na to, że odkrycia dokonano przed kilkoma godzinami, lecz do tej pory pozostawało to tajemnicą. Oficjalnie nie nadmieniono choćby słowem o upozowaniu zwłok, jednak między wierszami można było wyczytać, że pojawiły się podejrzenia profanacji. Policja niezmiennie odmawiała jakiegokolwiek komentarza.

– Zamordowany mężczyzna – wycedził Honoriusz. – A to ciekawe.

Allegra jeszcze mocniej wytrzeszczyła oczy i się przeżegnała.

– Ciekawe? Dla ciebie to po prostu ciekawe? – Podniosła się z fotela, po czym podeszła do barku i naląła sobie porcję jakiegoś alkoholu albo magicznego naparu. – Chcesz czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Dla mnie to nie jest ciekawe. To kompletnie przerażające. To, że te wydarzenia rozgrywają się tak blisko nas, całkowicie mnie skołowało. Wczoraj...

Kobieta urwała w pół zdania, lecz Mond wbił w nią zaciekawione spojrzenie. Mimo to o nic nie dopytał. Ponownie zerknął w telewizor, po czym wsunął lewą dłoń do kieszeni.

– A jeśli to był lincz? – myślał głośno. – Ofiara mogła być związana z Engelem, a podejrzewam, że facet po śmierci nie cieszy się popularnością wśród mieszkańców wsi. Nawet pogrzeb urządzono bez nabożeństwa i potajemnie.

– Co masz na myśli?

– Że nadszedł czas rozliczeń.

Mond podniósł się z fotela i ponownie zerknął na Szmit. Ta siedziała z zaciśniętymi ustami oraz przechyloną głową.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał łagodnie. – No śmiało.

– Nic.

– Na pewno?

Wzruszyła ramionami.

– Wczoraj miałam wrażenie, że ktoś za mną jechał – wyszeptała. – Ale mogło mi się to jedynie zdawać. Nerwy mam w strzępach drobniejszych od szat Chrystusa po rzymskiej licytacji.

– Widziałaś, jakie to było auto?

– Nie. To znaczy musiał to być dość spory SUV, bo mało który wóz jest w stanie świecić w lusterka mojego grata.

Honoriusz zrobił kilka kroków w tę i we w tę. Wreszcie zatrzymał się obok barku i odwrócił do niego plecami. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Berg – mruknął. – Rzekomo przez przypadek zobaczył mój samochód w momencie, gdy powinien już wiedzieć o mordzie i być na cmentarzu.

– Widziałeś się z nim?

Mond machnął ręką, lekceważąc temat.

– To nieistotne. Sednem jest, że jeżeli nie chodzi o zemstę, mamy niemal pewność, że jakiś szaleniec ponownie poluje na ofiary. A mimo wszystko możemy być w orbicie jego zainteresowań.

– Świetnie.

– Właściwie nie widzę innej możliwości. Prawdę mówiąc, zemsta również mnie nie przekonuje, tym bardziej że...

W tym momencie Allegra wymownie potrząsnęła komórką. Pośpiesznie nią obróciła i przytknęła do ucha.

– Tak, panie doktorze? – odezwała się, spoglądając prosto w oczy Monda.

– Rozumiem. W takim razie czy moglibyśmy się niedługo zobaczyć?





Mond prowadził bardzo pewnie, a jednocześnie bardzo dynamicznie. Liczba manewrów wykonywanych na drodze nie pasowała do jego zimnokrwistego charakteru. Właściwie co chwilę kogoś wyprzedzał, zmieniał pas i dodawał gazu lub przyhamowywał. Wyraźnie się śpieszył.

Od kilku minut w aucie panowała cisza. Oboje z Allegrą oddali się rozmyślaniom, do tego kobieta przeglądała coś na telefonie. Wreszcie wyłączyła go i schowała do kieszeni.

– Zanim zaczęłam drążyć sprawę Engela, sporo czasu poświęciłam czemuś innemu – odezwała się, siląc się na obojętny ton.

– Chyba mogę się domyślić. Tkwi w tobie wieczny szpieg.

– Naprawdę oceniasz mnie tak surowo?

– Jedynie na podstawie tego, czego sam doświadczam i co widzę.

Allegra odwróciła się w stronę Monda i uważnie się mu przyjrzała. Przez chwilę wypatrywała jego reakcji, lecz Honoriusz pozostał kompletnie obojętny.

– W takim razie co widzisz? – zapytała wyzywającym tonem.

Mond wzruszył ramionami.

– Widzę, że zmieniasz temat, ale rysy osobowościowe zachowuję dla siebie. Prowadzę własną bazę danych.

– Chyba mogłabym zajrzeć do przegródki z informacjami o mnie?

– Być może. Ale nie sądzę, byś tego chciała.

– Dlaczego?

– Bo mało kto chce znać prawdę o sobie.

Szmit westchnęła. Z powrotem obróciła się w fotelu i oparła głowę o szybę. Splotła ręce na piersi.

– Jeśli jedynie nabijasz się z mojej religii, jestem na to odporna. Nie mam z tym żadnego problemu.

– Owszem. Religia to tylko skutek mający podłoże w wielu przyczynach.

– Na przykład?

Mond westchnął. Wziął mocny zakręt i dodał gazu. Jaguar dynamicznie, z przyjemnym mrużeniem pomknął do przodu.

– Naprawdę chcesz teraz o tym mówić?

– Wolę to od myślenia o kolejnej ofierze jakiegoś dewianta. I o tym, że mogłam wejść w orbitę jego zainteresowań.

– Ja ci nie pomogę. Moje bazy danych to temat tabu, ale możesz zdradzić rezultaty swoich poszukiwań.

– Odpowiesz na moje pytania?

– Jeśli to teraz ma sprawić, że poczujesz się lepiej... Czemu nie?

Honoriusz się uśmiechnął i delikatnie ściszył radio. Allegra wciąż oparta głową o szybę szczelniej otuliła się kurtką. Po chwili odezwała się rzeczowym dziennikarskim tonem:

– W archiwalnym wydaniu jednej z gazet znalazłam wywiad z Leonem Mondem, właścicielem zakładu pogrzebowego i mistrzem balsamistyki. Kiedy zobaczyłam zdjęcie, nie miałam wątpliwości, że łączy was nie tylko nazwisko.

– To mój ojciec – przyznał Honoriusz. – I owszem, był właścicielem zakładu pogrzebowego oraz balsamistą.

– Stąd twoje zainteresowania?

– Które? Jestem człowiekiem wszechstronnym.

– Śmiercią, umieraniem, zwłokami. Wymieniać dalej?

– Nie nazwałbym tego zainteresowaniami.

Allegra spojrzała na niego z ukosa.

– Miałeś odpowiadać na moje pytania i sprawić, że poczuję się lepiej.

– W porządku. – Mond zerknął na nawigację. Tym razem wybrał inną trasę niż ostatnio i nie miał pewności, czy jedna z ulic nie jest obecnie w przebudowie. – Pierwszego trupa widziałem, gdy miałem cztery lub pięć lat. Zwłoki nigdy nie były dla mnie czymś niezwykłym, choć nie zrozum mnie źle, nie nocowałem w trumnach i nie bawiłem się w domalowywanie zmarłym wąsów.

– Dlaczego nie przejąłeś biznesu, tylko zająłeś się zbrodnią?

Honoriusz nie odpowiedział. Zwolnił, po czym zjechał na pobocze. Po chwili wyłączył silnik i wysiadł z auta. Znajdowali się naprzeciwko zakładu medycyny.

– To ucieczka przed pytaniami? – Szmit dogoniła go kilkanaście metrów od jaguara. – Obiecałeś mi...

Urwała w pół zdania. Niemal wpadła na Monda, który gwałtownie się zatrzymał przed witryną niewielkiego saloniku prasowego. Na wystawie leżało kilka gazet, w które wpatrywał się Honoriusz. Allegra powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, zmrużyła oczy i nagle zrozumiała, co sprawiło, że stanął jak wryty.

– Boże śnięty – syknęła, całkowicie zapominając o dotychczasowym przesłuchaniu.



– Myślisz, że to...

– Nie wiem. – Mond wzruszył ramionami. – Wolę się nie domyślać. Patrząc na zdjęcie, mogę jedynie wysnuć pewne wnioski, ale dość ograniczone.

Allegra weszła do saloniku prasowego i po chwili pojawiła się przed nim z gazetą w ręce. Na pierwszej stronie widniał artykuł o morderstwach rzekomo popełnionych przez Engela. Poza tym najwyraźniej poruszono temat zaginionych dzieci i to właśnie zdjęcie oraz opis jednego z nich przykuły uwagę Honoriusza. Teraz ponownie przyjrzał się zdjęciu, po czym powoli przeczytał:

– Michał Berg wyszedł z domu pograć w piłkę i nigdy nie wrócił. Ktokolwiek go widział po dniu zaginięcia, proszony jest o kontakt pod podany numer alarmowy. – Mond odchrząknął. – Podobieństwo do komisarza jest uderzające.

– Jak bliźnięta syjamskie, jak Scylla i Charybda, jak...

Szmit nie miała kolejnego przykładu albo też skupiła się na wyszukiwaniu jakiegoś numeru w spisie kontaktów. Po chwili dała Mondowi do zrozumienia, żeby był cicho, i wybrała numer. Odeszła kilka kroków na bok. Rozmawiała przyciszonym tonem, jakby poruszała najgłębsze tajemnice. Gdy z powrotem odwróciła się do Honoriusza, rezolutnie skinęła głową.

– Dzwoniłam do pewnego starego dziennikarza, który jest encyklopedią spraw kryminalnych Małopolski. Nie ma wątpliwości, że Michał Berg to brat naszego komisarza.

– Patrząc po dacie, może nieco starszy brat – sprecyzował Mond.

– O to nie dopytałam.

Honoriusz obrócił się z gazetą tak, by padło na nią światło dopiero co zapalonej latarni. Dłuższą chwilę lustrował artykuł, wreszcie oddał

bulwarówkę Allegrze. Wyprostował się i założył dłonie za plecy.

– Coś wyczytałeś?

– Raczej zaobserwowałem, ale to tylko mocne domniemanie.

– Zdradzisz mi ten sekret czy mam błagać na kolanach albo pomodlić się?

– Możesz mnie włączyć do kanonu swoich bóstw. Wtedy to rozważę. –

Mond podał ramię Szmit i ruchem głowy dał znać, by szli w stronę zakładu medycyny. – Doktor nie powinien na nas czekać.

– Więc?

– Co więc?

– Co to za cholerne domniemanie? Nie drocz się ze mną.

– Mam zbyt mało danych. Powinienem sięść w gabinecie, wtedy przy pomocy pewnych przyrządów, na podstawie analizy zdjęć... – Allegra z całej siły uszczypnęła Monda przez rękaw płaszcza. Ten sapnął i spojrzał na nią spode łba. Oto wyraz wdzięczności damy, której oferuje się rękę? – Auć!

– Honoriuszu.

– W dzisiejszych czasach wyraźnie obniżyły się standardy relacji damsko-męskich.

– Honoriuszu!

Szmit ponownie dotknęła jego płaszcza i Mond natychmiast się zmitygował.

– Dobrze, dobrze – rzucił uspokajającym tonem. – Chodzi o pewne cechy antropologiczne. Odległość między oczodołami, kształt kości jarzmowej oraz kości klinowej, a nawet krętość jam nosowych. Do tego specyfika łuków brwiowych, wyrostków dziobiastych i dołów skroniowych. Wszystko to pozwala porównać czaszkę z obrazem żywego człowieka. Metody metryczne są podstawą wszystkich programów komputerowych pomagających w identyfikacji przestępców, ofiar wypadków *et cetera*.

Allegra natychmiast zrozumiała, do czego zmierza Mond. Przyśpieszyła kroku i odwróciła się, uważnie mu się przypatrując.

– Czy sugerujesz, że ten cały Berg...

– Tak. Moim zdaniem jeden ze szkieletów może należeć do kogoś bliskiego komisarzowi. Poza tym nie wierzę w zbiegi okoliczności, ale

o tym chyba już wspominałem.

– Jezu. Sądzisz, że on o tym wie?

– Berg wspomniał o dokonanej identyfikacji kuzyna jednego z chłopców, którzy odnaleźli zwłoki. Ale programy miały dane dość długo, a nikt w tak delikatnej sprawie nie chce się pomylić i błędnie poinformować kogoś o śmierci bliskiego.

– Zapewne i tak nie miałyby wątpliwości.

– Myślę, że nie. – Mond nieco zwolnił. Już dochodzili do bramy zakładu medycyny, a przed budynkiem nie widział kompletnie nikogo. – Tym bardziej teraz rozumiem, co komisarz miał na myśli, mówiąc, że to sprawa małej społeczności, i perswadując, żebym do niczego się nie mieszał.

Allegra poruszyła bransoletką najbardziej opadającą na jej dłoń. Składała się z kilkunastu zawieszek z różnymi symbolami szczęścia.

– Naprawdę tak powiedział?

– Już mówiłem, że niedługo przed tym, jak do ciebie przyjechałem, zaliczyłem z nim miłą pogawędkę. Starał się wybić mi z głowy interesowanie się sprawą.

– Jezu srogi!

Mond wzruszył ramionami. Przepuścił Allegrę przodem w bramie i oboje weszli na teren niewielkiego parku. Chłodny wiatr szumiał między drzewami, tocząc po chodniku pusty kubek po kawie. Nad ziemią, niczym kłęby dymu, zbierała się mgła.

– Biorąc pod uwagę zwłoki znalezione na cmentarzu i wykluczając udział Engela, a empirycznie wiem, że martwi nie wstają z grobów, w grę wchodzi trzy scenariusze. – Honoriusz odchrząknął. – Mamy naśladowcę albo współnika. Ewentualnie Engel od początku był niewinny, a stanowił jedynie wentyl bezpieczeństwa dla prawdziwego sprawcy. Te trzy opcje wyczerpują temat.

– Świetnie. Powinieneś o nich powiedzieć Bergowi.

– On raczej powinien martwić się tym, że każda z nich zawiera domniemanie, że będą kolejne ofiary.

Mond przyśpieszył. Na szczycie schodów zakładu pojawiła się zwalista, krępa sylwetka doktora Pudwela.





Pudwel obrzucił ich spłoszonym spojrzeniem. Jego wielka postać przypominała dzikie zwierzę miotające się w klatce i obawiające się turystów rzucających w nie kamieniami. Patolog rozejrzał się wokół, po czym ukradkiem skinął głową.

– Chodźmy na bok – mruknął. – Nie wiem, czy ktoś nas ostatnio widział, ale wolę uważać.

– Jakieś kłopoty? – zagadnął Mond.

– Sam nie wiem. Wczoraj miałem wrażenie, że ktoś za mną szedł do instytutu, a potem sprawdzał, czy zamknąłem drzwi. Wyraźnie słyszałem poruszenie klamką, ale kiedy podszedłem do okna, nie zobaczyłem nikogo. Panowała martwa cisza, że tak powiem.

Honoriusz wymienił z Allegrą porozumiewawcze spojrzenia. O ile osoby zamieszane w sprawę nie dostawały zbiorowych zwidów, coś musiało być na rzeczy. Chyba że chodziło o nadmierny stres związany z mnogością odkrytych zwłok. Ta ostatnia koncepcja mogła pasować do Szmit, jednak Pudwel nie sprawiał wrażenia człowieka delikatnego. Wręcz przeciwnie, stanowił doskonały przykład podręcznikowego gruboskórnego patologa. Ponownie, mimo chłodu, wyszedł na dwór w samym kitlu, a i tak wyrwało mu się, że jest mu za gorąco.

– Ma pani bardzo przekonującego kolegę – zwrócił się do Allegry. – W życiu nie naruszyłem w ten sposób etyki zawodowej.

Mond zerknął na niego z ukosa.

– Może nie chodzi o przekonujących kolegów, ale o Berga?

– Dlaczego tak pan myśli?

– Zdaje się, że od początku nie przypadł panu do gustu jego udział w sprawie. Poza tym obaj wiemy, na jakim etapie znajduje się śledztwo. Nie mam tylko pojęcia, dlaczego miałoby panu tak bardzo zależeć na rozwiązaniu tej zagadki.



Pudwel zatrzymał się z boku budynku i splótł ręce na piersi. Głęboko nabrał powietrza, tak że przez moment przypominał napompowanego sterydami mocarza. Wreszcie głośno sapnął.

– Zdaje się, że obu nam na tym zależy – odezwał się szorstko. – Mimo to nie dopytuję pana o pańskie powody. Mogę mieć jedynie podejrzenia.

– Podejrzenia?

– Zboczenie zawodowe. – Lekarz zaśmiał się sarkastycznie. – Kiedy trafiają do mnie pacjenci, zazwyczaj od razu mogę rozpoznać, czym się zajmowali. Kierowcy mają zjechane kręgosłupy oraz nadgarstki, nauczyciele gardła, pracownicy fizyczni zdeformowane stopy. Można długo wymieniać.

– Praca zabija – wtrąciła się Allegra. – Dlatego wielu świętych zalecało życie ascetyczne bez czynnego wysiłku.

– Podejrzewam, że asceci zasuszają się od środka. Chociaż nigdy nie miałem żadnego na stole.

Mond odchrząknął. Nasunął głębiej kapelusz i się pochylił, jakby raziło go światło.

– W takim razie co widział pan we mnie?

– Nadmierną ciekawość – fuknął patolog, po czym wyciągnął w jego stronę kopertę. Jeszcze raz czujnie rozejrzał się wokół. – Ale ufam, że dochowa pan tajemnicy jak porządny trup, że tak powiem.

– Dlaczego?

Honoriusz przez chwilę się wahał, wreszcie wziął kopertę. Lekarz nie odpowiedział na jego pytanie, więc łagodnie zmienił temat.

– Swoją drogą, czy wiadomo coś o tym, by jedną z ofiar zidentyfikowano jako osobę o nazwisku „Berg”?

– Nie biorę udziału w identyfikacjach.

– Ale chyba nakłada pan zwłokom obrączki z ewentualnymi danymi?

Patolog westchnął. Przeniósł wzrok gdzieś w niebo, po czym zmarszczył brwi.

– Słyszeliście, jak śpiewają jakieś ptaki? – zagadnął. – To niespotykane o tej porze roku. Nie sądzicie?

Nim zdążyli się odezwać, Pudwel włożył dłonie do kieszeni kitla i zawrócił w stronę głównego wejścia. Podążał tam szybkim, pewnym krokiem.

– Czy tym razem sprawdził pan zegarek?

– Może.

– Co to znaczy?

Pudwel, nie odwracając się, machnął ręką.

– Wszystko, co wiem, macie w kopercie. Zrobiłem i tak zbyt wiele.

– Nie mam bladego pojęcia, czy powinniśmy za to dziękować.

– Łaska pańska na pstrym koniu jeździ – mruknęła Szmit.

Lekarz zatrzymał się tuż przed drzwiami i zerknął w stronę niej oraz Monda. W świetle latarni dostrzegli na jego szerokiej twarzy delikatny uśmiech.

– Lekarzowi i grabarzowi nie życzy się dobrego roku, no nie? – zagadnął, po czym, ciężko sapiąc, wszedł do budynku.

– Boże śnięty – syknęła Szmit.

Pokręciła głową i ruszyła za Honoriuszem. Mond długimi krokami kierował się w stronę auta. W dłoniach niecierpliwie międlł kopertę. Podskórnie czuł, że trafi w niej na coś istotnego. I owszem, zgadzał się z Pudwelem. Od lat trawiło go ohydne, wysysające soki życiowe zboczenie przesiąknięte niezdrową ciekawością. Wewnętrzny mus rozwiązywania zagadek. Tym razem nie mógł się powstrzymać.

Gdy tylko znaleźli się w jaguarze, pośpiesznie rozdarł kopertę i wyciągnął jej zawartość. Natychmiast po plecach przebiegł mu dreszcz ekscytacji.



Mond maksymalnie odsunął siedzenie kierowcy i rozsiadł się w nim niczym w najgłębszym fotelu klubowym. Do ust włożył srebrną lufkę, ale nie odpalił cygaretki. Unikał kopcenia w aucie, bo mogłoby mieć zły wpływ na jasne obicia. Do tego skóry łatwo nasiąkały aromatem gęstego dymu.

– Co tam mamy? – Allegra niecierpliwie zerknęła mu nad ręką. – Wyczytałeś coś?

– Wybacz, ale nie przeszedłem kursu błyskawicznego czytania. Wolę delektować się treścią.

– W takim razie możesz mi przynajmniej część odstąpić.

Honoriusz zazdrośnie strzegł dokumentów. Poprawił stosik na kolanach i oparł o nie łokieć.

– Lepiej, abym filtrował niepożądane treści. Nie chcę, żeby ci się ułało na wykładzinę.

– Ale...

– Nic nie pomogą zapewnienia, że potrafisz to tak posprzątać, aby nie zostały żadne ślady.

Allegra spojrzała na niego z wyrzutem. Mimo pozornie zgryźliwej treści na twarzy Monda nie było widać złości. Wszystko to powiedział tonem niemal naukowej relacji czy też odpowiedzi profesora na wyjątkowo sztampowe pytanie zadane przez namolnego studenta.

– Hej, panie poważny, ja naprawdę jestem ciekawa.

– Chwilę.

– Już?

– Pytając o to co pięć sekund, sprawiasz, że wybijasz mnie z rytmu na dziesięć.

Szmit, chcąc nie chcąc, zamilkła. W pierwszej chwili miała za złe patologowi, że wręczał dokumenty Honoriuszowi, ale właściwie przynosiło

jej ulgę, że pomiędzy nią i makabrycznymi scenami istniał bufor bezpieczeństwa. Była dość twarda, aby wytrzymać naprawdę wiele, lecz skoro mogła tego uniknąć, wołała, by tak zostało.

W obecności Monda czuła się przy tym wyjątkowo bezpiecznie. Między innymi właśnie dlatego, że nic zdawało się go nie ruszać. Przypominał skałę, którą można było napażać łopata bez nadziei jej naruszenia. Choć jednocześnie była przekonana, że pod wierzchnią skorupą w środku tkwi wrażliwy człowiek. Płynna emocjonalna magma, gdyby mówić metaforami. Nim zdążyła przenieść ją na grunt religijny, Mond rezolutnie zamknął jedną z teczek.

– Ofiarą jest około dwudziestoletni mężczyzna – zaczął streszczać zdobyte wiadomości. – Ubrano go w podobny strój jak ciała z piwnicy, choć po zdjęciach wnioskuje, jakby nie był wykończony.

Honoriusz podał Szmit jedno ze zdjęć. Sfotografowano na nim gardecorps rozłożony na specjalnym białym prześcieradle. Zapewne pobrano z niego wszelkie możliwe ślady. Strój różnił się od poprzednich wykończeniem oraz obszyciami, jakby skrojono go pośpiesznie z kilku kawałków.

– Przyczyną zgonu było wykrwawienie na skutek poderżnięcia gardła – ciągnął Honoriusz. – Ciekawe, co? Do tej pory nie mieliśmy do czynienia z takim sposobem zadawania śmierci.

– Coś sugerujesz?

– Naśladowcę, współnika, odmienne modus operandi, inną fazę choroby psychicznej.

– Zarzucasz mnie pojęciami, ale nie wyczuwam konkretów. Krasomówstwo godne Kajfasza.

– Raczej jak Piłat umywam dłonie od szastania oskarżeniami. – Mond ponownie przełożył dokumenty. – Mamy wiele podobieństw, ale także różnic.

– Wiele? Na razie powiedziałaś o jednej, którą można zrzucić na brak warunków. Facetowi zarekwirowali piwnicę, w której mógł głodzić ofiary, więc się wkurzył i przyspieszył działanie. Może to nawet bardziej humanitarne.

– Jesteś niepoprawna.

– Wcale nie. – Allegra z niecierpliwością łypała w stronę dokumentów. – Po prostu czekam, żebyś coś z siebie wyrzucił.

Mond powoli odłożył duży wydruk zdjęcia i zamknął kolejną teczkę. Przez chwilę milczał, jakby trawiając jakąś myśl. Wreszcie odezwał się markotnym tonem.

– Jest jeszcze jedna różnica, przynajmniej statystyczna.

– Mianowicie, panie zagadka?

– Nie wszyto w niego mięsa.

– Aha. Nawet nie wiem, jak powinnam na to zareagować. Czy to ten moment, żeby krzyczeć „hosanna”?

– Jeżeli zamierzasz bluźnić, możesz to zrobić w dowolnym momencie. Poza tym mnie to rybka, choć w tym kontekście to chyba również nie jest właściwe słowo. – Honoriusz rozmasował czubkami palców zmęczone oczy. Po chwili ponownie spojrzął w dokumenty. – W każdym razie można mieć pewność, że mięso miało służyć zmyleniu tropów przy pierwszych trupach.

– A teraz zabójcy już na tym nie zależy?

– Może masz rację, mówiąc, że brak piwnicy wszystko zmienił. Trudno patroszyć trupa i wpychać do niego mięso na środku cmentarza. Ale...

Mond zawiesił głos i zamilkł. Allegra natychmiast wymownie przewróciła oczami.

– Ale?

– Miał czas na to, żeby go przebrać. Nie sądzę, żeby ofiara wcześniej paradowała w stroju trzynastowiecznego grajka.

– W dzisiejszym świecie wszystko jest możliwe.

Honoriusz wyjął plik zdjęć, lecz ich nie rozłożył. Poprawił się w fotelu i ciężko westchnął.

– Ofiara znowu miała zegarek – wymamrotał. – Tyle że tym razem nie był to zegarek mechaniczny.

– W takim razie nie jesteśmy w stanie ocenić, kiedy go nakrecono?

– Wręcz przeciwnie. Najwyraźniej zabójca zmienił sposób pomiaru czasu i podczas sekcji, gdy określono, że od zgonu minęło około dwunastu

godzin, zegarek wskazywał dwunastą dwadzieścia siedem. Tym razem Pudwel zwrócił na to uwagę.

Allegra przygryzła wargę i spojrzała na Monda.

– Rozumiem, że nie było wtedy dwunastej dwadzieścia siedem?

– Nie.

– I jakie to może mieć twoim zdaniem znaczenie?

Honoriusz powoli uchylił okno i wciągnął świeże, zimne powietrze.

– Takie, że nikt poza uprzednim zabójcą nie mógł znać tego szczegółu. A wobec tego możemy odrzucić motyw zemsty na kimś bliskim Engela. – Mond westchnął. – Wciąż mamy do czynienia z tym samym zbrodniarzem, który był uwikłany w poprzednie siedem mordów. Co gorsza, mam dziwne przeczucie, że spirala zabójstw ponownie się rozkręca.



Mond uznał, że po początkowym przejrzeniu dokumentów potrzebuje odświeżenia myśli. Nie czekając na zgodę Allegry, ruszył spod zakładu medycyny i skierował jaguara na hotelowy parking. Po serii pytań oraz rzuconym niemal z autentyczną histerią oskarżeniu o porwanie wysiadł z auta. W odpowiedzi wymamrotał coś o absyncie, a Szmit posłusznie powłokła się za nim.

Tego wieczoru w CK Browarze było sporo ludzi, ale udało im się znaleźć stolik na uboczu. Niemal jak spod ziemi wyrósł przy nich Franc. Na jego pucołowatej, złanej potem twarzy szczerzył się szeroki uśmiech.

– Widzę, że rodzinka się powiększa, drogi panie – zwrócił się konspiracyjnie do Monda.

– To koleżanka z pracy. Właściwie szefowa.

– Ach, pan to się umie ustawić.

– To nie...

– Ależ proszę się nie tłumaczyć, słońce monarchii, przecież o nic nie pytam. – Franc spojrział na Allegrę i choć granoczyło to z niemożliwością, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Puścił do niej oko. – Musi droga pani nad nim zapanować. My, biedni galicyjscy garsoni, od razu mamy przecucie. Będzie z was piękne małżeństwo. Ku chwale cesarstwa i rodzaju ludzkiego.

Szmit, hamując uśmiech, zerknęła na Monda.

– Nie przejmuj się, on tak zawsze – skwitował Honoriusz. – Choć małżeństwa mi jeszcze nie wieszczę.

– Po absyncie przyjdzie czas na szczerłość. – Franc uklonił się, dumny ze swej sentencji. – Jak rozumiem, podać dwa kieliszki?

– Dwa razy po dwa.

– Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem.

Allegra odprowadziła go wzrokiem i ponownie spojrzała na Monda.

– To knajpa z tradycją, a Franc jest jej słynnym ozdobnikiem – wyjaśnił Honoriusz. – Powiedziałbym nawet: „osobliwością”.

– Nie da się ukryć.

– Jeśli się z nim zaprzyjaźnisz, poczujesz prawdziwy klimat epoki. Cofniesz się o sto albo więcej lat.

– Wcale nie mam na to ochoty. – Allegra się skrzywiła. – Dobrze mi tu, gdzie jestem, bez wścibskich kelnerów i samczych, szowinistycznych spojrzeń. Jak Sisi.

– Chyba wiesz, że większość religii jest szowinistyczna.

– Tylko jeśli sam chcesz wyobrażać sobie bogów jako myśliwych biegających po Olimpie z fujarkami na wierzchu.

Mond westchnął. Nim zdążył zripostować, przy ich stoliku ponownie pojawił się Franc. Ustawił na nim kieliszki, po czym przez specjalne ażurowe łyżeczki z cukrem nalał do nich błękitnego płynu.

– Bez fajerwerków. – Jak zwykle poprosił Honoriusz. – Nie chcemy tu pożaru.

– Jak sobie wielmożny pan życzy.

Allegra odsunęła kieliszek w stronę kelnera.

– A ja chciałabym popatrzeć na fajerwerki. Sztuczne ognie zawsze poprawiają mi humor.

– One wcale nie są sztuczne.

– Tym lepiej.

Franc, nie bacząc na lodowate spojrzenie Monda, wyciągnął z kieszeni opakowanie długich zapalek i odpalił jedną z nich. Po chwili ponad jeden z kieliszków wystrzelił niebieskawy płomień.

– Proszę pomyśleć życzenie i dmuchnąć.

– W żadnym rytuale nie było mowy o pomyśleniu życzenia – wtrącił Honoriusz.

– Zawsze warto pomyśleć życzenie. – Allegra uśmiechnęła się, przymknęła oczy i dmuchnęła. Płomień zadrgał, a wreszcie się zagasił. – Uf, udało się.

– Zostawiam państwa *tête-à-tête* – oznajmił garson, a następnie taktownie się skłoniwszy, odszedł w stronę baru.



Mond pokręcił głową i sięgnął po odłożone na skraj stolika dokumenty.

– Franc w towarzystwie kobiet robi się niemożliwy – mruknął. – Wymyśla najrozmaitsze historie, byle tylko się przypodobać.

– Mówisz, jakbyś był zazdrosny.

– To bardzo możliwe. Czasem chciałbym być na jego miejscu.

Allegra zmarszczyła nos, licząc, że Honoriusz rozwinie ostatnią myśl, lecz ten zajął się ponownym przeglądaniem dokumentów. Wkrótce zerknął sponad nich i wziął kieliszek.

– Chciałaś fajerwerków, ale wciąż się nie napiliśmy.

– Czekałam na toast. Toasty przynoszą szczęście.

Mond parsknął, trącił kieliszkiem kieliszek Szmit i wychylił jego zawartość do dna. Brzęknął kryształem o blat stołu.

– Nie znoszę toastów – bąknął. – Będziesz musiała wymyślić go w ciszy, tak samo jak życzenie.

Allegra wypła absynt, po czym głośno chuchnęła. Na twarz wystąpiły jej czerwone pąsy, a oczy się zaszklily.

– Ojcie smętny, to postawiłoby na nogi umarlaka! – Chuchnęła raz jeszcze i wbiła spojrzenie w Monda. – Zażyczyłam sobie, byś wreszcie streścił, co wyczytałeś w tych papierzyskach.

– Proście, a będzie wam dane.

– Naprawdę mam prosić?

Mond przeglądał dłonią leżący na wierzchu dokument, po czym wychylił drugi kieliszek. Ku zaskoczeniu Allegrey wydawało się, że moc alkoholu nie robi na nim żadnego wrażenia.

– No dobrze – odezwał się, nadal gładząc kartkę. – Są dwie istotne rzeczy. Przede wszystkim w trakcie sekcji dostrzegalne były liczne aberracje w narządach mowy i słuchu denata, co pozwala wysnuć wniosek, że do czynienia mamy z osobą głuchoniemą.

– Myślisz, że to może być ktoś z Domu Ciszy?

– Być może. Choć trudno by się pokusić o stworzenie jego portretu pamięciowego.

Allegra sięgnęła po drugi kieliszek i usiłując zachować kamienną twarz, wypła ponad połowę jego zawartości. Tym razem wybuchła kaszlem, a na

jej czoło wystąpił pot.

– Klepnąć cię? Zachłysnęłaś się?

Łapiąc powietrze, pokręciła głową.

– Mów...

– O czym?

– Co... z por... portretem pamięciowym.

Mond przybrał niewinną minę.

– Po znalezieniu zwłoki wyglądały nieco inaczej niż w chwili, gdy trafiły na stół. – Wymownie odchrząknął. – Lepiej odpuśćcie sobie szczegóły.

– Nie. Chcę wiedzieć, co masz na myśli.

– Z dokumentacją zdjęciową?

– Akurat ją możesz sobie darować.

Honoriusz skinął głową.

– W porządku. Krótko mówiąc, na twarzy denata istniały tak zwane ślady rozluźnieniowe, jego policzki były wiotkie, oczy lekko przymknięte, a nozdrza wąskie.

– O czym miałyby to świadczyć?

– Przypuszczam, że przed śmiercią zamordowany został odurzony jakimś środkiem chemicznym lub gazem. Po przeniesieniu zwłok stężenie twarzy wyraźnie się zmieniło. Jeżeli to chemia, z pewnością zostanie wykryta w analizie laboratoryjnej. Co innego, jeśli użyto gazu.

– Głuchoniemy zostaje obezwładniony jakimiś środkami i zamordowany. Historia na dobry kryminał, a do tego my tkwiący w tym syfie.

– To nie wszystko. Pudwel stwierdził ślad po niedawnym uderzeniu w prawe ucho denata. Zadano je jednak z całą pewnością, gdy ten jeszcze był żywy.

– Coś insynuujesz?

Mond wzruszył ramionami.

– Na przykład to, że bardzo mało osób wie o tym, że specyfika budowy anatomicznej ucha u wielu osób głuchoniemych sprawia, że nawet słabe uderzenie pozbawia ich przytomności.

– Przed chwilą mówiłeś o gazie lub chemii.

– I to właśnie jest ciekawe, prawda? Wydaje mi się, że najwyższy czas na odwiedzin w Domu Ciszy.



W pewnym momencie zdjęcia oraz protokoły sekcji przytłoczyły nawet Monda. Ponownie zamówił dwie podwójne kolejki absyntu, a tym razem uporanie się z nimi poszło Allegrze znacznie lepiej.

– Już myślałem, że to dla ciebie niekoszerny alkohol – mruknął, widząc, że Szmit z dumą obraca pusty kieliszek. – Nie hałał czy jak tam to określasz w swojej multikulti religii...

– Bogowie stworzyli również procenty. Poza tym wszystko jest dla ludzi.

– Można by tak mówić o pierwiastkach radioaktywnych.

– Oczywiście. Jedni produkują z nich energię, inni robią bomby atomowe.

– Allegra uniosła dłoń i przywołała kelnera. – Panie ober, dwa razy dwa, raz jeszcze.

– Brzmi jak skomplikowane zadanie z matematyki. – Franc uklonił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale ja, szanowna panienko, potrafię liczyć, więc można też liczyć na mnie.

Nim się spostrzegli, stanęły przed nimi kolejne cztery kieliszki, które wypili niemal jedno za drugim. Mond starannie złożył teczkę z dokumentami i się zamyślił. Gdy Allegra zaczęła stroić do niego miny, drgnął, ale jeszcze przez chwilę milczał.

– Jesteś oblatana w nowoczesnej technice, więc sprawdź rano jedną rzecz – odezwał się wreszcie. – Zapisz w telefonie przypomnienie, aby na pewno to zrobić.

– Zrobić co?

Szmit posłusznie sięgnęła po telefon, gotowa notować zdanie.

– Zweryfikuj firmę z mrożonkami, która jeździ przez Bobolin. Opinie o niej, historię, jej pracowników.

– Następnym razem chcesz kupić tam lody?

– Może. – Honoriusz poluzował węzeł krawata i odchylił się na krześle. – Po prostu zrób to dla mnie.

Kilka minut później, gdy zamówili największą porcję frytek CK, a następnie spałaszowali ją w piorunującym tempie, Allegra ziewnęła. Odchyliła się na krześle i rozciągnęła mięśnie ramion. Mond natychmiast poprosił o rachunek. Widząc rozbiegane spojrzenie Szmit, uznał, że jeszcze choćby kropla absyntu mogłaby przelać czarę przyjemnego wstawienia i trafić do zbiornika znanego jako przedsiónek piekielnego pijaństwa.

– Pójdziemy się przewietrzyć? – zaproponował. – Jeśli chcesz, doprowadzę cię w stronę domu.

Allegra nie protestowała. Właściwie z ulgą przyjęła jego propozycję, naciągnęła na uszy czerwony beret i włożyła rękawiczki. Chwilę później znaleźli się na dworze, chuchając i tupiąc.

Część drogi pokonali piechotą, a część taksówką, jednak wysiedli z niej dwieście metrów od domu Allegrzy. Nie obawiali się ciekawskich spojrzeń sąsiadów ani tego, że ktoś ich śledzi. Po prostu absynt ponownie ujawnił swoją moc i zrobiło się im bardzo gorąco.

Szmit kątem oka łypnęła na Monda. Od pewnego czasu widział, że zamierza mu zadać pytanie, ale jakimś cudem się powstrzymuje. Wreszcie ciekawość znalazła ujście.

– Co cię skłoniło do rzucenia roboty i przeprowadzki do Krakowa? – wyrzuciła jednym tchem. – Przed kim uciekasz?

Honoriusz poprawił kołnierz i delikatnie popychając Szmit, prowadził ją w stronę jej domu.

– Nie mówmy teraz o tym. To nic interesującego.

– Ale ja muszę wiedzieć. Pamiętaj, że mam pierdolca na punkcie wywiadu osobowego. Po pijaku podwójnego.

– To się nazywa szpiegowanie.

Szmit wzruszyła ramionami i się zatrzymała.

– Zwał, jak zwał. – Założyła za ucho pukiel włosów, które wymknęły się spod ściągniętego na bok beretu. – To była kobieta, prawda?

– Nie chcę do tego wracać. Nie po to zostawiłem wszystko za sobą, żeby...

– Nie uda ci się zapomnieć.

– Co takiego?

– Lepiej, abyś to wszystko komuś wyrzucił. Co ona ci zrobiła? – Allegra zatoczyła się i ponownie wbiła wzrok w twarz Honoriusza. – Była kurwą, która odeszła do twojego kumpla? Wystawiła cię?

– Przestań.

– No powiedz. Przyznaj, że chodzi o kobietę, która wystawiła cię do wiatru.

– Jesteś pijana. Lepiej wróćmy do domu i...

– Już wiem. To hybrystofilka, która dała tyłka facetowi, który poszedł siedzieć dzięki twojej logicznej dedukcji. Prawda, Mortalisto?

To ostatnie słowo podziało na Monda jak płachta na byka. Przynajmniej na byka aspirującego do miana dżentelmena z poprzedniej epoki. Jego twarz wykrzywił grymas złości, mężczyzna przestąpił z nogi na nogę, wreszcie chwycił Allegrę pod rękę i niemal wlokąc ją, podprowadził ku bramie posesji.

– Wracaj do domu. Prześpij się.

Nie odwracając się i nie zważając na zaczepne pokrzykiwania Szmit, skierował się ku ulicy. Zdał sobie sprawę, że taksówkarz, który ich podwoził, zatrzymał się niedaleko, czekając na nowy kurs. Energicznie machnął, przywołując go do siebie. Chwilę później zirytowany wszedł do kilkuletniego mercedesa i dopiero wtedy rzucił okiem w stronę posesji Allegry. Widok przysłał rząd tuj, ale wydało mu się, że podwórze jest puste.

Kiedy kwadrans później wbiegał po schodach hotelu, nadal czuł złość. Alkohol już całkowicie się z niego ulotnił i pozostawił tak dobrze znaną niechęć. Po powrocie do pokoju Mond natychmiast wyciągnął lufkę, rozsiadł się w fotelu i zapalił. Bił się z myślami, czy nie powinien zadzwonić do Allegry i jej przeprosić. Powstrzymywała go jedynie późna pora i świadomość, że kobieta najpewniej padła jak kłoda do łóżka.

Mimo to, gdy zadzwonił jego telefon, natychmiast odebrał. Pośpiesznie szukał w głowie dobrej formuły przeprosin, lecz po drugiej stronie nie usłyszał głosu Szmit. Zamiast niej odezwał się jakiś zdeformowany, nieludzki skrzek.

– Ucałowania z piekła.

Po tych słowach połączenie zostało zakończone. Tak krótki komunikat wystarczył, by Mond rzeczywiście poczuł się, jakby trafił na samo dno królestwa ciemności.



Numer, z którego wykonano połączenie, był zastrzeżony. Mond nie mógł na niego ani oddzwonić, ani wysłać wiadomości. Po kilku próbach dał sobie spokój. Podszedł do szpinetu i rozedrganą dłonią zagrał krótką melodię. Był zdenerwowany i nie potrafił tego ukryć, a fałszywe dźwięki sprawiały mu niemal fizyczny ból. Skrzywił się.

Cicho mamrocząc, odłożył srebrną lufkę na biurko. Sięgnął do barku po absynt, ale jedynie obrócił w dłoni butelkę. Zdecydował, że nie powinien już więcej pić. W każdej chwili mogła pojawić się potrzeba, by prowadził, a nie zamierzał zdawać się na łaskę taksówkarzy. Po wypitej dotąd porcji do rana powinien wytrzeźwieć.

Swoim zwyczajem zaczął się przechadzać w tę i w tę po pokoju. Trzącał dłońmi klawisze szpinetu, wyglądał za okno, wreszcie przechodził obok szafki pełnej książek o kryminalistyce.

„Ucałowania z piekła”.

Wypowiedziane dziwnym głosem zdanie rozbrzmiewało mu w głowie jak syrena alarmowa tonącego okrętu. Albo raczej niczym dzwonek przyczepiony do dłoni umarłego. Tylko jedna osoba w jego życiu używała słowa „ucałowania”. Do tego używała go często i to wyłącznie w stosunku do niego. Nikt inny nie wypowiadał się w ten sposób. Problemem było to, że osoba ta stanowiła odległą przeszłość i z pewnością do niego by nie zadzwoniła.

– A to piekło? – zapytał się na głos. – Skąd to cholerne piekło?

Jego palce zawisły nad klawiszami szpinetu, lecz tym razem ich nie dotknęły. Mond odwrócił się i sięgnął po komórkę. Po chwili wahania wybrał numer.

– Honoriusz, mój drogi!

Kobięcy głos odezwał się już po pierwszym sygnale. Mond wiedział, że późna pora w tym przypadku nie stanowi żadnego problemu.



- Nadszedł moment, w którym potrzebuję twojej pomocy – rzucił oschle.
- Powiedziałaś, że...

Kobieta szybko mu przerwała.

- Rodziny się nie wybiera, prawda? Wal śmiało.

- To prosta rzecz.

- Pozwól, że sama to ocenię.

Honoriusz odchrząknął. Oparł się dłonią o skraj łóżka i zerknął na fasadę kościoła pijarów. Nadal nie zaciągnął zasłon ani nie zapalił w pokoju światła.

- Mogłabyś sprawdzić połączenie, które wykonano na mój telefon dokładnie jedenaście minut po północy? – zapytał, siłąc się na obojętny ton.

- To dość pilne.

– Tajemnicze wielbicielki czy pogrożki? – rzuciła kobieta kpiącym tonem.

- Możliwe, że dwa w jednym. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Mogłabym, choć to trochę potrwa.

- Jak długo?

– Żeby się włamać na logi BTS-ów oraz rozeznac w bilingach, potrzebuję kilku godzin. Nie chcę robić tego lamersko i zostawić po sobie śladów.

- Kilka godzin?

- Tak, Honoriuszu. Kilkaset minut. Kilkanaście tysięcy sekund.

Mond uśmiechnął się ponuro.

- Czyli do rana powinnaś już wiedzieć?

– Jeśli pragniesz zabawiać się w pana precyzyjnego, przyjmij, że potrwa to mniej niż trzydzieści sześć tysięcy sekund. O ile nie pojawią się nieprzewidziane okoliczności, a mnie nie zechce się spać.

- Myślałem, że nadal sypiasz w ciągu dnia.

– Tak. – Kobieta zachichotała. – Dlatego wspomniałam o nieprzewidzianych okolicznościach i nocnej sjeście. Niebawem zamierzałam zjeść obiad.

- Czyli nic się nie zmieniło.

- Nie lubię zmian tak samo jak ty.

- To przytyk?

Kobieta nie odpowiedziała. Jak zwykle rozłączyła się bez słów pożegnania. Mond jeszcze przez chwilę trzymał w dłoni telefon, wreszcie odłożył go i poszedł do łazienki. Kwadrans później swoim zwyczajem zapalił świeczkę, po czym wsunął się pod kołdrę. Sięgnął po leżącą na wezglowiu książkę, ale nie potrafił się na niej skupić. Wciąż słyszał upiorny skrzek. Starał się go zagłuszyć, skupiając myśli na zdobytych tego dnia informacjach. Był zdecydowany udać się z samego rana do Domu Ciszy. Czuł, że tam może dowiedzieć się czegoś więcej, a jednocześnie bał się rozczarowania. Myśli kłębiły się, lecz senność nie przychodziła.

Dwukrotnie wstawał z zamiarem wypicia kieliszka absyntu, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał. Zamiast tego owinął się w atłasowy szlafrok i na balkonie wypalił cygaretkę. Niebo na wschodzie zdawało się powoli przecierać ciemnym fioletem, a z minuty na minutę narastał odległy gwar. Kraków budził się ze snu. Na wieży któregoś z kościołów wybiły dzwony, potem dołączyły do nich kolejne. Gdzieś niedaleko zarżały dorożkarskie konie prowadzone na rynek.

Nagle z pokoju dobiegł dźwięk dzwonka telefonu. Mond jak oparzony rzucił się do środka, po czym zerknął na wyświetlacz. Dzwonił nieznany numer. Nie był zastrzeżony, lecz telefon o tak wczesnej porze nigdy nie wróżył nic dobrego.



– Halo?

– Mówi Zuzanna Lasecka. Wie pan.

Wiedział. Kobieta z Bobolina, która odważyła się zdradzić mu kilka miejscowych tajemnic. Z zaciekawieniem przyłożył mocniej telefon do ucha i usiadł na skraju łóżka.

– Proszę mówić, miło mi panią słyszeć. Choć chyba byliśmy na ty?

– Daruj sobie te uprzejmości. Wiem, że dla takiego mieszcza jak ty jest jeszcze barbarzyńsko wcześnie.

– Sypiam krótko i mało. Proszę się nie przejmować.

Mond starał się wsłuchać w brzmienie głosu rozmówczyni. Wydał mu się nieco podniesiony i rozedrgany. Wyczuwał rozdrażnienie lub strach, zresztą często te emocje przejawiały się w podobny sposób.

– Chciałabym...

Kobieta przerwała. Cicho wypuściła powietrze w słuchawkę, wreszcie westchnęła.

– Proszę mówić zupełnie śmiało.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Czy coś cię niepokoi? Czy czegoś się obawiasz?

– Nie. Chyba nie.

Mond zdmuchnął świeczkę i obrócił się do okna. Fiolet nieba z sekundy na sekundę zamieniał się w róż.

– W takim razie co się stało?

– Może nic. Może to tylko przewrażliwienie.

– Na jakim punkcie?

Rozmowa szła jak po grudzie. Honoriusz wiedział, że w podobnych sytuacjach nie należy ponaglać rozmówcy, ale powinno się mu pomóc otworzyć. W podręcznikach negocjacyjnych tę sytuację przyrównywano do asystowania kurze przy znoszeniu zbyt wielkiego jajka. Niedelikatność

mogła sprawić, że skorupka pęknie i niosce stanie się krzywda. Całkowita pasywność prowadziła do utknięcia jajka, a w konsekwencji do blokady. Należało być bardzo ostrożnym. Tyle że Mond nie był ani negocjatorem, ani nie znał niezbędnych sztuczek. Osobiście w problemowej sytuacji wolałby wezwać weterynarza.

– Proszę pani?

– Jak mówiłeś, przeszliśmy na ty.

– Tak, zgadza się. Zuzo, gdybyś chciała mi coś powiedzieć...

– Nie przez telefon. – Lasecka ponownie westchnęła. – Dam ci znać o odpowiedniej porze. Chciałam tylko sprawdzić, czy będziesz w ogóle chciał ze mną rozmawiać. I proszę, nie zagaduj mnie, przynajmniej dopóki sama nie dam ci znać.

Mond nic z tego nie rozumiał. Kobieta rozłączyła się, pozostawiając go z domysłami. Nie miał pojęcia, jak zdobyła numer jego telefonu, lecz to można było całkiem łatwo wytłumaczyć. Podał go Bergowi, więc znalazł się w aktach śledztwa, a śledztwo w Bobolinie najwyraźniej nie stanowiło tajemnicy dla mieszkańców wsi. Zapewne nie tylko Berg pochodził z okolicy i pracował w policji.

Zrozumiała była również niechęć do spotkania zaaranżowanego z jego inicjatywy. Znając nastrój panujący we wsi, musiał być traktowany jak parias. Albo jeszcze gorzej. Allegra przyrównałaby go do zmory, przeklętego bytu nieczystego, ale...

Odganiając te myśli, pomaszerował do łazienki i wziął gorący prysznic. Odczekał jeszcze kilka minut, po czym w nieodłącznym kapeluszu na głowie zszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Często jadał na starówce, lecz tego dnia nie chciał tracić czasu. Uznał, że w jego organizmie nie powinno być już najmniejszego śladu po absyncie i natychmiast po dość skromnym posiłku udał się na parking. Do jaguara wsiadł, gdy robiło się już całkiem jasno. Rozpoczął się nowy dzień, który niebawem miał przynieść mnóstwo zaskoczeń. Nawet mimo niespotykanej błyskotliwości umysłu Honoriusz nie mógł się spodziewać większości z nich.



Anna Bielska siedziała na skrzypiącym obrotowym fotelu i popijała kawę. W małym, przypominającym schowek na miotły gabinecie wyglądała srogo. Miała na sobie granatowy żakiet, białą koszulę oraz czerwone spodnie w kant. Podobnie jak wieczorem, gdy Mond widział ją po raz pierwszy, tak i teraz w świetle dziennym nie potrafił oszacować jej wieku. Mogła mieć trzydzieści kilka lub prawie pięćdziesiąt lat. Jego uwagę zwracały jedynie kontrastujące ze schludnym strojem krótkie, niezbyt zadbane paznokcie.

– Od wczoraj nie miałam żadnego kontaktu z panem dyrektorem – oznajmiła oschle. – Nie mogę powiedzieć nic więcej. To informacje służbowe.

– Proszę nie traktować mnie przez pryzmat ostatniego spotkania. – Mond zdobył się na uśmiech. – Byłem wtedy w ferworze sprzątnania.

– Pańska pracownica również?

– Formalnie rzecz biorąc, to moja szefowa.

Bielska upiła kolejny łyk kawy i zerknęła na niego spode łba.

– Szefowa? Rzeczywiście rządziła się jak generał w strefie działań wojennych.

– Pracę traktuje wyjątkowo poważnie.

– Przynajmniej nie uprzątnęliście zniczy ani wieńca złożonego przez naszych wychowanków.

– Jakżebyśmy mogli? Przecież to wyraz szacunku dla zmarłego. – Mond poprawił węzeł krawata i pochylił się w stronę biurka. – Piękny gest. Naprawdę wzruszający.

– Tak pan uważa? Większość ludzi nie rozumie, że można się modlić za Engela.

– Dlaczego?

Bielska spojrzała na niego, jakby był kompletnym idiotą.

– Modlitwa za mordercę kilku osób? Wreszcie dorwano winnego zaginięć z prawie dwóch dekad.

– Niczego mu nie udowodniono – zaprotestował Honoriusz. – Poza tym popełniono kolejne morderstwo.

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć.

Kobieta konspiracyjnie zniżyła głos. Zdawało się, że nawiązała z Mondem nic porozumienia. Westchnęła i z niedowierzaniem pokręciła głową. Nagle uleciała jej władcza poza, a w oczach zaskrzyły się łzy.

– Nie wiem, co za sukinsyn zabił Wiktora. To był wyjątkowo sympatyczny człowiek, bez jakichkolwiek wrogów, chętny do pomocy... Zresztą jak wszyscy w ośrodku.

– Wiktor? Czy przebywał tu na stałe?

– Tak. I podobnie jak większość pensjonariuszy w ostatnich dniach żył śledztwem.

Mond zmarszczył czoło i jeszcze mocniej pochylił się ku biurku. Nagle się wyprostował.

– Panie, świeć nad jego duszą – wyszeptał.

– Amen.

Bielska się przeżegnała, a Honoriusz z poważną miną pokiwał głową.

– Czy pani podopieczni mogli wiedzieć o zaginięciach coś, czego nie wiedział nikt inny?

– Staralam się to ustalić. Milczą jak zakłęci. A po tym, co stało się wczoraj w nocy...

Kobieta urwała i otarła oczy rąbkiem kraciastej chusteczki. Mond ponownie się do niej przybliżył.

– Co dokładnie się wydarzyło? – zapytał, jakby miał choćby ogólne rozeznanie w temacie. Tymczasem wobec braku jakichkolwiek komunikatów policji opierał się jedynie na domysłach. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Opowiadałam już tamtemu sierżantowi. Albo komisarzowi, sama nie wiem.

– Tak, ale... Będę z panią bezgranicznie szczery. Współpracuję z nimi w charakterze tajnego konsultanta. Weryfikuję pracę innych śledczych.

Kłamstwo przeszło mu przez usta nadzwyczaj gładko. Co więcej, wywarło na kobiecie należyte wrażenie. Bielska splotła dłonie i delikatnie się uśmiechnęła.

– Od razu wiedziałam!

– Jest pani nadzwyczaj bystrą kobietą.

– Pracując z głuchoniemymi, człowiek otwiera się na mowę ciała i potrafi wyczytać z niej zaskakujące rzeczy.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Chciałbym jedynie zweryfikować notatkę z akt, a pani może przypomni się coś nowego.

– No nie wiem.

– Wolałbym nie fatygować pani na formalne przesłuchanie.

Kolejne kłamstwo i kolejne właściwe wrażenie. Bielska zastanawiała się tylko chwilę, wreszcie kiwnęła głową, po czym zaczęła mówić:

– Tak jak wspomniałam policjantom, o wszystkim usłyszałam dopiero koło piątej rano. Miałam dyżur w ośrodku i spałam w pokoju socjalnym.

– Proszę mówić po kolei.

– Przecież mówię. Przepraszam, ciągle nie mogę opanować emocji.

Mond uśmiechnął się łagodnie i zmienił pozycję, dając do zrozumienia, że nigdzie się im nie śpieszy. Kobieta przez chwilę zbierała myśli. Wreszcie odezwała się, starając się mówić powoli i składnie.

– Do drzwi pokoju zapukał Albert. Właściwie nie zapukał, tylko dobijał się jak opętany i od razu pomyślałam, że stało się coś złego. Wie pan, Dom Ciszy to nie jest nazwa na wyrost. W każdym razie Albert zaprowadził mnie do pokoju, który dzieli z Bernardem oraz Wiktorem, i... – Kobieta głośno pociągnęła nosem. – Czy nie mówię zbyt chaotycznie?

– Proszę się nie martwić. Wszystko rozumiem.

– Nie robi pan notatek?

Mond pokręcił głową.

– Mam dobrą pamięć, a poza tym nie chcę, żeby po tej rozmowie pozostał jakikolwiek ślad. Działam naprawdę tajnie, rozumie pani?

– Tak, tak. Oczywiście. Żaden ślad.

– Tylko w naszych głowach.

– Pewnie. Tak będzie najrozsądniej.

Kobieta rozochociona poufałością oraz przezornością interlokutora zaczęła mówić coraz szybciej.

– Gdy weszłam do środka, Bernard jeszcze był nieprzytomny. Albert obudził się pierwszy, ale nigdzie nie było Wiktora... Tamci panowie mówili, że do pokoju wpuszczono jakiś gaz. Cud, że ich tylko ogłuszył, ale nie zabił.

Mond powstrzymał uśmiech zadowolenia. Przebieg wydarzeń zgadzał się mniej więcej z tym, czego się spodziewał. Tymczasem Bielska ponownie sięgnęła po chusteczkę i stłumiła szloch. Żałośnie potrząsnęła głową.

– Dlaczego ktoś go zabił? Dlaczego?! To był naprawdę szalenie dobry chłopak. Wszyscy go lubiliśmy!

– Przykro mi. Naprawdę.

– Wierzę panu.

Bielska wyciągnęła dłoń, jakby chciała złapać Honoriusza za rękę, ale nagle się powstrzymała. Odchrząknęła i wróciła do dawnej pozycji.

– A dyrektor zniknął? – Mond udał, że nie dostrzegł tego gestu.

– Nie wiem, czy zniknął. Od wczoraj nie ma z nim żadnego kontaktu.

– Przez cały dzień?

– Właściwie po raz ostatni widziałam go dwa dni temu na kolacji w ośrodku. Zachowywał się nieco nieswojo, ale...

Mond złożył ręce na piersi i spojrzał prosto w oczy Bielskiej.

– Niech pani mi o nim opowie. A potem porozmawiamy z Albertem oraz Bernardem, dobrze?

Kobieta energicznie skinęła głową. Najwyraźniej pragnęła się z kimś podzielić ostatnimi przemyśleniami.





Dyrektor Paweł Krasowski pełnił funkcję szefa Domu Ciszy od pięciu lat. Poza Bielską oraz Engelem był jednym z trzech członków zarządu fundacji. Z wykształcenia muzyk, znał Engela od ponad dwóch dekad, a plotka niosła, że niegdyś występowali na krakowskich scenach w duecie. Jaki to był duet, nikt nie wiedział.

W każdym razie w czasie, gdy Engel został pozbawiony opieki nad dzieckiem, na barki Krasowskiego spadł ciężar zbierania funduszy na utrzymanie Domu Ciszy. Było to zadanie niełatwe, ale jako człowiek dość przedsiębiorczy i mający sporo kontaktów umiał związać koniec z końcem. Jednocześnie tajemnicę poliszynela stanowiło, że ciągnęły się za nim jakieś niechlubne historie. Jedni mówili, że był uwikłany w skandal pedofilski związany z przyjacielem, inni, że zdefraudował znaczną kwotę, kolejni uważali go za hochsztaplera. Krasowski bez dwóch zdań miał jednak dar zjednywania sobie ludzi i szybko wrósł w społeczność Bobolina. A że nikomu nie wadził, a nawet był znacznie bardziej towarzyski niż Engel, lubiano go i ceniono. Mieszkańcy wsi swego czasu byli głównymi darczyńcami ośrodka, co samo w sobie zakrawało na rzecz niezwykłą.

Bielska nie wiedziała nic więcej. Wszystko zdradziła wyjątkowo poufałym tonem w przyływie bliskości, jaką poczuła do Monda. Ten uśmiechał się do niej, starał się mówić jak najłagodniejszym głosem i w ogóle robił wszystko, aby ukryć pokrywającą go skorupę mizantropii. Gdy zdawało się, że nie dowie się już niczego nowego, uprzejmie podziękował i podniósł się ze skrzypiącego krzesła. Poprosił o możliwość rozmowy z Albertem oraz Bernardem, na co kobieta ochno przystała. Zadeklarowała, że będzie robić za tłumacza języka migowego.

– Swoją drogą, czy słyszała pani o muzykach śmierci? – zagadnął, gdy znaleźli się na korytarzu.

– O muzykach śmierci? A kto to?

Honoriusz niedbale machnął ręką.

– Nieważne. Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy.

Milcząco, przeszli krętymi korytarzami ośrodka do bocznego skrzydła. Zgodnie z tablicami informacyjnymi po drodze minęli salę gier, stołówkę oraz kilka auli i ambulatorium. Wreszcie znaleźli się w części, w której mieszkali podopieczni. Korytarz na prawo wiódł ku „pokojom kobiecym”, na lewo ku „pokojom męskim”.

– Łącznie mamy trzynaścioro stałych lokatorów. – Bielska cicho zakłęła i poprawiła się. – Od wczoraj dwanaścioro. Pan Engel zajmował się pracą z chłopcami oraz mężczyznami. Ja sprawuję nadzór nad częścią damską.

– Czy kiedykolwiek zdarzyło się tu coś...

Mond szukał właściwego słowa.

– Makabrycznego? – zagadnęła kobieta. – Chodzi panu o przestępstwo lub choćby coś niegodziwego?

– Ubrała to pani w doskonałe słowa.

– I w doskonałych słowach odpowiadam panu po trzykroć „nie”. Mamy naprawdę zżytą grupę, która właściwie wzajemnie odnosi się do siebie jak do członków rodziny. To tu.

Zatrzymali się przed otwartą salą, w której znajdowało się kilka ławek, stołów oraz tablic interaktywnych. Na ścianie wisiał wielki ekran z filmem tłumaczonym językiem migowym. W sali znajdowały się dwie młode kobiety, które siedziały otulone kocem. Kilka metrów od nich w rozproszeniu ulokowało się czterech mężczyzn. Wśród nich był Bernard.

– Reszta jest w pokojach – wyjaśniła Bielska. – Mało kto ma dziś humor na rozrywki świetlicowe.

– To całkowicie zrozumiałe.

– Czasem mam wrażenie, że mówi pan jak ksiądz z naszej parafii. Szczególnie w trakcie pogrzebów. Używa pan podobnego tonu oraz słów.

Mond nie uznał tego wyznania za komplement. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek komentarza i po chwili razem z Bielską usiedli przy stoliku Bernarda. Mężczyzna był wyraźnie przybity, miał przekrwione oczy oraz pusty wzrok.

– Albert jest w pokoju i wymiotuje. – Bielska przetłumaczyła jego odpowiedź na pytanie Monda. – To skutek zatrucia gazem, choć lekarze zapewniali, że niebawem minie.

– A on? Jak się czuje?

– Twierdzi, że już znacznie lepiej. Upadając, potłukł jedynie ramię oraz dłoń.

Bernard pokazał sińca na nadgarstku, dając do zrozumienia, że miganie sprawia mu ból. Mimo to przekazał jakiś komunikat Bielskiej. Kobieta niemal symultanicznie tłumaczyła go Mondowi.

– Bernard prosi przekazać, że razem z Albertem chcą pomóc złapać drania, który im to zrobił. A przede wszystkim drania, który skrzywdził Wiktora i wcześniej pana Engela.

– Czy oni nie wierzą w jego winę?

– Nie obchodzi ich to. Szanują dobroć, którą okazywał im przez te wszystkie lata.

– Proszę zapytać go, czy nic nie pamięta z nocy, gdy zostali zatruci.

Nim Bielska zdążyła się poruszyć, Bernard przecząco pokręcił głową. Przykładając do policzka złożone dłonie, dał Honoriuszowi do zrozumienia, że wtedy spał. Następnie bezradnie rozłożył ręce. W jego oczach skrzyła się złość. Nagle zaczął szybko migać.

– Proszę tłumaczyć. – Mond zwrócił się do Bielskiej, widząc, że kobieta zastygła w konsternacji.

– Bernard mówi, że kiedy tylko wyjdzie na jaw, kto skrzywdził Wiktora, razem z Albertem dorwą tę osobę i ją zabiją. I zabiją każdego, kto stanie im na drodze. – Bielska westchnęła. – On oczywiście przesadza, wszyscy nasi podopieczni to spokojni ludzie, ale...

Kobieta przerwała. Mond zdał sobie sprawę, że wszyscy pozostali zgromadzeni w sali pensjonariusze przypatrywali się ich rozmowie. W tym momencie wstali z miejsc i zaczęli głośno klaskać. Wyrażali pełne poparcie dla słów Bernarda. Tymczasem mężczyzna coś dalej pokazywał, lecz Bielska przestała tłumaczyć.

– Lepiej, żeby pan poszedł – odezwała się nagle. – Nie powinniśmy ich denerwować.

– Ale...

– Nalegam, panie Honoriuszu.

Mond mógł jedynie się domyślać słów Bernarda, jednak jego przekaz wywoływał coraz większe podniecenie u reszty pensjonariuszy. Widział, jak co chwilę wrogo na niego łypią. Zapewne dla nich również był „tym obcym”. Do tego tym obcym, który w podejrzany sposób odkrył ciała zamordowanych oraz bez powodu pałętał się po okolicy.

Bernard wstał od stolika i przeciągnął palcami po ustach, jakby je zaszywał. Nie zamierzał powiedzieć mu już niczego więcej. Oklaski pozostałych podopiecznych Domu Ciszy stały się jeszcze głośniejsze. Mimo to Mond skinął głową w podziękowaniu za spotkanie i skierował się do drzwi. Nałożył na głowę kapelusz.

– Pozwoli pan, że go nie odprowadzę – rzuciła Bielska.



Po wyjściu z Domu Ciszy Mond skierował się prosto do jaguara. Myśli kotłowały mu się w głowie, lecz nie potrafił wyciągnąć żadnego konkretnego wniosku. Miał nadzieję uzyskać więcej informacji. Przed wszystkim liczył na coś, co naprowadzi go na trop dyrektora oraz przeszłości, którą mężczyzna dzielił z Engelem.

Nieco rozczarowany postanowił zostawić auto na parkingu ośrodka i ruszył w stronę głównej ulicy Bobolina. Pochylił się, sunąc na przekór dojmującemu lodowatemu wiatrowi. Mimo to nie zapiął płaszcza, którego rozwiane poły upodabniały go do wysokiego, upiornego stracha na wróble. Wrażeniu temu przeczyły jedynie elegancka kamizelka, spod której wystawała śnieżnobiała koszula oraz szlachetnie spleciony węzeł czarnego krawata.

Dom Ciszy od bobolińskiej knajpy dzielił mniej niż kwadrans drogi. Ku zadowoleniu Honoriusza lokal był otwarty, a w środku unosił się przyjemny zapach kawy. Na szczęście nigdzie w pobliżu nie było widać żadnego z pijaczków. Mond był skłonny podejrzewać, że Tuchin wraz ze swoją bandą był już w ośrodku, by dowiedzieć się, o co w nim rozpytywał. W tak małych miejscowościach wszelkie wiadomości rozchodziły się w tempie błyskawicy.

– Poproszę kawę – rzucił do zaspanego, mocno wczorajszego barmana. – Espresso.

– Ekspreso?

Mond skinął głową, nie zwracając uwagi na błędną wymowę mężczyzny. Ten jednak jedynie się uśmiechnął.

– Będzie pan musiał poszukać w innym lokalu.

– Przecież macie ekspres.

– Ale nie jest włączony.

Honoriusz wyraźnie widział, że na wyświetlaczu widnieje prawidłowa godzina, a zbiornik z mlekiem jest pełen. Kątem oka zerknął na grubasa siedzącego przy oknie z kubkiem parującej kawy. Musiał to być kierowca ciężarówki, która stała zaparkowana w pobliskiej zatoczce autobusowej.

– Może być jakakolwiek inna kawa – bąknął. – Nawet rozpuszczalna.

– Niestety właśnie się skończyła.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że barman zezuje w stronę parkingu. Odwrócił się i powiódł za jego spojrzeniem. Przy hałdzie żwiru dostrzegł Tuchina oraz jego dwóch ziomków. Cała trójka bez wątpienia czekała na niego, pokazując coś w stronę wejścia do knajpy.

– Rozumiem, że obawia się pan, aby moje serce przypadkiem nie stanęło, zanim spotkam się z tamtymi dżentelmenami. – Mond uśmiechnął się ponuro i sięgnął do kieszeni płaszczu. – W takim razie może macie sok pomarańczowy? Lubię świeżo wyciskany z czerwonych pomarańczy tokańskich.

Barman nie odpowiedział, a Honoriusz, wciąż trzymając dłoń w kieszeni, skierował się do wyjścia. Pijaczkowie natychmiast ruszyli w jego stronę, lecz Mond nie zwolnił kroku. Maszerował dziarsko naprzeciw nim, poruszając nieznacznie dłonią.

– Ty frajerze – wycedził Tuchin. – Jak śmiałeś tu znowu przyjechać? A może Laseczkowa już rozkłada przed tobą nogi?

Były nauczyciel uniósł scyzoryk i ostentacyjnie otworzył jego najdłuższe ostrze. Mond wyprostował się, po czym delikatnie uniósł dłoń tak, że z kieszeni wystawał jedynie jego nadgarstek.

– Ten sukinsyn ma broń – wycedził pijaczek z czerwonymi policzkami i niemal białym nosem. – Daj mu spokój.

– Owszem, ale wolałbym uniknąć strzelaniny pod sklepem – odparował Honoriusz. – Poza tym żwir może rykoszetować. Nie chcę zginać od postrzału, w wyniku sepsy drażącej moje wnętrzności i zatruwającej kolejne organy.

– Co on plecie? – Tuchin zmrużył oczy. – Co on, do kurwy nędzy, do mnie nawija?

– Mówię, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Mond wstrzymał powietrze i wolnym krokiem przeparadował ledwie metr przed pijaczkami. Następnie skierował się za róg sklepu, po czym przyśpieszył. Odwracając się za siebie, niemal biegł. Z ulgą zdał sobie sprawę, że nikt go nie ściga. Być może dostał właśnie ostateczne ostrzeżenie.

Wyciągnął dłoń z wyprostowanymi kciukiem oraz palcem wskazującym i zagiętą resztą palców. Zerknął na ten prowizoryczny pistolet, po czym ciężko odetchnął. W tym samym momencie rozległ się dzwonek jego telefonu. Aby wyjąć go z kieszeni spodni, z nerwów niemal zaplątał się w połę płaszcz. Wreszcie zerknął na ekran i natychmiast odebrał.

– Allegra?

Szmit cicho westchnęła.

– Po pierwsze, przepraszam za wczoraj – odezwała się na wstępie.

– Możemy przejść do punktu drugiego.

– Honoriusz, ja mówię poważnie. Nie powinnam była tykać tego alkoholu, ale to żadne usprawiedliwienie.

– Czynny żal za grzechy stanowi wystarczające zadośćuczynienie. – Mond chrząknął. – Poza tym uznajmy, że ja też niewiele pamiętam z wczorajszego wieczoru.

– Nie byłeś pijany.

– Nadal postuluję, abyśmy przeszli do punktu drugiego. I owszem, absynt to nie ambrozja.

– Słowo daję, że nawet ayahuasca tak mnie nie sponiewierała. Tyle że po niej przynajmniej doznałam pięknych, mistycznych wizji.

– Naprawdę piłaś ayahuascę?

Allegra odchrząknęła. Miała szorstki głos i Mond odniósł wrażenie, że co chwilę słyszy, jakby coś przełykała. Zapewne popijała właśnie chichę lub inne cholerstwo, które miało postawić ją na nogi.

– Gdzie jesteś? Nie mów mi tylko, że...

– Tak, jestem w Bobolinie. To znaczy właśnie się z niego ewakuuję. Zdaje się, że spokojna nagonka zamieniła się w krwiożerczą obławę.

– Dowiedziałeś się czegoś?

Mond zaczął pokrótce streszczać przebieg swojej wizyty w Domu Ciszy, a Allegra, nie przerywając mu, słuchała. Co chwilę jedynie głośno coś przełykała. W końcu Honoriusz przyłożył telefon między policzek oraz ramię i otworzył jaguara. Wszedł do środka, po czym natychmiast uruchomił silnik. Zerknął w stronę budynku placówki dla głuchoniemych i w tym samym momencie odniósł wrażenie, że firanka w jednym z okien została zaciągnięta.

– Dyrektor ośrodka zaginał – odezwał się, gdy telefon połączył się z nagłośnieniem auta.

Z głośników dobyło się jeszcze głośniejsze niż dotąd siorbnięcie, po czym Allegra mlasnęła.

– Wiem – rzuciła krótko.

Mond wreszcie oderwał wzrok od podejrzanego okna i powoli ruszył ku bramie niewielkiego parkingu. Zwrócił uwagę, że stoi na nim ledwie jedno, stare auto. Tak jakby pensjonariusze ośrodka zostali całkowicie porzuceni i nikt ich nie odwiedzał. Jakby w środku nie przebywał nikt z personelu.

– Niby skąd to wiesz? Czyżby Berg wreszcie zorganizował konferencję prasową?

– Na to chyba nie mamy co liczyć.

– Więc? Dzięki swoim naparom zaczęłaś czytać mi w myślach? Śledzisz mnie za pomocą telepatii?

Allegra zachichotała.

– Jeszcze nie – odezwała się po chwili. – Krasowski przesłał krótkie oświadczenie dla mediów. Sprawa się gmatwa, Honoriuszu. To już więcej niż kompletny chaos. To dziewiąty krąg piekła i Tartar w jednym.





Krótko mówiąc, oświadczenie Pawła Krasowskiego sprowadzało się do tego, że dyrektor Domu Ciszy poczuwa się do winy i rozumie, że łąda moment może stać się przedmiotem śledztwa, więc wyjeżdża zregenerować siły. Nie wytłumaczył, do jakiej winy się poczuwa ani dlaczego miałby stać się owym przedmiotem śledztwa. Notka została przesłana e-mailem do redakcji kilku gazet, Wydarzeń Polsatu, RMF FM oraz kilku mniejszych rozgłośni. Nawet jeżeli początkowo brano ją za wyssaną z palca, pod wpływem publikacji przez innych nadawców oświadczenie nabrało impetu kuli śnieżnej i przewinęło się przez wszystkie możliwe media.

– Ale to nie koniec – rezolutnie obwieściła Allegra. – Słuchaj najlepszego.

Mond wszedł jej w zdanie.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś dotarł do podejrzanych wątków z przeszłości dyrektora.

– Już to wiesz? – Szmit była wyraźnie rozczarowana. – Masz przynajmniej konkrety?

– Nie bardzo. Trudniej je wyciągnąć z okolicznych mieszkańców niż mięso z trupa.

– Fúj.

– Słucham?

– Nie musisz być aż tak obrazowy.

– Mój ojciec zawsze używał słowa „nieboszczyk”. Ewentualnie „pan nieboszczyk” i „pani nieboszczykowa”, wiązała się z tym jakaś głębsza filozofia, ale nigdy jej nie poznałem.

Allegra głośno coś przełknęła.

– Przepraszam... A co do nieboszczyka, Słowianie używali słowa „niebożec”, które oznaczało kogoś nieszczęśliwego z tego prostego powodu, że umarł.

– Dobrze wiedzieć. – Mond z piskiem opon ruszył spod świateł. – Ja tam nie widzę w tym żadnego powodu do nieszczęśliwości. Wręcz przeciwnie.

– Umarli nie mają problemów, co?

– Przysparzają ich żywym. Szczególnie jeśli ktoś ich przystraja w ubrania imitujące muzyków śmierci albo podrzyna im gardła.

– Ciekawa interpretacja życia pozagrobowego.

– Życie pozagrobowe istnieje do chwili, gdy się trafi do grobu. To wszystko.

Allegra głośno westchnęła.

– Powinam sobie lepiej dobrać współpracowników. – Na chwilę zamilkła i w tle dał się słyszeć syk odkręcanego gazowanego napoju albo otwieranej puszki. – To twoje gadanie jest strasznie przygnębiające i wpływa na mnie deprymująco. A przynajmniej na moją żarliwość religijną.

– Sądzę, że to absynt pozbawił cię chęci na poranną medytację. Swoją drogą, wizualizujesz sobie wtedy Wisznu czy Zaratustrę?

– Nie bluźnij.

Mond z zadowoleniem zabębnił palcami o kierownicę i znacznie zwolnił. Po prawej mijał kopiec Kraka, który odcinał się stożkową bryłą od szarego ciężkiego nieba.

– Mogę za kilka minut do ciebie zajechać – odezwał się obojętnym tonem. – Jeśli chcesz, wpadnę z jakąś namiastką chichy albo innego stawiającego na nogi cholerstwa. Chyba że polecisz mi jakiś sklep zielarski w pobliżu.

W głośnikach zaległa cisza. Niemal wybijały ponad nią paniczne myśli Szmit albo Honoriusz przesadnie sobie je wyobrażał. Po kilkunastu sekundach Allegra wymownie sapnęła.

– Nie, dzięki. – Brzmiała wyjątkowo nieprzekonująco, ale najwidoczniej podjęła decyzję. – Muszę się sama pozbierać. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak... Zdecydowanie potrzebuję kilku godzin spokoju.

– W takim razie do usłyszenia za kilka godzin. Odpoczywaj.

– Czekaaj!

Mond jednak zlekceważył ostatnie wezwanie i nacisnął przycisk rozłączenia połączenia. Rzucił jeszcze wzrokiem w stronę zjazdówki, wreszcie zjechał na lewy pas i gwałtownie zawrócił.

Niecały kwadrans później ponownie znalazł się na obrzeżach Bobolina. Tym razem jednak nie skierował się w stronę wsi, lecz zdając się na GPS, podążał ku cmentarzowi. W momencie gdy zegar w kokpicie wskazał dokładnie dziesiątą, dostrzegł pochylony kamienny mur oraz rząd nagrobków za zardzewiałym ogrodzeniem. Była to mała wiejska nekropolia położona na wzniesieniu na granicy lasu. W pobliżu nie było nikogo, a niewielki parking był całkowicie pusty.

Mond wysiadł z jaguara i co niezwykle, zapiął guziki płaszcza. Przez chwilę przypatrywał się otoczeniu, nie do końca przekonany, czy trafił we właściwe miejsce. Zdjęcia z akt nie były wystarczająco dokładne. Właściwie nie obejmowały perspektywy szerszej niż kilkunastu metrów od nagrobka Engela. Poprawił kapelusz i ruszył przed siebie.

Gdy tylko przekroczył dwuskrzydłową bramę cmentarną, od razu rozpoznał zarys kaplicy. Na fotografiach przewijała się w tle, kilkanaście metrów od miejsca odnalezienia ostatnich zwłok. Dopasowanie odpowiedniej panoramy zajęło mu ledwie kilka minut. Ostatecznie właściwy wybór miejsca potwierdziła policyjna taśma rozciągnięta obok jednego ze świeżych nagrobków.

Honoriusz powoli zbliżył się w jego stronę. Szedł, bacznie patrząc pod nogi i starając się wybrać trasę, jaką wybrałby, wlokąc ze sobą ciało. W kilku miejscach dostrzegał płytkie koleiny, które mogły być wyżłobione przez stopy bezwładnego człowieka. Przykłękał, przypatrywał się im i na powrót maszerował ku grobowcowi. W międzyczasie łypał na pochylone, kute w żelazie krzyże oraz pojedyncze kamienne figury. Sztuka funeralna, nawet ta w wiejskim wykonaniu, zawsze go pociągała. Intrygująca była koncepcja artystycznego hołdu składanego zmarłym oraz wieczności. Koncepcja, która od dekad odchodziła w niepamięć, zastępowana przemysłową sztaampą pozbawioną jakiegokolwiek ducha.

Mond bez wahania zlekceważył policyjne zabezpieczenie i przeszedł pod taśmą. Na pierwszy rzut oka widać było, jak wielu ludzi krzątało się w okolicy przed kilkunastoma godzinami. Ziemia była ubita, uschnięta po zimie trawa wydeptana, a kilka niedopałków papierosów świadczyło jak najgorzej o skrupulatności przybyłych. Choć te mogły zostać porzucone zarówno przez kryminalistów, policjantów, jak i grabarzy.

Od razu dostrzegł miejsce, w którym leżało ciało. Zwrócone twarzą w dół, z nieco podkulonymi nogami i szeroko rozłożonymi rękoma. Mond niczym kalkę nałożył zapamiętany obraz na rzeczywistość. Robił to dziesiątki razy w życiu.

Klęknął i uważnie przypatrywał się ziemi. Była zbyt wczesna pora roku, by leżące kilkanaście godzin na dworze zwłoki wzbudziły zainteresowanie czerwi. Mimo to na fotografiach wyraźnie dostrzegł, że w kilku miejscach ciało naruszyły drobne zwierzęta. Być może szczury lub cmentarne koty. O ich łakomej ingerencji w raporcie wspominał również doktor Pudwel. Jak zwykle ucierpiały przede wszystkim łydki i przedramiona denata. Nic dziwnego, tym bardziej że dostępu do reszty strzegł gardecorps.

Na szarooliwkowej trawie Mond dostrzegł ślady żółtawych przebarwień. Ciało, tracąc ciepło, oddawało je ziemi, co doprowadzało do specyficznej przyspieszonej reakcji gnilnej. Jej uproszczoną namiastkę spotyka się często pod stertą liści zgrabionych w ogrodzie, które już po kilku godzinach potrafią przebarwić trawnik. Prawa dotyczące zjawisk chemiczno-fizycznych były uniwersalne. Z punktu widzenia materii człowiek niewiele różnił się od rośliny, i to nie tylko z perspektywy złożoności genotypu.

Mond powoli się podniósł. Grób Engela przykryty był betonowymi płytami, a do drewnianego krzyża przybito metalową tabliczkę z imieniem oraz nazwiskiem zmarłego. Nie dodano nawet daty urodzin ani przypuszczalnej daty zgonu. Przynajmniej miał krzyż, co już samo w sobie stanowiło pewne odstępstwo od rygorystycznej katolickiej doktryny nakazującej potępiać śmiertelnych grzeszników. Krzyż oraz miejsce na cmentarzu to było naprawdę wiele.

Honoriusz włożył do ust srebrną cygarniczkę i przytrzymał ją zębami. W odległości mniej więcej metra od grobu dostrzegł czerwony znicz.

Schylił się, by zerknąć do środka. Tak jak się spodziewał, pełgał w nim dogasający płomień. Nie sądził, by postawił go ktoś przez pomyłkę, gdyż w promieniu kilku dobrych metrów wszystkie groby zdawały się opuszczone. Nie było na nich żadnych śladów czyjejkolwiek obecności. Osłonił płomień dłonią i odpalił od niego montecristo.

Przypomniały mu się słowa Allegry. „Skromna pozostałość stosów pogrzebowych. Namiastka ofiary całopalnej składanej ze zwłok”. O tak, pensjonariusze Domu Ciszy mogli pojawić się również tutaj, aby rozjaśnić zmarłemu wieczne ciemności.

Nagle pewna myśl skłoniła Monda, by ponownie przykucnąć. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się lekko pożółkłej trawie i powiódł wzrokiem dokoła. Zmarszczył czoło. Coś mu się nie zgadzało. Z jednej strony domyślał się co, ale z drugiej nie potrafił właściwie sformułować swoich wątpliwości. Zawsze powtarzał, że precyzyjne stawianie pytań jest najważniejsze, by uzyskać prawidłową odpowiedź.

W momencie gdy wydało mu się, że jest na właściwym tropie, ciszę przerwał dzwonek jego telefonu. Z grymasem niezadowolenia wyciągnął go z kieszeni i odebrał.

– Zajęło mi to dokładnie trzydzieści cztery tysiące dwieście piętnaście sekund – odezwał się głęboki kobiecy głos. – Pracowałam ze stoperem w ręce.

Mond natychmiast się wyprostował. Mocniej przytknął komórkę do ucha i przeszedł nad policyjną taśmą.

– Udało ci się?

– Oczywiście. Ustaliłam nawet więcej, niż chciałeś, kuzynku.



Wyciągi logowań do BTS-ów, współrzędne telekomunikacyjne, nawigacja satelitarna, te pojęcia były Mondowi znane, ale jednocześnie niewiele z nich rozumiał. Nigdy nie było mu to do niczego potrzebne. Wystarczyło zapamiętać, że standardowe namierzenie miejsca wykonania połączenia ogranicza się do pola okręgu o średnicy dwóch i pół metra. Oczywiście istniały odstępstwa. Amerykanie ponoć dysponowali technologią pozwalającą zlokalizować sygnał z dokładnością do dziesiątych części milimetra. Używali jej między innymi przy namierzaniu celów rakietowych, ale w sprawach cywilnych stosowano ją sporadycznie. Chińczycy natomiast korzystali z całkowicie innych patentów, opartych częściowo na sygnałach satelitarnych, a częściowo na impulsach ich nadajników naziemnych. Ponoć technologie 5G oraz 6G miały na celu między innymi dokładniejsze namierzanie użytkowników sieci, telefonów komórkowych i im podobnych sprzętów. To była jednak wiedza przede wszystkim teoretyczna.

W praktyce Mond miał zagwozdkę, w jaki sposób nanieść współrzędne GPS na rzeczywistość. Z pomocą przyszła nawigacja jaguara, gdzie była opcja wpisania konkretnych namiarów bez podawania nazwy miejscowości lub innego punktu docelowego. To stanowiło pierwszy sukces. Jak się szybko okazało, tym bardziej znaczący, że nocny telefon wykonano do niego z kompletnej głuszy pośrodku lasu oddalonego od Krakowa o prawie czterdzieści kilometrów. Z pewnością nie istniał konkretny adres tego miejsca. Być może nazwanie go piekłem było całkiem uzasadnione.

– Użyłam mapy satelitarnej, żeby obejrzeć tę okolicę – perorowała kobieta po drugiej stronie linii.

Tymczasem Mond już na pełnym gazie zmierzał w stronę wyszukanego miejsca. Dzielił uwagę między prowadzenie a porządkowanie kolejnych informacji przedstawianych przez kuzynkę.

- Jesteś tam, mimozo?
  - Nie mów tak do mnie.
  - Dobrze, wrażliwcze. Słyszę, jak bardzo przyśpieszył ci oddech, pewnie ręce ślizgają ci się od potu, a serce masz w gardle.
  - Nie wszyscy w naszej rodzinie są aż tak kompletnie pozbawieni emocji jak ty. – Mond parsknął. – Wiesz, że to musi być jakaś choroba?
  - Będiesz mógł ją zdiagnozować po mojej śmierci. Pamiętaj, że pozwoliłam ci babrać się w moim trupie, ile tylko zapragniesz.
  - W świetle polskiego prawa...
  - Po śmierci będę miała w dupie polskie prawo – fuknęła kobieta. – Będę chciała się do czegoś przydać, a poza tym wiem, że nikt nie zrobi mi takiego makijażu jak ty.
  - Wiesz, że się tym nie zajmuję.
- Honoriusz zerknął na nawigację. Na całe szczęście od strony Bobolina dojazd do wskazanego punktu był szybszy, niż gdyby miał wybierać się z Krakowa. Poza tym nie tracił czasu na stanie w korkach oraz kluczenie, by wyjechać na ekspresówkę. Droga, którą jechał, może nie była najszybsza, ale w zasięgu wzroku nie widział innych pojazdów.
- Możemy wrócić do rzeczy? – odezwał się po chwili ciszy. – Mówiłaś o oglądaniu okolicy z satelity czy o czymś takim.
  - Otóż to. Przy okazji z serwera rządowego przybliżyłam ją niemal jak wojskowy dron.
  - I?
  - Wtedy dokonałam pierwszego istotnego odkrycia.
  - Cholera, czy liczysz na to, że zacznę płakać z emocji? Albo walić jak dziecko pięściami w kierownicę?
- Rozmówczyni Monda wypuściła powietrze w słuchawkę.
- Marzyłabym o tym, ale jeszcze bardziej chciałabym, żebyś po prostu szczerze się zaśmiał. To ci się zdarzało, Honoriuszu.
  - Może kiedyś.
  - Ale jednak. A to już coś.
  - Teraz wszyscy jesteśmy żywymi trupami.

– Czyżby? – Kobieta westchnęła, lecz jakby dla zatarcia wrażenia natychmiast zmieniła temat. – Tam jest niewielki dom letniskowy. Najpierw myślałam, że to leśniczówka, lecz zadzwoniłam do kogoś, kto siedzi w gruntach oraz nieruchomościach. Wiesz, księgi wieczyste, katastry i te sprawy.

– Czego się dowiedziałaś?

– To dacza niejakiego Pawła Krasowskiego. Mówi ci coś to nazwisko?

Mond się skrzywił. Mocniej chwycił kierownicę i wcisnął gaz do dechy. Pięciolitrowy silnik zabulgotał, gładko wyrywając do przodu.

– Aż zbyt wiele – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Aż zbyt wiele.





Mond czuł się jak narkoman, który po zerwaniu z nałogiem ponownie trafia w szpony złego towarzystwa. Z jednej strony pragnął całkowicie odciąć się od sprawy i zapomnieć o zwłokach, morderstwach oraz całym związanym z nimi zamieszaniu. Z drugiej jednak nie potrafił się powstrzymać od dążenia do prawdy.

Prawda. To zawsze było dla niego najważniejsze.

Nawet jako szef jedynej w Polsce katedry mortalistyki, jako ów znany w kryminalistycznych kręgach Mortalista, nie zamykał się w gabinecie. Owszem, napisał kilkanaście całkiem niezłych prac naukowych, współpracował przy powstaniu dwóch grubych podręczników oraz paru opracowań, ale prawdziwy sens czuł jedynie, współpracując z policją. Na miejscu zdarzenia, w trakcie bezpośrednich oględzin, a nie dokonywanych wtórnie z lupą nad wydrukiem zdjęcia lub ślepiąc w monitor laptopa.

Dążenie do prawdy stało się jego obsesją. Wiedział, że poświęcał mu zbyt wiele czasu i podporządkował mu całe życie. O północy był gotów zerwać się z łóżka, pojechać sto lub pięćset kilometrów tylko po to, by obejrzeć zwłoki. Każda śmierć stanowiła zagadkę. Często ją przegapiano i Mond był przekonany, że po świecie chodzą tysiące zbrodniarzy, którzy nigdy nie odpowiedzą za swoje winy. Nie miał wątpliwości, że mnóstwo zgonów zakwalifikowanych jako naturalne nie miało z naturalną śmiercią wiele wspólnego. Dlatego wyruszał w drogę, o ile tylko pojawiała się najdrobniejsze podejrzenie przestępstwa. Z czasem wśród jednostek policji poniosła się wieść o jego gotowości do działania. Wtedy wpadł w wir pracy, który zassał go tak głęboko, że z wielu miesięcy życia miał jedynie sporadyczne przebłyski.

W trakcie kariery spotkało go kilka niebezpiecznych sytuacji, lecz ledwie trzy czy cztery z nich stanowiły bezpośrednie zagrożenie dla jego zdrowia. Zawsze udawało mu się wyjść niemal bez szwanku. Kiedyś, gdy przybył do

opuszczonej fabryki, gdzie odnaleziono ciało uduszonej kobiety, podążył tropem sprawcy. Niczym pies gończy węszył, analizując potencjalną drogę jego ucieczki. Gdy cała grupa śledcza pracowała na dolnym piętrze, wszedł do dawnej maszynowni. Było to puste pomieszczenie, w którym po ważącym setki ton sprzęcie pozostały jedynie ogromne betonowe bloki. Nagle zza jednego z nich wyskoczył naćpany trzydziestokilkuletni osiłek z łomem w ręce. Mimo sporego doświadczenia w kilku sztukach walki Mond solidnie oberwał. Osiłek wiedział, jak używać metalowego pręta. Co gorsza, w bezpośrednim zwarciu dzięki spożytym narkotykom okazał się całkowicie nieczuły na ból. To stanowiło główny problem, aby uzyskać nad nim przewagę. Skończyło się koniecznością jego kompletnego ogłuszenia, za którą Mond zapłacił kilkoma wybitymi palcami, ukruszoną kością nadgarstka oraz rozległymi stłuczeniami. Na szczęście jego próg bólu również był bardzo wysoki.

Tamto doświadczenie niewiele go nauczyło. Choć z natury skłonny do chłodnej kalkulacji, skrajnie analityczny, gnany impulsem, zbyt często działał bez przemyślenia. Prawda. Tylko ona przyciągała go niczym jądro Ziemi każdego, kto pragnie podskoczyć. Nie potrafił wyzwolić się z jej orbity.

Mimo to tym razem wiedział, że powinien do kogoś zadzwonić. Że nie ma prawa ryzykować działania wyłącznie na własną rękę. Zabezpieczenie, choć czysto teoretyczne, mogło się przydać. Choćby po to, by wiedziano, skąd sprowadzić jego ciało.

Ta ostatnia myśl wydała mu się całkiem interesująca. Nie znalazł w niej śladu sarkazmu ani przestrogi. Zresztą specjalne ich nie poszukiwał. Sięgnął ku głównemu wyświetlaczowi i z książki kontaktów wybrał numer.



– Mam nadzieję, że już doszłaś do siebie na tyle, żeby utrzymać w ręce długopis?

– Telefon jest znacznie cięższy, a daję radę.

– Myślałem, że trzymasz go na poduszce obok głowy obłożonej lodem. – Mond cmoknął. – Skoro tak, tym lepiej. Teraz bardzo dokładnie zanotuj adres, który ci podyktuję.

Kiedy podał kolejne współrzędne, Szmit nerwowo sapnęła.

– Co to? Namiary na Hades?

– Bardzo prawdopodobne.

– A poważnie?

– Mieści się tam dom letniskowy dyrektora Krasowskiego. I stamtąd dostałem wczoraj dość dziwny telefon.

– Co takiego? Co znaczy „dziwny telefon” i dlaczego mi o nim nie powiedziałaś?

Mond zerknął na nawigację i zwolnił. Po chwili skręcił w boczną drogę wiodącą w stronę lasu.

– Nie mówię ci również o tym, jak porankami zmieniam pampersy.

– Przy zmianie pampersów nie...

Głos Szmit rozwiął się w szumie zakłóceń.

– Halo? – Honoriusz nachylił się w stronę głośnika. – Jeśli mnie jeszcze słyszysz, niebawem dotrę na miejsce. Może Krasowski właśnie gra sam ze sobą w bingo, ale obawiam się, że...

Urwał, widząc, że połączenie zostało zerwane. Nie mógł zrobić nic więcej. Jakakolwiek zwłoka nie wchodziła w rachubę. Natomiast powiadomienie Berga mogło zostać uznane za marnotrawienie czasu policji i mieszanie się w śledztwo. Przynajmniej Mond miał przeczucie, że tak właśnie by się stało.

Nawigacja pokazywała, że od celu dzieli go raptem pięćset pięćdziesiąt metrów. Luksusowy jaguar zadziwiająco dobrze radził sobie na nierównej drodze. Po obu jej stronach ciągnął się gęsty las mieszany. Miejsce wydawało się idealne, by odciąć się od świata oraz oddać samotności. Albo aby usiłować się ukryć.

To ostatnie podejrzenie najbardziej niepokoiło Honoriusza. Gdy zatrzymał auto na skraju polany, przez chwilę zastanawiał się, czy w środku znajduje się cokolwiek, co mogłoby służyć za broń. Niestety nie woził ani łyżki do zmiany opon, ani lewarka. Proszki na szczury i insekty raczej nie stanowiły skutecznej pomocy przy ewentualnej konfrontacji.

Zerknął na leżącą na ziemi gałąź i bez przekonania ją podniósł. Zmurszałe drewno rozpadło się na dwa kawałki.

– Cholera.

Nie tracąc czasu, postanowił obejść polanę wzdłuż linii drzew. W głębi dostrzegł niewielką chatę z bali z gontowym dachem oraz pomalowanymi na czerwono okiennicami. Od wschodu te były zamknięte, więc zdecydował podejść do budynku właśnie z tamtej strony. Co kilkanaście kroków zatrzymywał się, nasłuchując, lecz nie dobiegł go żaden podejrzany dźwięk. Wydawało się, że w pobliżu nie ma żywej duszy. Gdzieś w oddali żałośnie śpiewały ptaki.

Znajdował się już mniej niż pięćdziesiąt metrów od chaty. Musiał wyjść zza linii drzew i przeciąć nieogrodzone podwórze. Był to zaniedbany teren z opróżnionym plastikowym basenem, kilkoma stojącymi to tu, to tam glinianymi donicami oraz wbitym w ziemię rozpadającym się strachem na wróble. Zrobioną ze szmat kukłę trącały porywy tłumionego przez drzewa wiatru. Okolica sprawiała upiorne wrażenie. Aż dziw, że ktokolwiek mieszkał tu, nie obawiając się, że pod nieobecność gospodarzy chata oraz wszelkie sprzęty padną łupem chuliganów. Może znajdowali się zbyt daleko od innych siedzib ludzkich? A może nawet chuligani woleli się tu nie zapuszczać?

Mond pochylił się i jeszcze raz zerknął na stracha na wróble. Rozwiane włosy zrobione z kolorowych tasiemek przypominały włosy wiedźmy. Kukła obróciła się na tycze. W tym samym momencie gdzieś z boku

dobiegł go szelest. Ledwie zdążył się odwrócić, gdy dostrzegł pędzącego na niego wychudzonego czarnego psa. Zmierzwiony owczarek wyszczerzył kły i warknął. Honoriusz zastygł w bezruchu, gotów przyjąć atak na zabezpieczone grubym płaszczem przedramię. Mimo to pies jedynie na niego łypnął, po czym pognał dalej przez podwórze i zniknął w lesie.

Mond z ulgą odsapnął. Cała scena sprawiała wrażenie omamu, lecz nie miał wątpliwości, że owczarek był prawdziwy. Nagle jakby oprzytomniał i pośpiesznie ruszył ku chacie. Poruszał się szybko, ale ostrożnie. Uważał, by nie nadepnąć żadnej spróchniałej gałęzi, choć pędzący pies mógł zwrócić uwagę osób przebywających w środku.

Gdy dopadł do załomu ściany, ponownie zaczął nasłuchiwać. Nic. Cisza. Poza zawodzeniem ptaków oraz skrzypieniem drzew nie dobiegł go żaden dźwięk. Powoli, krok za krokiem, zaczął przemieszczać się tak, że plecami niemal szurał o bale.

Po chwili znalazł się przy jednej z okiennic. Nie miała żadnych ozdobnych wycięć, ale również nie dostrzegł jakiegokolwiek haczyka. Zamykano ją siłą własnego ciężaru. Mond przykucnął i chwycił jedno ze skrzydeł. Otworzył je bardzo powoli, tak by powstała jedynie szparka. Zdawał sobie sprawę, że ze środka jest znacznie lepiej widoczny niż wewnątrz chaty dla niego, lecz nie miał innego wyjścia. Z zaciśniętymi ustami intensywnie mrugał, starając się szybko przyzwyczaić wzrok do zmiany oświetlenia. Powoli z mroku wyłaniały się kolejne kształty. Prosty, zbity z desek regał, kwadratowy stół oraz tandetne krzesła. Wtedy jego spojrzenie przykuło coś znajdującego się w rogu pomieszczenia.

– Cholera... – syknął po raz kolejny tego przedpołudnia.

Natychmiast rzucił się w stronę drzwi.



– Skąd go masz?

Chłopiec nie odpowiedział. Patrzył na matkę szeroko otwartymi oczami i zacisnął usta. Rozpaczliwie pokręcił głową. Splótł dłonie na piersi, po czym głośno pociągnął nosem.

– Powiedz, skąd go wzięłeś.

Kobieta potrząsnęła zegarkiem na skórzanym brązowym pasku. Wyprostowała się i zerknęła na jego cyferblat. Wskazówka sekundowa poruszała się ciągłym ruchem, a mechanizm głośno cykał.

– Tak, widzę, pokazuje złą godzinę – westchnęła. – Ale chcę, żebyś mi powiedział, skąd go masz. Znalazłeś go?

Chłopiec pokręcił głową i zerwał się z kanapy. Niezadowolony, że matka zabrała mu czasomierz, pomaszerował do drugiego pokoju. Z impetem trzasnął drzwiami.

Lasecka westchnęła i zerknęła na stary przedmiot. Przez chwilę się mu przyglądała, wreszcie, nie przykładając do niego większej wagi, odłożyła go na komodę.

– Dzieci – westchnęła. – Ludzka szarańcza.

Nagle się wyprostowała i odwróciła w stronę okna. Miała wrażenie, że jakiś cień przemknął po podwórzu. Podeszła do parapetu, po czym uważnie się rozejrzała. Środkiem ulicy, zataczając się, na rowerze jechał jeden z sąsiadów. Wydawało się jej, że przy budynku naprzeciw mrugnęła jej przygarbiona sylwetka człowieka w niebieskiej kurtce. W takiej samej, jaką tego dnia miał na sobie Igor Tuchin.

– Podglądacz! – wrzasnęła, mimo że okno było zamknięte. – Drań.

Rezolutnie zaciągnęła kraciastą zasłonkę i wróciła do salonu. Delikatnie zapukała do drzwi pokoju syna.

– Kochanie, porozmawiajmy. Mamusia nie jest na ciebie zła.



Mond szarpnął za metalową klamkę, ale ta stawiała opór. Wziął dwa kroki rozpędu i z impetem natarł barkiem na drewniane drzwi. Zawiasy zgrzytnęły, lecz nie ustąpiły. Przynajmniej wiedział, że trzymają słabiej od zamka. Musiały być przerdzewiałe albo poluzowane.

Mimo to kolejne trzy próby spełzły na niczym. Zawiasy jęczały, lecz nie dawały nadziei, że łatwo się poddadzą. Natomiast dechy były zbyt mocne, aby je wybić.

Honoriusz ciężko sapnął i rzucił się do najbliższego okna. Było szczelnie zamknięte. Mógłby usiłować je sforsować, ale naraziłby się na zasypanie ulewą ostrego szkła ze starej szyby. Poza tym pozostałaby dość mocna drewniana rama.

Pobiegł dalej i dostrzegł następne okno zasłonięte okiennicą. Gdy ją pchnął, zobaczył, że jedna połówka jest otwarta niemal na oścież. Podciągnął się na parapet, po czym bez problemu przecisnął się do środka. Znalazł się w obszernej izbie, pachnącej drewnem oraz wilgotną starością. Odslonięte były ledwie dwa okna, przez co w środku panował półmrok. Mimo to Honoriusz od razu wiedział, w którą stronę się zwrócić.

W rogu, przy sporym kominku dostrzegł kształt widziany z dworu. Zarys ludzkiej sylwetki, bezwładnej i przypominającej trącanego wiatrem stracha na wróble. Już nie było potrzeby się śpieszyć. Około sześćdziesięcioletni mężczyzna dyndał na grubym sznurze przerzuconym pod belką stropową. U jego stóp leżało przewrócone krzesło.

Mond zatrzymał się dwa kroki od wisielca. Spojrzał na jego opuszczoną niemal na pierś ogromnie opuchniętą twarz. Miała siwofioletowy kolor, a przez rozchylone wargi wystawała końcówka obrzmiałego języka. Najwyraźniej mężczyzna nie zginął w chwili odtrącenia krzesła, lecz jak większość nieudolnych wisielców dusił się, przez jakiś czas rozpaczliwie walcząc o życie.

Honoriusz spojrział na jego dłonie. Na palcach prawej dostrzegł wybroczyny i fioletowe ślady świadczące o tym, że mężczyzna podciągał się na nich, nim opadł z sił. Musiał trzepotać się niczym ryba wyrzucona na brzeg. Nie miał już na czym się podeprzeć, a pętla trzymała zbyt mocno, by zdołał się z niej wywinąć. Umarł w męczarniach, które przypominały tortury.

Jednocześnie coś nietypowego zwróciło uwagę Monda. Przez chwilę przypatrywał się zwłokom, mrużąc oczy i wydymając wargi, ale nie mógł stwierdzić, co tak naprawdę mu w tym nie gra. Miał przeczucie, że umyka mu jakiś istotny szczegół. Cofnął się, starając się wpuścić więcej światła, jednak w pomieszczeniu było i tak dość ciemno. Nie chciał otwierać okien, aby zbędnie nie skomplikować pracy kryminalistykom. Dlatego wyciągnął telefon i włączył latarkę. W jej świetle zwłoki wydały się poruszać wraz z tym, jak przesuwają się po nich cienie. Obrzęki oraz opuchlizny uwypukliły się znacznie bardziej. Jednak widoczne stało się coś jeszcze.

Dłonie dyrektora nosiły ślady obrażeń, lecz te zdawały się aż nazbyt widoczne. Właśnie to przykuło uwagę Monda. Plamy opadowe wywoływały tak zwany efekt rękawiczek, sprawiając, że dłonie wisielców stawały się niemal czarne. Tymczasem w tym przypadku efekt grawitacji był dostrzegalny, jednak nie tak wyraźny, jak być powinien.

Honoriusz podświadomie stał się czujniejszy. Rozejrzał się po wnętrzu chaty i przez chwilę znów nasłuchiwał. Dobiegał go jedynie świst wiatru w szparze pod drzwiami. Nawet ptaki zamilkły.

Zrobił kilka kroków, by zmienić perspektywę i przyjrzeć się mocowaniu liny. Została owiązana o belkę stropową, a węzeł tonął w mroku. Mond stanął na palcach, lecz to niewiele zmieniło. Niechętnie wszedł na łóżko znajdujące się nieco ponad metr od wisielca. Stojąc na nim, wyciągnął dłoń i oświetlił latarką strop. Nagle wszystko stało się jasne.

Zszedł z łóżka, po czym wyłączył latarkę. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w zwłoki, wreszcie tknięty przeczuciem podszedł do nich. Krasowski był ubrany w bawełniany sweter oraz czarne jeansy. Na stopach miał zabłocone buty, przez co nie można było ocenić, czy pojawiły się na nich „skarpetki” – powstały z plam opadowych odpowiednik „rękawiczek”



wisielca. Mimo to Mond miał coraz mniej wątpliwości co do przebiegu zdarzeń.

Zerknął na kieszeń dyrektora. Wystawał z niej kawałek wsuniętego do środka papieru.

Honoriusz westchnął. Mimo wcześniejszej niechęci komplikowania zadania kryminalistkom naciągnął rękaw płaszcza i sięgnął po rant kartonika. Ostrożnie go wyjął, po czym obrócił w dłoni. Przesunął się, by padło na niego światło zza okna. Natychmiast ponownie wsunął go do kieszeni wisielca i szybkim krokiem skierował się do wyjścia. Odległość dzielącą go od jaguara pokonał biegiem.



Halo, słyszysz mnie?

– Coś przerywa. Boże, co ty (trzaski)... Próbowałam się do ciebie dodzwonić z milion razy. Ale zadzwoniłam też (trzaski)...

Zakłócenia ponownie rozwiały głos Allegry. Mond domyślił się jednak, że po jego ostatnim telefonie zadzwoniła na numer alarmowy lub bezpośrednio do Berga i przekazała podyktowane wcześniej przez niego współrzędne.

– Wszystko dobrze? Jadę do ciebie (trzaski)... Minut... (trzaski)...

– Stój! Spotkajmy się pod hotelem, dobrze?

– Powtórz.

– Spotkajmy się pod Hotelem Francuskim.

– Ale ja już...

– Będę tam za dwadzieścia minut. Nie jedź nigdzie indziej. Usłyszałaś?

– Tak.

– Uważaj na siebie i trzymaj się między ludźmi. Nie odbieraj telefonów. Od nikogo. Nawet od Berga.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi?

– Kiedy się tylko spotkamy. Zaufaj mi.

Mond wyjechał z lasu i z ogromną prędkością pokonał kilkaset metrów po wyboistej bocznej szosie. Wreszcie wypadł na trasę wojewódzką, gdzie mógł wykorzystać pełne możliwości auta. Przez kolejne kilkanaście minut złamał większość przepisów ruchu drogowego. Z wetkniętą w usta srebrną cygarniczką, ściskając kierownicę tak mocno, że aż rozbolały go palce, analizował spostrzeżenia z samotni dyrektora Krasowskiego.

Nagle minął go pędzący z naprzeciwka sznur aut policyjnych oraz wozów strażackich. W pewnej odległości za nimi gnała osamotniona karetka. Szmit musiała mieć siłę przekonywania.

Honoriusz nie był pewien, czy zachował się najlepiej, jak mógł. Rachunek prawdopodobieństwa nie przynosił jednoznacznych odpowiedzi. Działał wiedziony instynktem, który mimo wszystko przesiąknięty był lodowatą kalkulacją. Nigdy nie zdawał się na całkowity przypadek. Przeczucie mogło być tak samo istotnym elementem jak dowód empiryczny. Tym razem to właśnie ono przeważyło szalę.

Lekceważąc znaki informujące o ulicach jednokierunkowych, jadąc pod prąd, byle szybciej do celu, dotarł pod hotel. Rozejrzał się, nigdzie nie widząc Allegrę. Nerwowo zabębnił palcami o kierownicę i westchnął. Niepokój sprawił, że jego serce zabiło jeszcze szybciej. Wtedy dostrzegł drobną postać zbiegającą po schodach kościoła pijarów. Wiatr rozwiewał jej kraciasty szal i kobieta musiała przytrzymywać dłonią czerwony beret. Mógł się tego spodziewać. Czekał na niego, Szmit oddała się kontemplacji.

– Znalazłaś natchnienie? – zapytał, gdy wsiadła do auta.

Dodał gazu i ruszył przed siebie uliczkami rynku. Allegra wbiła w niego zmieszane spojrzenie.

– Chyba to ja powinnam teraz zadawać pytania.

– Tyle że nie mam pojęcia, czy znajdę na nie odpowiedzi.

– Może przynajmniej powiesz mi, dokąd jedziemy?

Mond zacisnął usta i sapnął.

– Nie wiem. Muszę zebrać myśli, a w samochodzie chociaż wiem, że jesteśmy bezpieczni. Tylko tu mogę spokojnie pomyśleć.

– Zgarnąłeś mnie, żeby mieć darmowego słuchacza?

– Raczej po to, aby ktoś cię nie ukrzyżował albo nie dodał cyjanku do twojej chichy.

Allegra zmarszczyła czoło i zdjęła beret. Nabrała głęboko powietrza, po czym poważnie zerknęła na Honoriusza.

– Co ty pleciesz? Jeśli się wygłupiasz, wiesz, że zadzwoniłam pod sto dwanaście, a za wygłupy z tą infolinią można pójść do kicia.

– Bóg nie pozwoliłby na taką sprawiedliwość.

– Ty naprawdę żartujesz?

Mond wreszcie wyjechał na Podwale i włączył się do ruchu. Nie przeszkadzało mu, że znaleźli się w ogromnym korku.

– Krasowski został zamordowany, a jego zwłoki powieszono – oznajmił cierpko. – Starano się upozorować samobójstwo.

– Cholera. Widziałeś to? Jesteś pewny?

– Co najmniej tak bardzo, jak niewierny Tomasz po wetknięciu palca do ran Chrystusa.

– Przestań.

Mond potrząsnął głową i mlasnął. Zatrzymał się na światłach, po czym zerknął na Allegrę. Na jej twarzy dostrzegł mieszankę strachu oraz konsternacji.

– Przepraszam. – Westchnął. – Po prostu nie mam żadnych wątpliwości. Ciało nie miało właściwych plam opadowych, więc jakiś czas przeleżało na ziemi. Mało który trup wstaje, żeby się powiesić, prawda?

– Znowu zaczynasz.

– Stwierdzam fakt. Poza tym zawiązana o belkę lina była przetarta, co się dzieje w wyniku tarcia przy wciąganiu zwłok. Trzeba to zrobić, bo umieszczenie umarłaka bezpośrednio w pętli wymagałoby siły Schwarzeneggera z najlepszych lat. – Mond powoli ruszył i uważnie zerknął w lusterko. – Sekcja to potwierdzi. Nie będzie objawu Simona, czyli wylewów krwawych w tarczach międzykręgowych, nie będzie wybroczyn podspojówkowych ani podsurowicówkowych... On się nie powiesił. Zamordowano go. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– W takim razie dlaczego właśnie nie ćwierkasz o tym wszystkim na policji? – Szmit przeciągnęła dłońmi po twarzy i cicho zaklęła. – Przecież powinieneś...

Honoriusz wszedł jej w zdanie:

– Trafiłem na coś jeszcze – rzucił, ponownie zerkając w lusterko. – Właśnie to jest w tym najgorsze.



Więc nie wierzysz klechdom i mitom?  
Nie dowierzasz śmierci muzykom?  
Na tym polega ich wielka moc,  
Że niedowiarków gnębią co noc.

A gdy wreszcie wyrwą twe serce,  
Wędrowca kijem połamię ręce,  
Za późno będzie byś nawrócił się.  
Muzycy śmierci żywcem pogrzebią cię.





Allegra nerwowo poruszyła się w fotelu. Zaczęła mamlać beret, usiłując złapać w lusterku podobną perspektywę co Mond. Nie dostrzegła jednak niczego podejrzanego.

– Ktoś nas śledzi? – zapytała zirytowanym tonem. – Rozglądasz się jak Syzyf słyszący trzepot skrzydeł.

– Na razie to tylko przezorność.

– Na razie?

Mond z ukontentowaniem ponownie wmieszał się w sznur aut. Zwolnił i włączył aktywny tempomat, by nie musieć co chwilę hamować. Allegra rzuciła beret na kolana, po czym zwróciła się w jego stronę.

– Powiesz wreszcie, na co trafiłeś?

Honoriusz sięgnął do kieszeni po cygarniczkę, lecz jej nie wyciągnął. Obrócił ją jedynie między palcami, jakby była króliczą łapką, której pocieranie ma przynieść szczęście. Tyle że lufka nie miała przyjemnego futra, a on nie wierzył w przesady.

– Berg... – wycedził powoli nazwisko komisarza. – Na policzku pod prawym okiem ma niewielką bliznę, zwróciłaś na nią uwagę?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo.

– Jest teraz niemal niewidoczna, z czasem skóra się napręży, ale martwica pozostawia ślad.

– Co z tego?

– W kieszeni Krasowskiego znalazłem wycinek z gazety. Pochodzi z jakiegoś lokalnego dziennika sprzed lat, zapewne nigdy niearchiwizowanego cyfrowo, dlatego nie mogliśmy na niego trafić.

Allegra ponownie poprawiła się w fotelu i nerwowo założyła włosy za uszy.

– Mów dalej.



– To fotografia zaginionego chłopca. Poszukiwano go ponad dwadzieścia lat temu, ale pewne cechy twarzy nie ulegają zmianom.

– Czy usiłujesz mi powiedzieć, że...

Mond ze śmiertelną powagą skinął głową.



– Twierdzisz, że na tej fotografii jest Berg?

Mond pstryknął palcami.

– Engel nie uprowadził brata komisarza, ale właśnie jego – oznajmił z emfazą. – Nie ma dwóch identycznych osób z taką samą blizną. Bliźniaki jednojajowe mogą mieć podobne znamiona, ale nie blizny.

Szmit chciała się przeżegnać, ale uznała to za niestosowne. Splotła dłonie na piersi, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza. Tymczasem Honoriusz mentorskim tonem kontynuował swój wywód.

– Przypuszczam, że Berg uciekł albo został wypuszczony i teraz po latach postanowił się zemścić. To on zabił Engela, pozorując samobójstwo. To samo chciał zrobić z Krasowskim, który jakimś cudem trafił na jego ślad.

– A Wiktor?

– Sądzę, że niektórzy z pacjentów Domu Ciszy mogli coś o nim wiedzieć. Albo przynajmniej podejrzewać, dlatego poczuł się zagrożony. Być może zresztą to właśnie przez nich Krasowski zaczął szperać w archiwach.

Allegra założyła dłonie za uszy i przymknęła oczy. Kolejne informacje przytłoczyły ją, powodując zamęt myśli.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego nie zgłosiłeś tego policji – wyszeptała. – Przecież to obłąd.

Mond wzruszył ramionami. Jechali aleją 29 Listopada i po prawej mijali właśnie Cmentarz Rakowicki. Ceglany mur na przemian z nagrobkami widocznymi za metalowym płotem zdawał się nie mieć końca. Tym bardziej że ze względu na lekką mżawkę większość kierowców uznała dwadzieścia kilometrów na godzinę za najwyższą dopuszczalną prędkość. Gdyby tylko zachowywali się tak w każdych warunkach...

– Obawiałem się, że Berg wszystko zatuszuje – skwitował Honoriusz. – Fotografia przypadkiem zniknie, a nas wezmą za szaleńców. Zbyt dobrze wiem, jak to działa, zwłaszcza że nie mamy żadnego innego dowodu.

- Kryminaliści i tak znajdą to zdjęcie – wtrąciła Szmit.
- O ile Berg ich nie uprzedzi.
- Dlatego mogłeś je wziąć ze sobą. Cholera, Honoriusz, nic z tego nie rozumiem!

Mond pokręcił przecząco głową.

– I miałbym się z tym wycinkiem stawić na komendzie? Bez dwóch zdań nie stanowiłby wystarczającego dowodu, o ile w chacie nie będzie żadnych innych śladów. A przypuszczam, że Berg wiedział, jak je dobrze zatrzeć. Jest mądrzejszy, niż się wydaje.

– Może masz rację.

– Mam ją. Uwierz mi, wszystko przemyślałem.

Allegra zerknęła na niego z przyganą. Czasem drażnił ją jego przemądrzały ton, lecz nie można było zaprzeczyć, że kieruje się wyłącznie logiką.

– No dobrze, nawet jeśli tak było w rzeczywistości – fuknęła, jakby do końca temu nie dowierzała – dlaczego Berg miałby mścić się na Engelu po tylu latach?

Honoriusz oderwał dłonie od kierownicy i rozłożył je w geście bezradności.

– Nie wiem. To właśnie jest jedna z luk całego rozumowania. A jedna luka sprawia, że moja misterna układanka kompletnie się rozłązi i grozi zawaleniem. Żaden prokurator nie stworzyłby na jej podstawie aktu oskarżenia.

– To rozumowanie poszlakowe. W polskim prawie karnym...

– Wiem, jakie są procedury. Uwierz mi jednak, że wy, dziennikarze, zbyt często wytaczacie działa tego, jak być powinno, a nie tego, jak jest.

– Przecież wiele się słyszy o procesach poszlakowych. Niedawno nawet skazano paru gości za morderstwo, choć nie znaleziono ciała ich rzekomej ofiary.

– Właśnie. Dlatego tyle się o tym słyszy, bo to przypadki jeden na sto. Pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć aktów oskarżenia trafia do recyklingu i raczysz się nimi, siedząc w toalecie.

Allegra oparła głowę o szybę i zacisnęła usta. Przez chwilę obserwowała przewijające się za oknem billboardy, aż nagle rezolutnie odwróciła się do Monda.

– W takim razie jaki jest plan? – zapytała z zacięciem. – Przecież musimy coś zrobić. Nie możemy jeździć w kółko po Krakowie i domyślać się, co by było gdyby.

Honoriusz skinął głową. Najwyraźniej właśnie podjął decyzję, gdyż gwałtownie zmienił pas i dodał gazu.

– Musimy jechać do Domu Ciszy – zdecydował. – Podejrzewam, że Bernard oraz Albert są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Berg zaczął eliminować wszystkich, którzy mogliby powiązać go ze sprawą. Potem zajmiemy się właśnie nim.



Duża furgonetka stojąca na podjeździe przed Domem Ciszy wzbudziła niepokój Monda. Zaparkował tuż przy niej i po wyjściu z auta natychmiast zerknął na jej tablice rejestracyjne. Gniewnie potrząsnął głową, po czym skierował się w stronę wejścia do ośrodka.

– Co się stało? Zachowujesz się, jakbyś zobaczył auto widmo.

– To pojazd kryminalistów – wyjaśnił Mond. – Poza nim na parkingu stoją dwa nieoznakowane radiowozy.

– Boże śnięty.

– Przestań z tym bożowaniem.

Honoriusz niemal przebiegł przez podjazd, po czym udał się ku drzwiom. W niewielkiej recepcji nie było nikogo, ale gdy skierował się ku skrzydłu mieszkalnemu, jak spod ziemi wyrósł przed nim szpakowaty ochroniarz.

– Hola, hola, a pan dokąd?! – zapytał, łypiąc na Monda małymi, czujnymi oczkami. – To nie wolny wybieg dla nieuprawnionych.

– Muszę zobaczyć się z waszymi pensjonariuszami. Albo z dyrektorką Bielską.

– Kierownik Bielską, jak już.

– Niech będzie i kierownik.

– Wobec tego musi się pan wpisać na listę. Godziny wizyt...

Honoriusz się zatrzymał i spojrzał spode łba na ochroniarza. Szykował się do jakiejś skomplikowanej przemowy, gdy pojawiła się przy nim Allegra. Sięgnęła do kieszeni, po czym wyciągnęła portfel. Rozłożyła go, machając starą legitymacją biblioteczną.

– Czy tak trudno wywnioskować, że w trakcie oględzin policyjnych po budynku będzie płatać się więcej funkcjonariuszy? Jeśli każdemu będzie pan zawracał głowę, opóźni pan tylko śledztwo. Czy wyglądam na mamę, która przyjechała z wałówką w odwiedzinach do głuchoniemego synka?

Ochroniarz zdębiał. Spolegliwie uniósł dłonie i skinął głową.

– Przepraszam, ja...

– Panie komisarzu! – zwróciła się Allegra do Monda. – Myślę, że ten pan zaraz wezwie panią kierownik.

– Oczywiście.

– Zaczekamy w pańskiej kanciapie. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Mond docenił nie tylko zdolności teatralne Szmit, ale i to, że zaaranżowała ich spotkanie z Bielską z dala od jej gabinetu, a więc i potencjalnego miejsca pobytu ekipy śledczej. Z uznaniem pokiwał głową.

Kierownik zjawiała się z wypiekami na twarzy ledwie kilka minut po tym, jak rozsiedli się na wysłużonej kanapie w maleńkim pokoiku pełnym ekranów z obrazami z kamer monitoringu.

Na ich widok zatrzymała się w progu. Honoriusz natychmiast podniósł się z miejsca i kurtuazyjnie ściągnął kapelusz. Chciał przedstawić Allegrę, ale Bielska odezwała się pierwsza:

– Oszukaliście mojego człowieka, mówiąc, że jesteście z policji – wycedziła, zwracając się wprost do niego. – Nie mam teraz czasu na pańskie zabawy.

– Co się stało?

– Proszę stąd wyjść, zanim wezwę policję.

– Zależy nam na dobru pani podopiecznych tak samo jak pani.

– Powtarzam, wyjdźcie stąd, nim zaczną krzyczeć. Policja jest w skrzydle obok.

– Wiem o tym. – Mond uśmiechnął się blado. – Właśnie dlatego my również tutaj jesteśmy. Swoją drogą, aby formalnościom stało się zadość, proszę poznać moją szefową, Allegrę vel Felicję Szmit.

Honoriusz taktownie przesunął się, jakby chciał zrobić miejsce, by kobiety wymieniły uściski dłoni. Tymczasem Bielska wbiła w Allegrę wściekłe spojrzenie. Po chwili ponownie przeniosła je na Honoriusza.

– Nie interesuje mnie, kim jesteście ani co robicie. Mam na głowie policję i całe to zamieszanie, dlatego proszę natychmiast wyjść.

Szmit zrobiła krok w jej stronę. Przybrała surową minę i wymownie odchrząknęła.

– Sprawa od samego początku miała zostać między mieszkańcami Bobolina – odezwała się konspiracyjnym tonem. – Tak jak została między nimi część zaginięć sprzed lat, prawda? Dziennikarze dopytywali, więc dostali papkę informacji, ale niektórych poszukiwań nikt formalnie nie zgłosił. Na przykład małego komisarza Berga, który wychował się niedaleko od pani rodzinnego domu, zgadza się? Może wszyscy jesteście tak samo w to zamieszani?

Mond z rosnącym uznaniem przysłuchiwał się tyradzie Allegry. Tymczasem Bielska z każdym jej słowem wyraźnie traciła pewność siebie, przenosiła wzrok gdzieś dalej, jakby szukała pomocy za oknem, wreszcie głośno pociągnęła nosem.

– Nie ma pani pojęcia, co tu się działo ani czego obawiali się ludzie. I nie ma pani pojęcia, jak to jest żyć wśród społeczności liczącej kilkadziesiąt osób, do której zdaje się należeć sam diabeł albo kie inne lichy.

– Wcale nie twierdzę, że mam o tym pojęcie. Ale chcielibyśmy to zrozumieć.

– Możemy zacząć od końca – wtrącił się Honoriusz. – Od tego, co dziś wydarzyło się w ośrodku.

– To tajemnica śledztwa.

– Do zachowania tajemnicy śledztwa zobowiązani są tylko policjanci, nikt inny.

Bielska bezradnie pokręciła głową i wbiła wzrok w podłogę.

– To stało się jakieś pół godziny po pańskim wyjściu – wyznała załamana. – Bernard nadal był bardzo pobudzony, a Albert poczuł się lepiej i uznał, że musi się przewietrzyć. No i się przewietrzyli...

– Co ma pani na myśli?

– A jak pan sądzi?

Kobieta rozłożyła ręce i opuszczając je, kłapnęła nimi w uda.

– Ktoś usiłował ich porwać, ale nie dał rady. Wpakował do auta jedynie Bernarda, a Alberta zostawił z niemal poderżniętym gardłem.

– Niemal?

– Lekarze mówią, że to cud, że żyje. Na chodniku było sporo krwi, więc nie wiadomo, czy Bernard nie został zamordowany na miejscu.

– Boże.

Allegra złożyła dłonie jak do modlitwy i czubkami palców dotknęła podbródka. Oszołomiona pokręciła głową. Tymczasem Bielska wpatrywała się prosto w oczy Monda.

– Powtarzam, lepiej niech się pan w to nie miesza.

– Mówiła to pani, gdy mieliśmy jednego rannego i jednego zamordowanego.

– Teraz możemy mieć trzy trupy, czy to coś zmienia?

Mond oparł się dłonią o zagłówek obrotowego fotela, po chwili się wyprostował i założył ręce za plecy.

– Mam potencjalny dowód, że komisarz policji jest związany z morderstwami – wycedził z bladym uśmiechem. – Do tego to mnie niebawem będzie można powiązać z wisielcem, który, jak się okaże, wcale nie kipnął, dyndając, a został uduszony na podłodze pewnego domu. Dlatego, proszę, niech mi pani nie mówi, żebym się w to nie mieszał.

– Ale...

Mond nie dał sobie przerwać.

– I bardzo proszę odpowiedzieć na moje ostatnie pytanie. Czy w Domu Ciszy przebywa komisarz Berg?

– Już nie.

– Już? Czyli tu był?

– Jakąś godzinę temu pognął gdzieś jak oparzony.

Honoriusz wymienił z Allegrą porozumiewawcze spojrzenia i skinieniem głowy podziękował Bielskiej. Włożył fedorę, po czym szybko skierował się do wyjścia.





– Na cmentarzu badałem odcisk ciała Wiktora. Od jego ciepła pojawiło się charakterystyczne przebarwienie trawy, ale nie było śladów krwi, więc albo zamordowano go niedługo wcześniej i przewleczono na miejsce, albo zabito w inny sposób, a tylko potem podejrnięto dla niepoznaki gardło. Tętnica już nie działała albo zadziałała na tyle słabo, że krew nie zabryzgała wszystkiego wokół. Wbrew powszechnemu mniemaniu trupy mogą krwawić.

Allegra starała się podążać za potokiem słów Monda, jednak Honoriusz, mówiąc, porządkował informacje. Jednocześnie nie zamierzał tracić czasu na przekazywanie ich w nazbyt klarownej formie. Dopiero gdy oznajmił, że muszą znaleźć Berga, przerwała mu głośnym prychnięciem.

– I w swojej pesymistycznej naiwności zakładasz, że Berg nadal jest w mieście? Że niczego nie podejrzewa?

– A dlaczego miałyby podejrzewać? Zastanów się i pomyśl o wszystkim z jego perspektywy.

– Chyba nie jestem aż tak empatyczna. To level co najmniej dalajlamy.

– Nie ma żadnego powodu do niepokoju. Nie wie o fotografii, którą znalazłem w kieszeni Krasowskiego, a to ona stanowi jedyny element bezpośrednio łączący go ze sprawą. – Mond mlasnął. – Co prawda od dawna nie pasowało mi kilka rzeczy, ale to były tylko mgliste domysły.

– Mimo wszystko musiał wpaść w niezłą panikę. Najpierw Wiktor, potem Krasowski, chwilę później głuchoniemi. Niezła seria.

– Nie tak szybko. Krasowski nie żyje od kilkunastu godzin. Przypuszczam, że od momentu, gdy z jego telefonu ktoś do mnie zadzwonił.

– Pomimo tego Berg działa jak w kompletnym popłochu.

Honoriusz przecząco pokręcił głową.

– Ani trochę – stwierdził lodowatym tonem. – On wpadł w szal.

Szmit sięgnęła ku wiszącym na nadgarstku bransoletkom, lecz zaraz cofnęła rękę. Odchyliła głowę i oparła ją o zagłówek. Wzięła kilka głębokich oddechów, starając się opanować emocje. Przez okno dachowe spoglądała w szare, nisko zawieszzone niebo.

– Dlaczego eliminuje kolejnych pensjonariuszy ośrodka? – zapytała, niemal nie mrugając. – Niepotrzebnie naraża się na ujęcie.

Honoriusz zerknął na nawigację i skręcił w boczną drogę, która miała stanowić skrót do obwodnicy. Na szczęście nawierzchnia była na tyle dobra, że mógł lekceważyć ograniczenia prędkości. Mimo to uważnie obserwował pobocze.

– Sądzę, że podejrzewa, że ci coś wiedzą. Albo łączy go z nimi coś, o czym nie mamy pojęcia.

– Jakież przypuszczenia?

– Kilka.

– Zasługuję, aby o nich usłyszeć?

– Na przykład mogli go przypadkowo zobaczyć z Engelem. Albo...

Mond zamilkł. Wypadli na główną trasę i dodał gazu, dynamicznie wyprzedzając całą karawanę pojazdów wlokących się za ciężarówką.

– Albo? – dopytała Szmit, gdy wrócił na właściwy pas.

– Mam też pewną szaloną koncepcję, ale na razie nie czas o niej mówić.

– Wiesz, że to, co szalone, całkiem mi się podoba.

– Nie będę mówił o czymś, na co nie mam żadnych dowodów. Ba, nie mam nawet poszlak.

Szmit z niezadowoleniem westchnęła, ale uznała, że nie ma sensu dopytywać. Mond nie był człowiekiem, który ulegał namowom. Szczególnie jeśli ich celem było nakłonienie go do zerwania z podstawowymi zasadami, a bez wątpienia jedną z nich było niewypowiadanie sądów na nie do końca przemyślane tematy. Zamiast tego oderwał dłoń od lewarka automatycznej skrzyni biegów i znacząco wyprostował palce. Był to znak, że właśnie wpadł na jakiś pomysł.

– Zadzwoń na komisariat – rzucił kategorycznie. – Powiedz, że chcesz rozmawiać z Bergiem.

– Myślisz, że mnie połączą?

– Użyj swojej boskiej siły przekonywania. Całkiem dobrze ci to wychodziło.

– Sukcesem będzie już to, żeby ktokolwiek odebrał. Szpitale, komendy i im podobne uznają jedynie siłę perswazji *via* sto dwanaście.

– Mimo wszystko próbuj.

Allegra bez przekonania sięgnęła po telefon, a następnie wyszukała właściwy numer. Po chwili, unosząc kciuk, się uśmiechnęła. Rzuciła kilka krótkich zdań.

– Mamy zaczekać – zwróciła się do Monda. – Dyżurny sprawdza, czy komisarz jest w biurze. Ponoć niedawno pojawił się na komendzie, ale już mógł wyjść.

– Byle go nie wypłoszyli.

– Powiedziała, że chcę kilku słów komentarza dla lokalnej gazety. Zdaje się, że „lokalność” to dla nich wszystkich słowo klucz.

– Oby. W każdym razie...

Szmit uniosła dłoń, dając znać, by Honoriusz zamilkł. Potwierdziła rozmówcy, że jest przy telefonie, po czym entuzjastycznie podziękowała. Rozłączyła się i pisnęła z radości.

– Szykował się do wyjścia, ale ma zaczekać kilka minut – zreferowała dumna z rezultatu rozmowy. Jednak niemal natychmiast spochmurniała. – No dobrze, ale co zamierzasz zrobić? Przeprowadzić z nim osobistą konfrontację? Zapytać go, czy w ostatnich dniach nie zamordował paru osób?

Mond nie odpowiedział. Zacisnął usta i dodał gazu.



Siedziba krakowskiej Komendy Wojewódzkiej Policji, a zarazem Centralnego Biura Śledczego mieściła się w budynku podobnym do dziesiątków innych siedzib policyjnych w kraju. No może jego skala bardziej upodabniała go do peerelowskiego szpitala, ale poza tym była to klasyczna mieszanina sześcianów z głównym jedenastopiętrowcem na czele oraz pobocznymi budynkami prężącymi się na baczność równolegle do niego.

Przez ostatni kwadrans Mond starał się obmyślić plan działania, lecz po raz pierwszy w życiu zdawał się na łut szczęścia. Każde działanie wydawało mu się niewłaściwe. Zarówno doprowadzenie do jawnej konfrontacji, wywołanie przełożonych Berga, jak i próba jego obezwładnienia na korytarzu komendy nie były dobrymi pomysłami. Ta ostatnia zresztą zakrawałaby na szaleństwo, które skończyłoby się ich pobytem w areszcie, a nie przedstawieniem jakichkolwiek zarzutów komisarzowi.

Honoriusz wierzył, że przynajmniej w jednym będzie miał szczęście. Nie zdradził się oczywiście w czym, ale w końcu, po rozważeniu wszelkich za i przeciw, wparadował z Allegrą do portierni. Młody posterunkowy z wytrzeszczem oczu poinformował, że Berg postanowił na nich zaczekać na parkingu. W kilku zdaniach wyjaśnił, gdzie zazwyczaj parkuje samochód.

– Pójdę tam sam. – Mond wyciągnął ku Szmit dłoń z kluczykami do jaguara, lecz ta nawet nie zwróciła na nie uwagi.

– Wykluczone. Nie jestem Judaszem.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Owszem, tak bym się czuła. Albo jak niewierny Tomasz. Albo...

Honoriusz zatrzymał się i postawił kołnierz płaszcza. Było już ciemno, a do tego nasilał się zimny, nieprzyjemny wiatr. Zdawało się, jakby niósł

niewidoczne drobinki lodu, którymi zapalczywie tłukł po nieosłoniętych częściach ciała. W nocy zapowiadał się przymrozek.

– Posłuchaj. – Mond dotknął rękawa Szmit. – To nie jest dziennikarska przygoda. Nie idziemy na wywiad ze staruszką, który został wpisany do książki rekordów Guinnessa dzięki nadzwyczajnemu przerostowi prostaty.

– Nie bądź niepoprawny.

– Berg prawdopodobnie zamordował kilka osób i zrobi wszystko, żeby nie zostać złapany. Twoje modlitwy nie chronią przed szaleńcami.

– Oceniasz je, bo...

– Daj mi skończyć. Idź do auta i zaczekaj tam na mnie, a potem...

Tym razem Allegra weszła mu w słowo.

– Nie przekonasz mnie – rzuciła z determinacją. – I pamiętaj, że to ja jestem dziennikarką i tylko o mnie Berg może tak myśleć. Zapewne już sprawdził, że poza firmą sprzątającą figuruję na listach prasowych. Jeśli zobaczy tylko ciebie, wpadnie w panikę. Widząc mnie, może połknąć haczyk.

Z tymi argumentami Mond nie mógł polemizować. Chcąc nie chcąc, westchnął i ruszył w kierunku wskazanym przez posterunkowego. Nie było sensu dalej prowadzić dyskusji, tym bardziej że w każdej chwili Berg mógł wziąć nogi za pas.

– Jest. – Skinął głową w stronę zarysu postawnego mężczyzny stojącego przy pick-upie. Pomarańczowy punkcik żaru wypalanego papierosa wyraźnie odcinał się od ciemności.

– Nie spodziewałem się, że przyjdzie pani z obstawą. – Berg rzucił niedopałek na ziemię i przełożył z ręki do ręki niewielką skórzaną aktówkę.

– Czego pani chce?

– Porozmawiać.

– Dla jakich mediów?

– Jestem wolnym strzelcem. Publikuję to tu, to tam.

– A ten pani pies sprzątający? – Policjant skinął głową ku Mondowi. – Co tu robi Mortalista?

– Mortalista? – Allegra spojrzała to na jednego, to na drugiego mężczyznę. – No tak, czytałam o jedynej w Polsce katedrze mortalistyki.

– Czy nawkładał już do pani ładnej główki swoich bzdur? A może to on namówił panią do tego spotkania?

Mond się nie odzywał. Włożył dłonie do kieszeni, zdając się na inwencję Szmit. Zgodnie z jego przypuszczeniami kobieta zaraz przeszła do frontalnego ataku.

– Czy ma pan już jakiegoś podejrzanego? Dlaczego nie dowodzi pan teraz pracami w Domu Ciszy lub w miejscu odnalezienia zwłok dyrektora Krasowskiego?

Zadane w karabinowym tempie pytania oraz notes, który Allegra wyjęła z kieszeni, w dziwny sposób sprawiły, że komisarz się rozluźnił. Stał w lekkim rozkroku, oparł się łokciem o bok samochodu i cicho parsknął.

– Już nie prowadzę sprawy – oznajmił obojętnym tonem. – Niebawem zostanie przekazane moje formalne oświadczenie. Poprosiłem o bezpłatny urlop z powodów osobistych i komendant na to przystał.

– Co takiego? W trakcie tak istotnego śledztwa?

– Znajduje się ono ciągle na początkowym etapie, więc nie chciałem prowadzić go, będąc obciążony prywatnymi sprawami.

– Można wiedzieć, co to za sprawy?

– Nie można. Dlatego są prywatne.

Allegra powstrzymała się, by nie zerknąć w stronę Monda. Kątem oka dostrzegła jednak, że Honoriusz przestąpił z nogi na nogę.

– Jedzie pan pod namiot poobserwować gwiazdy? – zagadnęła ironicznie.

– Takie auto musi być dobre na najgorsze bezdroża.

– Takie lubię. Nie muszę od razu wyjeżdżać w trasę.

– Czyżby? Dlatego na podszybiu widzę telefon do wypożyczalni? Czy za każdym razem, gdy ma pan jakieś sprawy rodzinne, wypożycza pan auto?

Berg odruchowo się odwrócił i zerknął na przód auta. Oświeślały go reflektory przejeżdżającego samochodu. Po chwili ponownie wszystko utonęło w niemal całkowitej ciemności. Komisarz się cofnął i sięgnął ku klamce.

– Gigantyczne felgi – ciągnął Mond. Wskazał na przednie koło, po czym zrobił ku niemu dwa kroki. Berg ani drgnął. – W terenie musi okropnie trząść z takim profilem opon. A może wcale nie?

- Wypożycz takie, a sam się przekonasz.
- Znowu jesteśmy per ty? Już się w tym pogubiłem.
- Dość tego, nie mam czasu. Nie zwracajcie mi więcej dupy.

Berg otworzył potężne drzwi. Musiał je obejść, aby wejść do środka. W tej samej chwili Mond poruszył się, by wskazać coś przy feldze auta, potknął się i niby niefortunnie uderzył komisarza w dłoń.

- Co pan!

Skórzana aktówka upadła na ziemię i się otworzyła. Honoriusz natychmiast do niej dopadł, po czym tryumfalnie wyciągnął leżący na wierzchu wycinek z gazety.

- Już go dziś widziałem – obwieścił, udając zaskoczenie. – A to ciekawe.



Szczęście uśmiechnęło się do Monda. Oględnie zaimprovizowany plan opierał się na tym, że schował wycinek gazety do kieszeni Krasowskiego w ten sposób, iż ten z niej istotnie wystawał. Nie miał wątpliwości, że nikt nie dotknie trupa aż do przyjazdu prowadzącego śledztwo Berga. Tymczasem komisarz nie mógł się powstrzymać, by po niego sięgnąć. Coś, co przegapił kilkanaście godzin wcześniej, musiało wywrzeć na nim spore wrażenie.

– Zastąpił go pan czymś? – zagadnął, obracając wycinek w dłoni. – Czy uznał, że nikt poza panem nie zwrócił na niego uwagi?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobrze pan wie.

– Oddawaj, gnoju. – Berg podniósł aktówkę i spojrzał na Monda spod łba. – To moje.

– Skąd go pan ma? Ciekaw jestem, czyje odciski palców się na nim znajdują. Jak pan sądzi?

– Nie znajdują się, bo nikt tego nie będzie badał.

Mond się uśmiechnął.

– A jednak, chyba przekażę go do laboratorium. Jestem bardzo zaintrygowany. Proszę sobie wyobrazić, że cierpię na wręcz chorobliwą ciekawość.

– Pieprz się.

Berg jednym susem dopadł do Monda i wyrwał mu wycinek gazety. Błyskawicznie odwrócił się do auta, lecz Honoriusz chwycił go za ramię.

– Hola, hola. Gdzie się pan wybiera, komisarzu? Czyżby śpieszył się pan do dyrektora Krasowskiego, a może do Domu Ciszy?

– Nie wiem, gdzie Krasowski znalazł ten artykuł, ale zbyt mocno węszył. Tak jak wy.



– Czyli nie wypiera się pan, że miał go właśnie dyrektor? To znaczy kierownik.

Honoriusz wydał wargi i wolną dłonią wyciągnął z kieszeni telefon.

– W momencie gdy zaczęliśmy naszą miłą pogawędkę, pozwoliłem sobie wybrać numer na dyżurkę komendy. Zdaje się, że dzięki trybowi głośnomówiącemu wyraźnie nas słychać?

Berg się szarpnął i zerknął w głąb podwórza. Od strony głównego budynku komendy słychać było tupot kroków. Komisarz usiłował ponownie wyrwać się Mondowi, lecz ten błyskawicznie wygiął mu rękę. Działał z zaskakującą sprawnością, całkowicie panując nad znacznie od niego postawniejszym policjantem.

– Honoriusz...

Niemal nie zwrócił uwagi na szept Allegry, więc ta powtórzyła znacznie głośniej.

– Honoriusz!

Dopiero teraz Mond uświadomił sobie, że Berg, choć zgięty wpół, w lewej dłoni trzyma niewielki rewolwer. Z pewnością nie była to broń służbowa, ale nie budziło wątpliwości, że również jest w stanie powalić każdego napastnika. Lufa była skierowana prosto w pierś stojącej z boku Szmit.

– Zostaw mnie albo wystrzelę – warknął Berg. – Ten kaliber zrobi jej dziurę w piersi wielkości arbuza.

– Zastanów się. To niepotrzebne.

– Liczę do dwóch. Raz...

Komisarz potrząsnął dłonią i Mond natychmiast go puścił. Odsunął się, a wtedy Berg błyskawicznie chwycił Szmit za ramię. Tym razem to on wykazał się nadzwyczajną zwinnością. Momentalnie pchnął kobietę do auta, kazał jej wejść na fotel pasażera i sam wskoczył do środka. Zatrzasnął drzwi w momencie, gdy na parking wbiegło kilku policjantów. Byli kompletnie skołowani. Rozległy się ostre krzyki i nakazy, by wszyscy rzucili broń. Ktoś zaświecił ostrym światłem latarki Honoriuszowi prosto w twarz.

– Na kolana! Jazda! Ręce na boki!

Posłusznie wykonał polecenie i ciężko sapnął. W tym samym momencie wielki pick-up na pełnym gazie wyrwał przed siebie. Uderzając o stojące obok auto, kierowca poprowadził go ku bramie wyjazdowej. Żaden z policjantów nie powążył się strzelić.



– Wypuść mnie!

- Zamknij się, bo odstrzelę ci ten kudłaty łeb.
- To byłoby morderstwo. Kolejne.
- W pewnym momencie człowiek gubi się w rachunkach.
- Człowiek, ale nie Bóg.

Berg łypnął na Szmit jak na kogoś niespełna rozumu. Sięgnął do przepastnego schowka podręcznego i po chwili zamachał kajdankami.

- Odwracaj się. Załóż ręce za plecy.
- Zwolnij, zabijesz nas.
- To też będzie morderstwo czy tylko rozszerzone samobójstwo?

Komisarz łypnął w lusterko. W oddali mignęły niebiesko-czerwone stroboskopy. Zdawało mu się również, że słyszy wycie syren, więc bokiem dłoni pogłośnił radio. Na cały głos ryknął Niemen dziwiący się pełnemu zła światu.

- Powiedziałem, dawaj te delikatne rączki.

Allegra niechętnie się obróciła i założyła ręce za plecy. Berg natychmiast zapiął na jej nadgarstkach kajdanki. Chwilę później przynajmniej skupił się na prowadzeniu. Pick-up gnał niemal opustoszałą ulicą, a na widok jakiegokolwiek auta komisarz wściekle trąbił. Zachowywał się, jakby uwierzył w nieśmiertelność lub co najmniej w pełną przytomność innych uczestników ruchu drogowego.

– Wypieprzajcie wszyscy! Won! – wrzeszczał na widok kilku aut stojących na światłach. – Pieprzcie się!

Trąbiąc jak oszalały, przemknął przez skrzyżowanie. Niemal zderzył się z autobusem, który ruszył na zielonym świetle. Wyminął go w ostatniej chwili, otarłszy się bokiem o ciężarówkę.

– Matko Boska! – Szmit zapomniała o skrępowanych dłoniach i chciała się przeżegnać. – Uważaj!

– Zamknij się.

– Nie zależy ci na życiu, człowieku?

– Zamknij się albo wepchnę ci do gęby twoją własną sukienkę. – Berg z piskiem opon skręcił w uliczkę osiedlową. Tuż przed maską przemknął mu rowerzysta. – Żyjesz tylko dlatego, że nikogo nie zaszantażuję trupem. Rozumiesz?

– Lepiej niż niejedną przypowieść starotestamentową.

– Dobrze, że wspominasz o testamencie. Bo ostatecznie i tak będziesz musiała zginąć, więc już teraz możesz się pomodlić.

– Ojczy nasz, któryś...

– W duchu. Nie na głos!

– Powiedziałaś, żebym się pomodliła. Myślałam, że może do mnie dołączysz.

Tego było zbyt wiele. Berg z impetem rąbnął kolbą rewolweru Szmit w bok głowy. Kobieta cicho jęknęła i bezwładnie osunęła się w fotelu.

– Szalona zdzira – sapnął. – Nawiedzona dewotka.

Klnąc pod nosem, zwolnił iglicę z pozycji bezpieczeństwa. Bębenek powoli się obrócił.



Mond z rękoma założonymi za głowę i wzrokiem wbitym w niebo klęczał przed dwójką policjantów. Choć krew dudniła mu w żyłach, a serce tłukło się o żebra, sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego. Zacisnął zęby, słuchając tyrady o tym, jak powinien się zachować i co zaraz się z nim stanie. Tymczasem kilkoro innych funkcjonariuszy rzuciło się do radiowozów, by ruszyć w pogoń za Bergiem.

– Dam wam kluczyki do auta, którym pojedziecie szybciej niż waszymi bawarskimi dreswagenami – rzucił, opanowując drżenie głosu.

– Morda w kubek!

– Tylko proponowałem.

– Jeszcze jedno słowo i...

Mond westchnął. Czara goryczy nieoczekiwanie się w nim przelała. Nie zważając na wrzaski funkcjonariuszy, podniósł się z kolan. Pilnował go posterunkowy z portierni oraz pucołowaty sierżant z czołem mokrym od potu.

– Bo mnie rozstrzelacie? – zagadnął, łypiąc to na jednego, to na drugiego.

– Za co? Chyba widzicie, że to nie ja jestem winny.

– Nie nam o tym decydować.

– A komu? Gdyby każda sprawa trafiała do prokuratora, system sądownictwa dawno by upadł. A może już to się stało?

– Obstawiaj mnie – rzucił ku posterunkowemu krępy sierżant.

Mond przewrócił oczami.

– Jeśli się o to martwicie, nie mam broni. Powiedziałem, że wybraliście niewłaściwego adresata agresji.

– Był pan na miejscu zbrodni.

– Owszem. Ale to chyba samo w sobie nie jest przestępstwem?

– Opieranie się poleceniom funkcjonariuszy na służbie już tak.

Sierżant zbliżył się, najwyraźniej chcąc powalić Honoriusza, lecz ten przezornie się cofnął. Opuścił dłoń i sięgnął do kieszeni.

– Nawet nie próbuj!

Nic sobie z tego nie robiąc, wyciągnął kluczyki do auta i skierował się w jego stronę. Najpierw szedł powoli, po chwili przyśpieszył kroku.

– Chodźcie – rzucił oschle. – Jeśli to sprawi wam ulgę, będziecie mnie pilnować, ale dorwiemy tego drania. V8 poradzi sobie z jego amerykańskim pojazdem małego farmera.

– Radzę panu...

Posterunkowy nie dokończył. Mond domyślił się, że sierżant nakazał mu, by dał sobie spokój i podążył za Honoriuszem. Po chwili cała trójka władowała się do jaguara. Podoficer przezornie wciąż ścisnął pistolet, ale nie odezwał się nawet słowem, gdy z zawrotną szybkością wypadli na ulicę.

Mond starał się odtworzyć trasę, jaką mógł poruszać się Berg. Nie było to trudne, gdyż zobaczył kilka aut stojących na poboczach. Do tego już po kilkudziesięciu sekundach dało się słyszeć wycie syren radiowozów, a gdy dostrzegł błyski stroboskopów, jeszcze mocniej dodał gazu. Wkrótce zrównał się ze srebrnym bmw.

– Machnijcie do nich przez szybę, żeby nie zaczęli do nas strzelać jak na westernie – mruknął, na moment zwalniając. – Zachowujecie się, jakby szkolili was na Wyattów Earpów.

– Kogo? – dopytał posterunkowy.

Sierżant pokazał coś na migi funkcjonariuszowi siedzącemu w nieoznakowanym radiowozie.

– Już nadali komunikat przez radio – oznajmił. – Mamy drogę wolną.

Jadący z przodu opel zjechał na boczny pas, robiąc im miejsce. Wtedy jaguar jak oszalały wyrwał do przodu. Przyśpieszenie wbiło wszystkich w fotele, ale Mond doskonale panował nad autem.

– Widzę go – rzucił, z ogromną prędkością przecinając skrzyżowanie, na którym inne auta zdawały się stać w miejscu. – Skręca na osiedle domków jednorodzinnych.

Honoriusz z całej siły zacisnął dłonie na kierownicy. To, co właśnie wyczyniał kierowca pick-upa, zakrawało na czysty obłąd.





Przez ostatnie minuty Allegra przy każdej nierówności bezwładnie uderzała głową o szybę. Miała półprzymknięte oczy i lekko rozwarte usta. Wyglądała nie tyle na nieprzytomną, co na martwą. Do tego jej oddech był rwany oraz spłycony.

Mimo to Szmit miała się całkiem nieźle. Uderzenie rewolwerem było bolesne, lecz burza włosów istotnie zmniejszyła jego siłę. Choć raz było z nich więcej pożytku niż problemów.

Berg w pełnym skupieniu starał się umknąć pogoni. Co rusz skręcał, manewrował lub gwałtownie przyhamowywał. Gdyby nie pasy, oboje mieliby już powybijane zęby albo wylecieliby przez przednią szybę. Komisarz kłął ile wlezie, ale nie zwracał na nią żadnej uwagi. Odkąd zamilkła, przestała dla niego istnieć. Przynajmniej do momentu, gdy zgodnie z zapowiedzią miał się nią posłużyć jako zakładniczką.

Tymczasem Szmit nie tylko była przytomna, lecz z wszystkich sił postanowiła nie dać się zabić. Ukradkiem odpięła jedną z zawieszek bransoletki, po czym wepchnęła ją do zamka kajdanek. Miała całkiem pokaźną wiedzę o systemach zapadek oraz podstawowych mechanizmach zatraskowych. Poza kilkoma ekscesami w trakcie kariery dziennikarskiej wykorzystywała ją przy wykonywaniu zleceń sprzątających. Ludzie często pragnęli opróżnić schowki lub komórki, do których nie potrafili znaleźć kluczy. Standardowo po wieloletnim wykorzystywaniu piwnicy jako śmietniska i zapchaniu jej od podłogi po sufit klucz chowano tak dobrze, że przepadał na amen. Wtedy pojawiały się nowe, jeszcze cenniejsze śmieci, które miały zająć miejsce poprzednich. Wystarczyło kilka podpatrywań roboty ślusarzy i wszystko stawało się proste.

Zwykłe policyjne kajdanki niewiele różniły się od kłódki. Drucik, który pierwotnie uformowano w znak szczęścia boliwijskich Indian, nadawał się na wytrych. Mimo to Szmit przechodził dreszcz za każdym razem, gdy



zapadka cicho zgrzytała. Kolejny cios Berga mógł być jeszcze silniejszy i spaść prosto między jej oczy. Nie mówiąc o tym, że kolba rewolweru mogła zostać zastąpiona przez pocisk.

Na szczęście silnik pick-upa ryczał na tak wysokich obrotach, że nie przebiłby się ponad niego nawet odgłos otwierania skarbca watykańskiego. Pojedyncze zgrzyty zlewały się w jedną kakofonię upiornych dźwięków z rykiem syren, buczeniem klaksonów oraz klęciem komisarza.

Allegra naprężała, jak mogła, mięśnie ramion, lecz niewygodna pozycja sprawiała, że te co rusz jej cierpły. Wyginane nadgarstki bolały, jakby je wyłamywano, a stawy palców co chwilę przeskakiwały. Nie zamierzała się jednak poddać. Czuła pot spływający po plecach i oklejający wnętrza jej dłoni. Powstrzymywała się, by nie krzyknąć z bólu oraz wściekłości. Drucik wyginał się, lecz był zbyt elastyczny, aby odchylić zapadkę. Przy każdej kolejnej próbie wyginał się jeszcze szybciej i jeszcze mocniej. Wszystkie dotychczasowe wysiłki były daremne.

Szmit rozluźniła mięśnie i ukradkiem głęboko nabrała powietrza. Nie mogła zrobić nic więcej. Choć próbowała, musiała uznać swoją porażkę. Przewyciężając ból, wsunęła drucik jeszcze raz do otworu. Natychmiast się odgiął i poczuła, jak sprężyna wraca na miejsce. Stłumiła syk wściekłości.

Nagle Berg zaklął głośniejszym niż dotychczas i wziął bardzo ostry zakręt. Auto niemal wypadło z drogi. Rozległ się pisk opon, a potężne resory jęknęły. Szmit z impetem uderzyła głową o szybę. Tylko cud sprawił, że jej nie wybiła. Poczowała potworny ból oraz falę ciepła nad skronią. Musiała krwawić. Cicho jęknęła, ale komisarz nie zwrócił na to uwagi.

Poruszyła się i wtedy zdała sobie sprawę, że kajdanki są otwarte. Przy szarpnięciu wepchnięty przez nią drucik musiał wreszcie z właściwą siłą wbić się w zapadkę. Ukradkiem oswobodziła dłonie, ale nie miała dalszego planu. To znaczy jedyny, który przychodził jej do głowy, miał więcej luk niż założeń. Mimo wszystko musiała zaryzykować.

Delikatnie otworzyła oczy i upewniła się, że jej drzwi nie mają blokady. Nie mogła wyłożyć się na tak głupim szczególe. Pick-up wydawał się jednak konstrukcyjnie zbyt prosty na nawet tak podstawowe technologie.

Przypominał jej zabytkowy wóz. Żaden amerykański farmer nie potrzebował dodatkowych komplikacji, gdy dosiadał się do niego jadący na polowanie kumpel. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Szmit niby siłą bezwładności przesunęła się na bok. Musnęła palcem mechanizm wypinania pasa i naprężyła wszystkie mięśnie. Choć ból niemal rozsadzał jej głowę, musiała idealnie skoordynować ruchy. Jakikolwiek błąd mógł skończyć się tragicznie.

Berg jak oszalały walił w klakson. Najwyraźniej droga była zablokowana, więc usiłował wyprzedzić, jadąc pod prąd. Ktoś z naprzeciwka dostrzegł go zbyt późno i dopiero w ostatniej chwili zjechał na pobocze. Jednocześnie komisarz również odruchowo przyhamował.

Pasy szarpnęły, Szmit jak szmaciana lalka poleciała do przodu, ale w momencie gdy auto wróciło na właściwy tor jazdy, nacisnęła blokadę.

– Ej, co ty...

Berg nie dokończył. Allegra z całej siły uderzyła go w udo, drugą dłonią otwierając drzwi auta. Skurcz mięśni sprawił, że mężczyzna lekko wcisnął hamulec. Wtedy Szmit, chowając głowę między ramiona, wypadła na ulicę. W myślach błagała wszelkie bóstwa, by nie skończyła na latarni lub pod kołami innego samochodu. Wtedy mimo zamkniętych powiek poraziło ją światło reflektorów oraz pisk hamulców. Przeraziła ją myśl, że wyczerpała swój limit szczęścia.



Mond w pełnym skupieniu obserwował drogę. W ciągu ostatnich minut Berg wykonał cały szereg szaleńczych manewrów, które tylko cudem nie zakończyły się wypadkiem. Kilka aut zatrzymało się w poprzek ulicy, przechodnie rozbiegli się, a pościg przybierał coraz bardziej niebezpieczny obrót. Radiowozy zostały już z tyłu i pick-up znajdował się jedynie w zasięgu jaguara. Honoriusz przypuszczał, że policjanci uznali kontynuowanie jazdy za zbyt niebezpieczne, być może zdając się na organizowane blokady drogowe. Jednak on nie zamierzał odpuścić. Nie teraz. Bez względu na cenę.

Siedzący obok niego sierżant trzymał się boków fotela i nerwowo przełykał ślinę. Co chwilę zamykał oczy, jakby miało go to uratować przed wszelkim nieszczęściem. Posterunkowy za jego plecami na zmianę kłął i przyzywał wszystkich świętych.

Nagle pick-up kilkakrotnie zmienił pas. Umocowana na wysokim zawieszeniu kabina zabujała się niczym jacht na wzburzonym morzu. Auto niemal wypadło z drogi, a potem o mały włos nie uderzyło w jadący z naprzeciwka bus. Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Drzwi pasażera się otworzyły i ze środka coś wypadło. Honoriusz był pewny, że Berg wyrzucił zwłoki Allegry, i natychmiast przeszył go lodowaty dreszcz. Wcisnął pedał hamulca, robiąc wszystko, by nie uderzyć w bezwładne ciało.

– Szlag – wycedził, przykładając zaciśniętą pięść do ust.

W tym samym momencie Szmit przetoczyła się na bok i podniosła głowę. Jej grube palto było kompletnie porwane, po policzku ciekła strużka krwi, lecz gdy Mond zamierzał całkowicie wyhamować, uniosła kciuk. Gestem nakazała mu kontynuować pościg. Honoriusz zerknął w lusterko, upewniając się, że z tyłu pozostał choć jeden radiowóz. Do tego zebrani na ulicy ludzie już biegli w stronę leżącej kobiety.

„Dorwij go!”

Nie miał wątpliwości, że właśnie te słowa padły z ust Allegry. Obrzucił ją pełnym troski spojrzeniem i ponownie wdepnął gaz w podłogę.

– Niech pan uważa, pozabijamy się! – Posterunkowy trzymał się oparcia jego fotela. – Odpuśćmy, to zbyt niebezpieczne. Niech pan mu to wytłumaczy, panie sierżancie!

– Boicie się śmierci? – Mond parsknął. – W takim razie wybraliście zły zawód.

– W żadnym zawodzie nie chodzi o to, aby zginąć – wymamrotał sierżant.

– Ale w niektórych należy akceptować własną śmiertelność.

– A pan co? Wykładnia moralności?

Honoriusz uśmiechnął się niewyraźnie. Od pick-upa dzieliło ich mniej niż pięćdziesiąt metrów. Odkąd Allegra uciekła z jego auta, Berg wykonywał coraz bardziej nerwowe ruchy. Bez potrzeby zmieniał pasy, skręcał niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, przemykał między zaparkowanymi autami lub gnał poboczem. Zachowywał się jak całkowity szaleniec.

– W śmierci nie ma nic strasznego – ciągnął Mond zaskakująco spokojnym głosem. – Pozwólcie, że zacytuję Biblię: *Zrozumiał Gedeon, że to był Anioł Pana, i rzekł: „Ach, Panie, Panie mój! Oto Anioła Pana widziałem twarzą w twarz!”*. Rzekł do niego Pan: *„Pokój z tobą! Nie bój się niczego! Nie umrzesz”*.

– Jest pan szalony.

– Nie bójcie się. Nie wierzę w Biblię.

Posterunkowy wychylił się między fotelami i ryknął sierżantowi prosto w twarz:

– On zwariował, on kompletnie zwariował! Niech go pan powstrzyma!

– Lepiej nie próbujcie. Wystarczy, że omsknie mi się kierownica, i z pewnością zginiemy.

– Proszę...

– To dobre auto, ale przy tej prędkości nasze szczątki będą zeszkrobywać z asfaltu skalpelem. Choć i tak pewnie pochowałiby nas razem.

– Boże.

Posterunkowy ponownie opadł na tylną kanapę i rozpiął guzik munduru. Był bladozielony. Uchylił szybę, lecz świst powietrza sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej. Przytknął wierzch dłoni do ust.

– Uwaga! – wrzasnął Mond.

Dostrzegł stojącą na awaryjnych światłach ciężarówkę, która blokowała oba pasy ruchu. Wcisnął hamulec, lecz dwutonowy jaguar z przeraźliwym piskiem opon sunął po wilgotnej jezdni. Honoriuszowi udało się jednak zapanować nad torem jazdy. Wykręcił kierownicę, obracając auto nieco bokiem. To dodatkowo pozwoliło wytracić prędkość. Tymczasem pick-up Berga był jeszcze cięższy i znacznie mniej zwrotny. Mimo usiłowań kierowcy hamował zbyt wolno. Slalomem, uderzając o stojące na poboczu dwa auta, zmierzał wprost w naczepę ciężarówki.

Rozległ się przesywający huk. Pick-up wystrzelił w powietrze, przeleciał kilkanaście metrów i wylądował na boku. Jeszcze przez chwilę szorował po asfalcie, ale już się nie obrócił. Wreszcie w kłębowisku dymu zatrzymał się na barierze dźwiękochłonnej.

– Szybciej!

Mond rzucił się do drzwi, ale wtedy sierżant powstrzymał go, łapiąc za ramię. Mężczyźni wymienili krótkie spojrzenia.

– Teraz nasza kolej, zrozumiano?

Honoriusz jedynie kiwnął głową. Kolejne sceny obserwował jak na filmie wyświetlanym w zwolnionym tempie. Przez przednią szybę pick-upa z trudem wyczołgał się cień. Puciołowaty sierżant z zaskakującą prędkością pędził w jego stronę. Wtedy rozległ się huk wystrzału i wszystko zastygło w bezruchu. Padł kolejny strzał. I jeszcze jeden.

A potem zabrzmiał rozpaczliwy krzyk.



Doktor Pudwel zapalił papierosa i lekceważąc zakaz palenia na terenie całego budynku instytutu medycyny, z filiżanką kawy przemierzał dolny korytarz. Był pochłonięty myślami. Potrzebował urlopu, lecz nie zapowiadało się, by mógł szybko go wykorzystać. Wiosna zawsze była okresem intensywnej pracy. Sezonowość zgonów niezmiennie zaskakiwała go regularnością.

Choć żona namawiała go, by wyjechali na zagraniczne wakacje, on marzył o męskim wypadzie na ryby. Albo w teren z aparatem, którego najnowszych obiektywów wciąż nie miał czasu wypróbować. Uwielbiał godziny spędzane w leśnej samotni, czekając na najlepsze ujęcie. Podpatrywał konkury jeleni, zbiorowe wędrówki dzików, lecz nade wszystko fascynowały go ptaki. Niegdyś udało mu się uwiecznić niezwykle rzadkiego zniczka, najmniejszego ptaka polskiej fauny.

Z zamyślenia wyrwał go stłumiony trzask. O tej porze znajdował się w instytucie sam, niedawno skończył zmianę jego zastępca, a drugi technik nadal nie przybył. Młody Hamper, syn profesora nefrologii, był sprawny, lecz wyjątkowo niepunktualny. Gdyby nie rodzinne koneksje, już dawno powinien wylecieć z roboty.

Pudwel zatrzymał się, nasłuchując. Popiół spadł na podłogę, lecz doktor nie zwrócił na to uwagi. Nic. Cisza. Musiało mu się przesłyszeć.

Skręcił w stronę sali sekcyjnej, na którą niedawno przywieziono nowe ciało. W historii instytutu tylko raz zdarzyło się, że trafił do nich żywy człowiek. Było to wiele lat temu, gdy w zamieszaniu zbyt pośpiesznie stwierdzono zgon jednej z ofiar wypadku kolejowego. Wówczas skończyło się na akcji reanimacyjnej, śledztwie dziennikarskim oraz żartach w środowisku akademickim całego kraju. Jednak teraz to było niemożliwe. Nie z tymi zwłokami i nie przy najnowszych procedurach.

Doktor zgasił papierosa w doniczce z wynędzniałą agawą, po czym upił łyk kawy. Od lat zamierzał zainstalować ekspres w prosektorium, lecz władze instytutu zbyt rygorystycznie przestrzegały przepisów. W ostatnich latach pracy nie chciał zbędnych problemów.

Musiał dotrzeć do emerytury. Wtedy wreszcie będzie miał czas i na wyjazdy zagraniczne, i na samotnię z aparatem w ręce. Może los pozwoli uwiecznić mu jeszcze choć jednego zniczka? Przyjemnie było oglądać swoje zdjęcie na pięknym papierze limitowanego wydania „National Geographic”. To było coś. Zapis chwili, którą zarejestrowało jego oko i którą uwiecznił doskonały obiektyw.

Patolog skręcił w boczny korytarz i w tym samym momencie ponownie dobiegł go dziwny, stłumiony dźwięk. Tym razem zaniepokojony przyśpieszył kroku. Zrobił to zbyt gwałtownie, gdyż filiżanka kawy spadła ze spodeczka i rozbiła się o podłogę.

– Kurwa.

Pudwel schylił się, aby podnieść porcelanowe szczątki. Niemal jednocześnie trzasnęły jakieś drzwi, a po korytarzu poniosło się dudnienie kroków. Ktoś biegł w przeciwną stronę, ku klatce schodowej i wyjściu.

Doktor w pierwszym odruchu rzucił się w pościg, lecz po kilku metrach instynktownie skręcił ku prosektorium. Drzwi były otwarte na oścież, co kłóciło się z jakimikolwiek procedurami. Poza tym pamiętał, że parę minut temu starannie je zamknął. Do tego w środku paliło się światło.

Ostrożnie, z napiętymi mięśniami i lekko pochyloną głową, wszedł do przestronnego pomieszczenia. Omiótł wzrokiem pusty stół, szafkę z narzędziami, wreszcie skierował spojrzenie ku szufladom chłodniczym. Wtedy przebiegł go lodowaty dreszcz.

– Kurwa – zaklął po raz wtóry.



Sierżant oddał trzy strzały ostrzegawcze, które skutecznie przekonały Berga, by zapanował nad emocjami. Mimo że z rozbitego pick-upa komisarz wyczołgał się z rewolwerem w ręce, szybko go porzucił i pozwolił się obezwładnić. W ciągu kilku minut przyjechała wzmocniona policyjna więźniarka, prokurator oraz zastępca komendanta wojewódzkiego. Do tego na miejscu zakończenia pościgu zjawilo się więcej ekip telewizyjnych, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, że w ogóle istnieje.

Monda przesłuchano w jaguarze. Na polecenie prokuratora nie zabrano go do komisariatu i na razie nie przedstawiono żadnych zarzutów. Jego historia zdawała się logiczna, nie budziła większych zastrzeżeń, a przede wszystkim znajdowała oparcie w faktach. Do tego cały szereg zachowań można było tłumaczyć stanem wyższej konieczności, uzasadnionego szczególnego wzburzenia oraz rozmaity inną prawniczą nowomową. Poza tym niektórzy złośliwcy mówili, że prokurator z podziwem wspominał czasy funkcjonowania katedry mortalistyki, a Honoriusza, mimo że młodszego, traktował niemal jak bożyszcze.

Tymczasem Monda interesowało tylko jedno. Stan Allegry. Mówił szybko, gestykułował więcej niż zwykle i prosił o jakiegokolwiek informacje. Miał nadzieję, że uzyska je w zamian za pełną współpracę z organami ścigania. Rzeczywiście, gdy podpisał kilka protokołów, do samochodu zajrzał zastępca komendanta wojewódzkiego. Był to wysoki, postawny mężczyzna z niskim czołem oraz podkrążonymi oczami.

– Pańska przyjaciółka trafiła do szpitala – oznajmił tonem miłosiernego Samarytanina. – Ale zdaje się, że skończyło się jedynie na potłuczeniach. Nie zgodziła się zostać na obserwację.

Mond westchnął.



– Co Bóg dał, tylko Bóg może odebrać, prawda? – zagadnął, oddając jednemu z policjantów długopis. – A może leciało to jakoś inaczej?

– Na waszym miejscu rzuciłbym parę groszy na tacę i się porządnie pomodlił. Mieliście mnóstwo szczęścia.

– Nadal mamy.

Mond położył dłonie na kierownicy i rozciągnął mięśnie karku.

– Czy będę jeszcze do czegoś potrzebny?

– Na razie nie. Ale proszę...

– Tak, wiem. Pozostanę do waszej dyspozycji. Jak zawsze.

Prokurator ukradkiem mu się uklonił, komendant niedbale machnął ręką, a sierżant zmył się jak niepyszny z całym naręczem dokumentów pod pachą.

Honoriusz nabrał głęboko powietrza. Rozejrzał się za kapeluszem, który odnalazł pod fotelem pasażera. Nałożył go, sięgnął do komputera pokładowego i wybrał numer Allegry. Jednocześnie powoli dodał gazu.

Droga wciąż nie była uprzątnięta, wokół wraku pick-upa uwijali się technicy, a na poboczu stał rząd radiowozów. Przy jednym z nich młody policjant właśnie coś raportował komendantowi. Ten gniewnie potrząsnął głową i wierzchem dłoni otarł czoło. Mond starał się cokolwiek wyczytać z ruchu jego ust, ale było zbyt ciemno.

– Halo? – Z głośników dobiegł go osłabiony głos Allegry. – Honoriusz?

– Mów, jak się czujesz.

– Przyjedź po mnie do Uniwersyteckiego.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz dalszych badań? Może byłoby lepiej, gdybyś...

Szmit cicho jęknęła.

– Proszę cię, nie mów tyle. I zamów stolik w tym pubie, do którego chodzisz.

– Piwo i burger?

– Aha. I powiedz, że to już koniec.

– Owszem, nie zajmujemy się poszukiwaniem zaginionych.

Mond niemal natychmiast zapomniał o komendancie oraz jego zaskoczonej minie. Skierował się najkrótszą trasą w stronę ulicy

Jakubowskiego.

– Mam lepszy pomysł od wieczoru w hałaśliwym pubie – rzucił, przeciągając się w fotelu. – Zaufaj mi.



– Co to jest, u licha?

– Pyta się o to kobieta, która próbowała ayahuaski?

– Ayahuasca to święty napar dla wielu plemion Amazonii. W Polsce również organizuje się specjalne wyjazdy do lasu, aby popробować go na łonie natury.

– Chyba to nie do końca zgodne z prawem.

Allegra wzruszyła ramionami. Na policzku miała naklejony plaster, a prawą dłoń poniżej palców szczelnie owijał bandaż. Wszystkie pobieżne badania wskazywały jednak, że jest jedynie potłuczona. Prawdziwy cud, biorąc pod uwagę, że z pick-upa wypadła przy prędkości niemal pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Siedzieli w pokoju hotelowym Monda, po obu stronach okrągłego stolika, na którym piętrzył się stos rozmaitych burgerów. Honoriusz kupił je przed zajechaniem do szpitala i kazał zapakować na wynos. O dziwo nadal były ciepłe, a ich konsystencja nie upodobniła się do gumowej piłki.

Odkąd się zobaczyli ze Szmit, ani razu nie wspomnieli o wydarzeniach sprzed kilku godzin. Unikali tego tematu jak ognia, rozmawiając o czym popadnie. Gdy znaleźli się w pokoju, Mond rozpakował burgery i wyciągnął coś z biurka.

– Idź na łóżko – rzucił łagodnie.

Allegra obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem.

– Nie jesteś przypadkiem zbyt pewny siebie? Nie zważasz na potłuczenia?

– Będzie ci wygodniej. Poza tym widzę, że siedzisz, jakby przetrącono ci wszystkie kości.

– Wyjaśnisz mi wreszcie, co to jest?

Honoriusz nie odpowiedział. Bez słowa zaczekał, aż Szmit przeniesie się na łóżko, i usiadł przy niej na podłodze. Obrócił w dłoni bardzo długą,

cienką fajkę z kości słoniowej. Do zakrywanego otworu wsunął niewielką grudkę ciemnej substancji, po czym podgrzał ją zapalniczką.

– Czy to...

Powoli się zaciągnął i odchylił do tyłu głowę.

– Wysuszony sok mleczny z niedojrzałych makówek maku lekarskiego – wyjaśnił, podając Szmit fajkę. – Tylko nie zaciągaj się zbyt głęboko.

Allegra wbiła w niego niedowierzające spojrzenie.

– Opium?

– Taką nazwę też gdzieś słyszałem.

– Przecież to cholernie uzależnia. Niszczy człowieka jak... jak...

– Życie? – zakończył za nią. – Nie martw się, od jednego razu się nie uzależnisz, a nawet jeśli ci się spodoba, nigdzie go nie zdobędziesz.

– Skoro ty go zdobyłeś, i ja będę mogła.

– Ja sam to przyrzędam.

Mond się uśmiechnął. Obrócił się i spojrzał na Szmit z ukosa. Po raz pierwszy na jego twarzy dostrzegła odprężenie oraz wyraz błęgiego zadowolenia.

– Tylko dzięki temu przez chwilę nie boli... – wyszeptał, odpowiadając na jej nieme pytanie. – Rozumiesz? Permanentny ból potrafi zabić.

– Permanentny ból? Nic mi nigdy nie mówiłeś.

Wzruszył ramionami.

– Genetyka – rzucił, jakby stwierdzał coś oczywistego. – Moja kuzynka cierpi na analgezję wrodzoną. Nie wie, co to ból, co samo w sobie jest cholernie niebezpieczne. Zabawne, prawda? Mnie los przeznaczył coś całkowicie odmiennego, a najprawdopodobniej wynikającego z uszkodzenia tego samego genu.

– I chcesz powiedzieć, że ciągle odczuwasz ból?

– Teraz już prawie nie.

Mond przymknął oczy i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Allegra nie spodziewała się usłyszeć od niego podobnej historii. Właściwie nie spodziewała się usłyszeć jakichkolwiek prywatnych zwierzeń. Krótkie, niemal naukowe wyznanie sprawiło, że sama poczuła się zdecydowanie swobodniej. Mimo to zafrasowana ukradkiem łypnęła na towarzysza.

– To dobrze, że chociaż teraz jest lepiej.

Powoli przybliżyła fajkę do ust. Przyjrzała się jej bogatemu grawerunkowi przedstawiającemu grupę kobiet o azjatyckich rysach. Wszystkie wydawały się odprężone i roześmiane. Dotknęła wargami ustnika w momencie, gdy pokój wypełnił dzwonek jej telefonu.

– Cholera, muszę go wyłączyć. – Oddała Mondowi fajkę i podniosła się z łóżka. – Dość na dzisiaj.

Rozejrzała się w poszukiwaniu komórki. Niebawem znalazła ją w kieszeni podartego palta i z niechęcią zerknęła na wyświetlacz. Jej twarz momentalnie zmieniła wyraz, całkowicie porzucając błogie rozleniwienie sprzed kilku sekund.

Allegra natychmiast odebrała. Przez chwilę uważnie słuchała, wreszcie podtrzymała się skraju biurka i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Co takiego? Przecież to niemożliwe...

Zerknęła na Monda. Mężczyzna, słysząc jej słowa, ciężko westchnął i z trudem wgramolił się na skraj łóżka. Ponuro zwiesił głowę.

– Co się stało? – zapytał niemal bezgłośnie.



Mond, wciąż siedząc na podłodze, przysłuchiwał się rozmowie Allegrzy. Nie miał wątpliwości, że telefonował Pudwel i że nie przekazywał jej dobrych wieści. Z przymkniętymi oczami starał się zebrać myśli. Gnębiło go dziwne przeczucie, że właściwie przez ostatnie pół godziny spodziewał się tego telefonu. Dlaczego? Kolejne pytania pojawiały się w błyskawicznym tempie i pękały niczym bańki mydlane, nie znajdując odpowiedzi. Musiał przynajmniej spróbować je poznać. Bez względu na to, że właśnie fala przyjemnego ciepła rozlewała się po jego ciele i wnikała w każdy jego zakamarek.

– Zapytaj doktora, czy zbadano już zwłoki wszystkich ofiar Engela – wymamrotał leniwie.

– Co takiego? – Allegra nachyliła się tuż nad nim. – Mów głośniej.

– Daj mi słuchawkę – poprosił.

– Ale...

Mond wyciągnął dłoń i powoli otworzył oczy. Utkwił w Szmie rozmarzone, ale pełne determinacji spojrzenie. Kobieta bez słowa podała mu telefon.

– Panie doktorze, zajmę tylko sekundę.

– Halo?

– Już, już... – Odchrząknął i zebrał wszystkie siły, by odezwać się normalnym tonem.

Przez kolejne trzy minuty uzyskał dość informacji, by zrozumieć, że luki historii, które uzupełniał do tej pory domysłami, powinny zostać załatane całkowicie inaczej. Strzelał na oślep, wiedziony instynktem, ale nie logiką. Jedynym, co zawsze było pewne, była śmierć. I choć czasem robił to niechętnie, tylko tego powinien się trzymać.

Wreszcie, kiedy się rozłączył, jego twarz wykrzywił grymas rozczarowania. Ciężko sapnął i podparł się dłonią o brzeg łóżka. Ból,

o którym niemal nigdy nie mówił i o którym starał się jak najmniej myśleć, ustąpił tylko nieznacznie. Co gorsza, wiedział, że bez kolejnego zaciągnięcia się aromatycznym opium, mimo chwilowej euforii, ponownie upadnie po tej gorszej stronie płotu. Kiedyś pragnął umrzeć na haju, ale przynajmniej na razie to marzenie minęło. Wiedział też, że jeszcze jedno pociągnięcie fajki skończyłoby się kompletnym odlotem. Nie dałby rady powstrzymać się przed kolejnymi.

Sytuacja wymagała gratyfikacji. Tęsknie zerknął na fajkę, lecz jednocześnie wyszukał w kieszeni lufkę oraz opakowanie montecristo. Odpalił jednego i wypuścił kłęb dymu. Zbierając wszystkie siły, oparł się plecami o łóżko. Podciągnął pośladek tak, że opadł na materac, po czym ciężko westchnął.

Allegra stanęła tuż obok. Z zaciśniętymi ustami obserwowała jego zmagania. Nie potrafiła się domyślić większości rozmowy, którą Honoriusz odbył z Pudwelem, ale na razie powstrzymywała się przed drażnieniem tego tematu. Zamiast tego wyciągnęła ku niemu lewą, nieobandażowaną dłoń.

– Jesteś w stanie się podnieść?

– Tak, jasne.

Mond kilka razy dość mocno poklepał się po policzkach i głośno chuchnął. Wreszcie intensywnie zamrugął.

– Po dwóch albo trzech zaciągnięciach byłbym bezużyteczny, ale na razie jeszcze kontaktuję.

– Na pewno?

– Tak mówi doświadczenie.

Z trudem się podniósł i natychmiast zatoczył, wpadając na biurko. Przymknął oczy, po czym raz jeszcze się spoliczkował.

– Wszystko pod kontrolą. Słowo daję.

– Nie byłabym taka przekonana.

– To tylko jedno zaciągnięcie. Rozbudzające ochotę i obiecujące wiele na przyszłość, ale pozostawiające głównie niesmak. Zupełnie jak seks przedmałżeński.

Allegra zerknęła na niego z ukosa i podała mu szklanekę wody. Mond wychylił ją duszkiem.

- Bredzisz. Powinnam cię zdrowo szmitnąć w łeb.
- Nie, czekaj. Daj mi chwilę.
- Na co?

Mond podszedł do barku i niezdarnie przy nim kucnął. Wyciągnął ze środka butelkę absyntu, nalał go do szklanki po wodzie, po czym natychmiast wypił. Pośpiesznie się wyprostował i o dziwo nawet się nie zatoczył. Jego wzrok ponownie się wyostrzył, a twarz stężała.

– Tujon zawarty w piołunie neutralizuje działanie opioidów – mruknął, widząc zaskoczone spojrzenie Allegry. – Chemia czasem się przydaje.

– Przecież te wszystkie współczesne absynty nie mają substancji psychoaktywnych.

– Wszystkie, jakie kupujesz w sklepie, z metkami oraz akcyzą. Ten ich nie ma, więc głowę daję, że nie został wykastrowany.

Uśmiechnął się, choć teraz jego uśmiech był pozbawiony niedawnej szczerości. Ponownie zagościło w nim coś, czego dotąd Szmit nie rozumiała. Ból. Permanentny ból przebijający nad wszelkie uczucia oraz doznania. Nie chciała jednak pokazać, że zwróciła na to uwagę.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytała na pozór niedbale.

– Poza tym, co zapewne również usłyszałaś od Pudwela? Że Albert nie żyje i że ktoś usiłował wykraść ciało Wiktora?





– Ty prowadzisz.

Mond podał Szmit kluczyki do jaguara. Mimo że po drodze na parking lodowaty wiatr całkowicie go ocucił, wołał nie ryzykować.

– Ależ mnie kopnął zaszczyt. I to dzięki ćpanku.

– Tylko błagam, pamiętaj, że ma pięciolitrowy silnik, a byle muśnięcie pedału gazu powoduje, że... Dobrze, dobrze już się zamykam.

– Spowiadasz się przed wsiadaniem czy po zakończeniu jazdy?

Allegra zajęła miejsce i uruchomiła auto. Energicznie zapięła pasy, co wzmogło ból w stłuczonym boku. Skrzywiła się.

– Możemy wziąć taksówkę – zaproponował Honoriusz. – Poza tym ta twoja obandażowana dłoń...

– Poradzę sobie. To motto, które przyświeca mi od kilkunastu minut, gdy zobaczyłam cudowne ocucenie pewnego ateusza.

– To tylko chemia, nie cud. Zresztą jak zawsze.

Allegra z przesadną ostrożnością wytoczyła się z parkingu i włączyła do ruchu. Nie uruchomiła nawigacji, zdając się na własną znajomość trasy.

– Sądzisz, że nas wpuszczą? – zagadnęła po chwili. – Hej, nie zasypiaj!

– Nie zasypiam. Po prostu myślę z zamkniętymi oczami.

– Pytałam, czy jesteś pewny, że nas wpuszczą o tej porze do środka?

Mond wzruszył ramionami.

– Zostawiam to tobie. Dziś udowodniłaś, że masz niezgłębione pokłady kreatywności. Tymczasem w trakcie mojego procesu wychowawczego popełniono ten kardynalny błąd, że ułożono mnie na dżentelmena.

– Boże, ty nadal bredzisz.

– Mówię całkowicie poważnie. Dżentelmeni w dzisiejszych czasach nie mają racji bytu. Choć miło jest czasem zaliczyć się do wymierającego gatunku i móc obserwować samozagładę.

Allegra ukradkiem skręciła klimatyzację do szesnastu stopni w całym pojeździe. Powietrze delikatnie szumiało, roznosząc z wentylatorów ożywczy chłód.

Od zakończenia rozmowy z Pudwelem Mond sprawiał wrażenie w miarę ogarniętego, lecz Szmit za nic w świecie nie mogła pojąć jego dedukcji. Kolejne rzucane przez niego tematy nie zgrywały się w żadną logiczną całość. Mimo to Honoriusz wydawał się jednocześnie zły i podniecony. Nie wiedziała tylko, na ile to kwestia przemyśleń, a na ile skutek zażytego opium.

– Wytlumaczysz mi te rewelacje od Pudwela? – podpytała po raz kolejny.

– O jaki czas zgonu dopytywałeś?

– Poprzednich ofiar. Pamiętasz, że były zmumifikowane i nie mogłem oszacować nawet przybliżonej daty śmierci.

– Tak, co z tego?

– Laboratorium wykonało całą serię badań, od izotopów, przez chemiczne analizy mikrośladów na ubraniach, po... – Mond spokojnie uniósł dłonie.

– Sedno jest takie, że mamy do czynienia z dwiema seriami zabójstw dokonanych w krótkich odstępach czasu.

– Po trzy ofiary?

– Właśnie. Dzieli je dłuższa przerwa. Większość seryjnych zabójców przechodzi co jakiś czas w stan uśpienia, ale w tym wypadku mamy do czynienia z przesadną regularnością.

– Może to zabójca o typie kompulsywnym? Wiesz, z tych świrów, co stąpają w ten sposób, żeby nie nadepnąć na szczelinę między płytami chodnikowymi.

– Nie.

– Mówisz tak po prostu „nie”?

Mond wychylił się, by zerknąć na prędkościomierz, co sprawiło, że Allegra natychmiast spiorunowała go wzrokiem. Wrócił na swoją pozycję i oparł głowę o zagłówek.

– Pewne zamieszanie wprowadzają daty zaginięć – odezwał się po chwili.

– Rzecz w tym, że niektóre poszukiwania wszczynano dopiero po kilku

tygodniach, a również w tym, że ucieczka Berga pomieszała Engelowi szyki.

– Nic z tego nie rozumiem. Czy masz konkretny pomysł, jak odnaleźć Bernarda, póki jest szansa, że jeszcze żyje?

Mond nie odpowiedział. Po raz kolejny wybrał numer Laseckiej, do której przez cały dzień nie miał czasu zadzwonić. Mimo późnej pory coś go niepokoiło, lecz kobieta nie odbierała. Zapewne jak większość mieszkańców Bobolina już spała.

– Pomyliliśmy się, Allegro – wycedził, po czym szybko się poprawił. – A raczej to ja cholernie się pomyliłem.



– To moja legitymacja prasowa, to namiary na związek, a to telefon do reprezentującego mnie adwokata. Numer alarmowy na policję pan zna.

Allegra schowała kolejne kartoniki i spojrzała wyzywająco na stróża nocnego. Siwy, przygarbiony mężczyzna został zapewne zatrudniony w ramach projektu wsparcia zawodowego dla osób starszych lub inwalidów. Kuśtykał na jedną nogę, a mówiąc, mrużył oczy tak bardzo, że zostawały tylko cieniutkie szparki.

– Kierownik Bielska na miejscu? – Szmit nie pozwoliła mu się odezwać.  
– Możesz pan nas do niej prowadzić lub ściągnąć ją tutaj.

– Pojechała do domu i zapewne już śpi.

– Przecież jeszcze nie ma dziewiątej!

– Była potwornie zmęczona, a jutro czeka ją mnóstwo obowiązków.

Stróż niepewnie przenosił wzrok z Monda na Allegrę i z powrotem. Znajdowali się w portierni Domu Ciszy, światło na korytarzach było przygaszone, a budynek sprawiał wrażenie opuszczonego.

– Czy z pracowników jest tu tylko pan? – zagadnął Honoriusz. – Nikt nie zajmuje się pensjonariuszami?

– Jest pielęgniarka oraz dyżurny wychowawca. Niedługo będzie cisza nocna.

Cisza nocna w Domu Ciszy? To brzmiało absurdalnie. Mondowi przemknęło przez myśl, jak dziwnie musi być pracować w tym miejscu. Żadnych rozmów, żadnych śmiechów, a nawet żadnego płaczu. Był przekonany, że głuchoniemi nawet płaczą bezgłośnie.

– Prowadź nas do archiwum.

– Ale...

– W przeciwnym razie będę musiała zadzwonić po policję – weszła stróżowi w zdanie Allegra. – Utrudnianie pracy dziennikarskiej oraz kontroli społecznej nad ośrodkiem to przestępstwo.

– Zagrożone karą główną – wtrącił Mond.

– Główną? O czym pan mówi?

– Stryczek, pluton egzekucyjny, kamieniołomy...

Szmit ukradkiem kopnęła Honoriusza w kostkę.

– Kolega jedynie sobie żartuje. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Oczywiście nie chcemy mówić o żadnych karach, tylko współpracować. Mam nadzieję, że nie zepsujemy panu dyżuru, ale obiecuję, że przynajmniej nie będziemy przeszkadzać.

– I tak chyba powinienem się skontaktować z szefostwem.

– Obawiam się, że pozostała z niego jedynie pani Bielska. Swoją drogą, czy kryminaliści już skończyli robotę?

– Tak. Odjechali, gdy zaczynałem zmianę.

– Nie napracowali się. Choć serce boli, że nie udało się uratować tego waszego podopiecznego.

– Alberta. – Stróż zagryzł wargę i ponuro kiwnął głową. – To był bardzo dobry chłopak, tak samo jak Wiktor. I Bernard. Żadnych kłopotów.

– Właśnie, Bernard. – Allegra pstryknęła palcami. – Robimy wszystko, aby pomóc policji w ustaleniu pewnych faktów. Czas ucieka i szanse odnalezienia go żywego nieustannie maleją.

– Ponoć już zatrzymano podejrzanego?

– Tak, ale problem leży gdzie indziej.

– Nie rozumiem. Przecież wystarczy go zapytać, gdzie przetrzymywał Bernarda.

– Po pierwsze, on uparcie odmawia wyjaśnień. Po drugie, podejrzewamy, że Bernard mógł zostać naszprycowany środkami, po których bez odtrutki umrze w ciągu kilku godzin.

Mond spojrział na nią pytająco, ale ponowny kopniak Szmit wybił mu z głowy wyrażanie wątpliwości na głos. Wyraził je za to stróż.

– Co takiego, kilka godzin? Mój Boże...

– Dlatego musimy ustalić pewne fakty, a pan musi nam w tym pomóc – rzuciła z naciskiem Allegra. – Każda sekunda pańskiego wahania to sekunda odebrana Bernardowi. Rozumie pan?

Stróż rozumiał. Ciężko wzdychając, odwrócił się i sięgnął do szuflady pod kontuarem. Ponownie zmrużył oczy tak bardzo, że przez moment Allegra sądziła, iż źle się poczuł. Jednak nim zdecydowała, czy powinna biec mu na pomoc, mężczyzna potrząsnął pękiem kluczy.

– Któryś z nich jest od archiwum – oznajmił. – Zaraz przekonamy się który.

Honoriusz z niecierpliwością poprawił węzeł krawata i założył ręce za plecy. Wiedział, czego chce szukać, lecz nie miał pojęcia, co odnajdzie.



Archiwum dzieliło się na część elektroniczną, składającą się z dwóch stanowisk komputerowych podpiętych do wewnętrznego systemu, oraz na część fizyczną, czyli trzy regały z półkami uginającymi się pod stosami zakurzonych akt. Zgodnie z informacją wywieszoną na kolumnie podpierającej strop, cyfrowe zbiory obejmowały całą bazę danych do roku dwa tysiące jedenastego. Dalsze prace były w toku.

– Czeka nas trochę zabawy. – Mond odsunął fotel przy jednym z komputerów. – Siadaj, moja droga.

– Opanuj się – syknęła Szmit.

– Ale ja jestem całkowicie opanowany. To ty popadasz w paranoję, choć objawy paranoidalne to ponoć cecha opiumistów. A może ukradkiem się zaciągnęłaś? Przyznaj się.

– Wcale nie.

– Na pewno? Zaczynam podejrzewać, że do efektu wystarczą same wyziewy.

– Bierzmy się do pracy.

– Nie powiesz: „Szmituj się do roboty”? Zawsze lubiłem tę sentencję.

– Nie.

– Proszę.

Wzrok Allegry jednoznacznie dał Mondowi do zrozumienia, że nie ma co liczyć na jej łaskę. Jednocześnie sprawił, że mężczyzna również usiadł na fotelu i z powagą spojrzał na stróża.

– Może pan nas zostawić. Poradzimy sobie.

– Właśnie. Damy radę, proszę się nie kłopotać.

Stróż był wyraźnie ukontentowany tymi zapewnieniami. Zostawił ich, dodatkowo tłumacząc się koniecznością pełnienia dyżuru w recepcji oraz obserwowania kamer monitoringu. Jednocześnie zastrzegł, że jedna z nich umieszczona jest właśnie w archiwum.

– Nie nakruszymy tu popcornem – krzyknął Mond, gdy ochroniarz zniknął w głębi korytarza. – Obiecuję.

– Przez ciebie wszystko zaraz szlag trafi.

– Przez to, że mam nieco lepszy humor niż zwykle?

– Że zachowujesz się jak nienormalny. – Allegra przysunęła się do biurka i włączyła ekran komputera. – Czego właściwie szukamy? Tylko błagam, niech to nie będzie jakiś wytwór narkotycznych wizji.

– Żadnych zielonych wróżek? – Mond całkowicie poważnie skinął głową i przebrał palcami po klawiaturze. – Potrzebuję danych o wszystkich pensjonariuszach. Zwłaszcza o tych z pokoju Bernarda oraz o nim samym.

– Coś konkretnego?

– Daty przyjęć oraz powód, dla którego trafili właśnie do tego ośrodka.

Allegra natychmiast zabrała się do pracy. Sięgnęła po myszkę i zaczęła zagłębiać się w meandry systemu.

– Ciekawe, czy przez RODO albo inne idiotyzmy do ich przejrzenia nie potrzeba specjalnych uprawnień.

– Nawet jeśli, mam nadzieję, że nikt o tym nie pamięta.

Przez kolejne minuty niewielkie archiwum wypełniała cisza, przerywana jedynie stukaniem klawiatur oraz odgłosem kliknięć starych myszek. Nagle Mond odsunął się od komputera i ruszył ku regałom.

– Co robisz?

– Znalazłaś coś? – odpowiedział pytaniem na pytanie, nawet się nie odwracając.

– Jeszcze nic, ale to chyba kwestia rozgryzienia systematyki...

– Nie sądzę.

Allegra wbiła w niego pytające spojrzenie, lecz Honoriusz nie zwracał na nią uwagi. Wyciągał kolejne teczki i z hukiem rzucał je na podłogę.

– Archiwistyka to taka nauka na odwrót – odezwał się po chwili. – Skoro napisano, że cyfrowe zbiory obejmują całą bazę danych do roku dwa tysiące jedenastego, musimy na to spojrzeć z wypaczonej perspektywy. Przynajmniej na „od” i „do”.

– O czym ty teologizujesz?



– O tym, że baza danych zawiera wszystko od czasów nam współczesnych, a nie od chwili założenia ośrodka. To, czego szukamy, nie zostało jeszcze wrzucone do systemu.

Po chwili namysłu Allegra uznała, że musi się z nim zgodzić. Zamknęła przeglądarkę, po czym dołączyła do Monda przy przeglądaniu kolejnych teczek. Przez następne dwa kwadranse zbadali zawartość kilkunastu z nich, nie trafiając na nic ciekawego.

– To bez sensu – fuknęła zrezygnowana. – Nawet nie wiem, co konkretnie chcesz znaleźć.

– Argumenty.

– Jakie argumenty, do licha?

– Po prostu, mocne argumenty.

– Cholera, Honoriuszu, ty naprawdę nadal jesteś pod wpływem tego świństwa.

– Wcale nie. – Mond nagle wyciągnął z teczki jakąś kartkę i wskazał na nią tryumfalnie. – Widzisz?

Allegra wzięła ją do ręki, po czym pobieżnie przebiegła po niej wzrokiem.

– Niby co tu mamy istotnego?

– Nic. Rzecz właśnie w tym, czego tu nie ma, a nie, co jest.

Zagadkowy ton Honoriusza sprawił, że Szmit przewróciła oczami. Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Jednak nim zdążyła dopytać o cokolwiek więcej, Mond chwycił ją za dłoń i pociągnął do wyjścia.

– Chodź, musimy się śpieszyć. Nie ma czasu do stracenia.



Mond zbywał prośby Allegry o jakiegokolwiek wyjaśnienia. Gdy pędzili do samochodu, wyciągnął komórkę i wybrał numer prokuratora. Szczęśliwie w trakcie przesłuchania wziął od niego wizytówkę. Bez konsultacji z prowadzącymi śledztwo znaleźliby się w kropce. Musiał liczyć na wzgląd na dawne czasy, przykurzoną renomę oraz wyraźną słabość Franciszka Werbla do jego skromnej osoby.

Po krótkiej kurtuazyjnej wymianie zdań przeszedł do sedna. Werbl słuchał go z uwagą, ale nie bardzo rozumiał, do czego zmierza Mond. Ten wszelkie podpytywania zbywał tym samym argumentem. Nie miał zamiaru popełnić kolejnego błędu i wysnuć zbyt pośpiesznych wniosków. Prosił o pozwolenie na zweryfikowanie czegoś, jakby był uczestnikiem śledztwa. W charakterze biegłego, kryminalistyka albo konsultanta, jak sobie tego prokurator zażyczy. Gotów był mu nawet sprzedać duszę, co Allegra skwitowała wymownym westchnieniem.

Wreszcie Werbl uległ. Najwyraźniej musiał wiele słyszeć o Honoriuszu i darzyć go znacznym zaufaniem, gdyż obiecał mu wszelką możliwą pomoc. Być może było to spowodowane również tym, że przynajmniej przejściowo nie miał nikogo, kto wskoczyłby na miejsce Berga jako prowadzącego śledztwo. Tymczasem komisarz uparcie odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień.

– Odnajdźcie Bernarda żywego – rzucił na koniec. – Żebym z całej sprawy wyszedł przynajmniej z jednym sukcesem.

– Zrobię, co mogę – zapewnił Mond, po czym się rozłączył. – Jak zawsze.

Ostatnie zdania wymienili już w samochodzie, gdy Allegra dostała jasne dyspozycje jazdy do szpitala. Jak się okazało, Berg trafił do pojedynczej sali, piętro niżej od tej, w której przed kilkoma godzinami przebywała Szmit. Mimo późnej pory niemal bez problemu udało się im przedrzeć na właściwy oddział, na którym zderzyli się z poważną barierą. Policjantem

mierzącym niemal dwa metry wzrostu i mającym niewiele mniejszy obwód klatki piersiowej.

– Wy gdzie? – warknął goryl.

– Do Berga. Wieczorami zazwyczaj popijamy brandy i dzielimy się opowieściami po dniu służby. – Mond usiłował zdać się na bezczelną pewność siebie i po prostu minąć przeszkodę, ale tym razem to nie poskutkowało. Policjant chwycił go za ramię.

– To zabronione. Żadnych odwiedzin, żadnych rozmów, żadnych wizyt.

– Znalazłbym kilka lepszych synonimów.

– Hę?

Mond nie czekał, aż Allegra podejmie interwencję. Wolał nie dopuścić, by wielkolud choćby musnął jakąkolwiek część jej potłuczonego ciała.

– Mamy pozwolenie od prokuratora – sapnął, jakby była to oczywistość.

– Proszę je pokazać.

– To pozwolenie ustne. Może pan do niego zadzwonić.

Policjant przez chwilę się wahał. Wreszcie zerknął na zegarek i zdecydował, że w tej sytuacji powinien zachować szczególną ostrożność. Wyciągnął z kieszeni telefon, po czym, nieco się ociągając, wybrał numer.

– Chwileczkę. Proszę zaczekać na zewnątrz.

Zamknął drzwi prosto przed twarzami Allegry i Monda. Po chwili z sali dobiegł ich odgłos przyciszonej rozmowy, a po niespełna minucie drzwi ponownie się otworzyły.

– Zapraszam do środka. Macie jednak tylko kilka minut, czego przestrzegać wyraźnie nakazał lekarz prowadzący.

– Jasne.

Mond przepuścił Szmit przodem i wkrótce stanęli przed łóżkiem, na którym leżał Berg. Komisarz nie miał koszuli, a do jego nagiej piersi przyczepiony był cały szereg elektrod. Miał podkrążone oczy oraz bandaże owinięty wokół głowy. Spojrzał na nich obojętnym wzrokiem.

– Znowu wy? – parsknął. – Spieprzajcie.

Szarpnął się, lecz nie zdołał się mocniej poruszyć. Dopiero teraz Honoriusz dostrzegł, że Berg jest przykuty za nadgarstek do bocznej ramy solidnego łóżka.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie się znajduje Bernard – odezwał się, zerkając na zawieszony obok ekran. Parametry życiowe komisarza zdawały się w normie. – Dokąd go zabrałeś?

– Ja wam tego nie powiem.

– Nie chcesz polepszyć swojej sytuacji? Wygląda wyjątkowo kiepsko, więc lepiej byłoby zgarnąć jakiegokolwiek atuty.

Berg delikatnie wzruszył ramionami, co i tak wywołało grymas bólu na jego twarzy.

– Nie zamierzam się podlizywać sądowi tym, że zgodziłem się pójść na współpracę.

– Wolisz gnść do końca życia w pierdlu?

– A czy mogę liczyć na cokolwiek innego?

– Może. – Mond westchnął. – Szczególnie jeśli kolejne pytania o Bernarda nadal będą wywoływały skoki ciśnienia. Szpitalny wykrywacz kłamstw jest dobry jak każdy inny.

Berg, nie podnosząc się, zerknął na ekran. Po chwili ponownie przeniósł wzrok na Honoriusza.

– Idź do piekła, Mortalisto.

– Nie wierzę w piekło. Chyba że nazywamy nim świat, który nas otacza, ale to brzmi strasznie górnolotnie.

– Po prostu pieprz się. Ty i ta twoja niunia.

Mond westchnął i wyjął spod łóżka metalowy stołek. Skinął, by Szmit usiadła na drugim, po czym sam ciężko spoczął. Przez chwilę miał zamknięte oczy i Allegra pomyślała, że opium znów o sobie dawało znać. Jednak gdy Mond rozwarł powieki, w jego wzroku dostrzegła całkowitą trzeźwość. Spojrzał wprost na Berga.

– Wiem, że jesteś jedynie niewinną ofiarą – wyszeptał. – I wiem, jak to udowodnić.



Berg z zainteresowaniem przypatrywał się Honoriuszowi. Jego puls się podniósł, a tętno przyśpieszyło. Nie mógł tego ukryć i wydawało się, że najchętniej zerwałby z siebie wszystkie elektrody. Głęboko nabrał powietrza, jakby w ten sposób mógł osłabić ich połączenie z jego wnętrznościami. Allegra również zdawała się całkowicie wstrząśnięta i ze zmarszczonym czołem oraz wytrzeszczonymi oczami oczekiwała rozwoju wydarzeń. Tymczasem Mond, zadowolony z wrażenia, jakie wywarł, kontynuował ofensywę.

– Jestem pewny, że uda mi się nakłonić Werbla, aby nie wnosił nawet o tymczasowe aresztowanie – oznajmił z pełnym przekonaniem. – Oczywiście, o ile będzie pan z nami całkowicie szczery.

Berg, starając się opanować, odsapnął.

– Dlaczego miałbym wam zaufać?

– Bo nie ma pan wyjścia.

– Mam. Moi adwokaci...

– Wierzy pan adwokatom tak bardzo, że zdecydował się na porwanie, byle tylko spróbować uciec. Niech pan nie będzie upartym idiotą.

Ostatnie zdanie Mond wypowiedział podniesionym, zirytowanym tonem. Zerknął na zegarek i spojrzął prosto w oczy komisarza.

– Jeśli zamierza pan iść w zaparte, nie będę tracił czasu – oznajmił, podnosząc się ze stołka. Ściągnął poły płaszcza i zerknął na Allegrę. – Mam dość uczenia ludzi, by zdali się na rozum.

– Czekaj! – Berg chciał się obrócić na bok, lecz zapomniał o kajdankach. Szarpnął nimi tak mocno, że całe łóżko jęknęło. – Co chcesz wiedzieć?

Honoriusz natychmiast wrócił na stołek. Przysunął się jeszcze bliżej komisarza, tak że znajdował się w zasięgu jego ręki.

– Teraz przejdziemy na ty, tak będzie wygodniej.

– Już to zrobiłem. I nie, nie mam nic przeciwko.

Mond skinął głową.

– Dlaczego nie zamierzałeś się bronić? – zapytał oschle. – Wystarczyło, żebyś ponownie wrócił do czasów porwania, ale ty przecież nigdy nie wydałeś Engela.

– Do niedawna nie wiedziałem, że to on mnie porwał.

– Jak to?

– Udało mi się uciec w styczniu, gdy były piekielne mrozy. W stanie skrajnej hipotermii znaleziono mnie w lesie, ale z okresu, kiedy przebywałem w zamknięciu, niemal niczego nie pamiętałem. To zaczęło się zmieniać całkiem niedawno.

– Właśnie. – Mond mlasnął z zadowoleniem. – Tego elementu mi brakowało. W jaki sposób to się zmieniło?

– Ktoś wysłał na mój adres zdjęcia piwnicy. Najpierw nie wiedziałem, o co chodzi, ale następna paczka przywróciła mi kawał wspomnień.

– Co w niej było?

– Kolejne zdjęcia.

Berg ostrożnie podniósł się na poduszce o tyle, o ile pozwoliły mu na to kajdanki. Usiłował się obrócić, ale to było niewykonalne. Mond głośno westchnął.

– Proszę się pośpieszyć, przypominam, że tylko od pana zależy to, czy uda się uratować człowieka pozostającego w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Zdjęcia przedstawiały ciała ofiar. – Komisarz przełknął ślinę i spojrzał w stronę zasłoniętego okna. – Ohydnie zbezczeszczone zwłoki dwóch chłopców, z którymi mnie przetrzymywano. To było jak podróż w czasie. Ktoś ich zabalsamował.

– To wiemy, proszę mówić dalej.

– Te zdjęcia były kłopotliwe, rozumiecie? Znalezienie ich w moim domu mogło źle świadczyć, tym bardziej że kilka osób wiedziało o mojej amnezji i nie brało jej nigdy na serio.

– Tym bardziej że szybko połączył pan fakty i uświadomił sobie, że druga seria porwań nastąpiła po pewnym czasie. Miał pan wtedy siedemnaście lat, prawda?

Berg skinął głową.

– Gdyby mnie osądzono, mógłbym odpowiadać jak dorosły, a poza tym... Mond wymownie postukał palcem w szkiełko zegarka.

– Poza tym wiedziałem, że proces poszlakowy w podobnych sprawach często sprowadza się do zwykłego polowania na czarownice. Liczy się efekt. Sami wiecie, jak wyglądała sprawa krakowskiego łowcy skór.

– O ile mi wiadomo, zebrano pokaźny materiał dowodowy.

– W tym przypadku też by tak było. Wcześniej o zaginięciach niemal całkowicie milczano, ale tomów sprawy sukcesywnie przybywało. Co jakiś czas powracano do niej, licząc na rezultaty dziennikarskich prowokacji lub innych podobnych farmazonów.

Allegra otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zdała sobie sprawę, że jej wtręt byłby jedynie niepotrzebnym przedłużaniem rozmowy. Z rumieńcami na policzkach i bezwiednie uciskając potłuczony nadgarstek, przysłuchiwała się wymianie zdań mężczyzn. Z sekundy na sekundę tok rozumowania Monda stawał się dla niej coraz bardziej oczywisty. Tymczasem Honoriusz, aby ponaglić Berga, wyciągał kolejne karty z rękawa. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że raz zwraca się do komisarza oficjalnie, a raz na ty.

– Wcale nie przeniesiono pana dyscyplinarnie do wydziału kryminalnego – stwierdził. – Zrobiono to na pańską prośbę. Chciał pan mieć dostęp do akt oraz móc zareagować, gdyby wydarzyło się coś nowego. A niebawem coś takiego właśnie miało miejsce.

– Tak, powinienem się był trzymać od tego z daleka.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego pozwolił się pan w to tak bardzo uwikłać. Co innego dostęp do materiałów sprawy, a co innego wpadnięcie przez nią w panikę. Zachował się pan jak kompletny amator. Za przeproszeniem, jak kompletny dureń.

Berg się skrzywił i ciężko sapnął. Zawieszona nad łóżkiem maszyna zapiszczała, wskazując, że ciśnienie podpiętego do niej mężczyzny gwałtownie wzrosło.



– Po śmierci Engela pojawiłem się na miejscu jako jeden z pierwszych – ciągnął Berg. – Nie pomyślałem, że przez to jedynie realizuję plan zabójcy. Zresztą wtedy nie było jeszcze mowy o żadnych kolejnych zabójstwach. Mimo wszystko po morderstwie na cmentarzu szybko uświadomiłem sobie, że stąпам po kurewsko cienkim lodzie. Wystarczyło, aby ktoś zerknął w moje papiery i porównał je z dokumentacją sprawy. Miałbym przejebane.

– Chyba nie do końca rozumiem.

Komisarz westchnął. Przez moment milczał, wreszcie skinął głową, jakby podjął ostateczną decyzję, że może zaufać Honoriuszowi.

– Wstępując do służby, nie zająknąłem się o swojej historii. Ktoś sobie przypomniał o zbieżności nazwisk człowieka z Bobolina, wtedy rzuciłem o tym, że owszem, zaginął mój brat, i nikt już nie drążył tematu. Ckliwa anegdotka przeszła bez problemu, to nie były czasy komputeryzacji ani sprawdzania każdej cholernej sekundy dotychczasowego życia.

– Nie łatwiej było się po prostu przyznać do drobnych „nieścisłości” w formularzu sprzed parunastu lat?

– Może. Rozwazałem to.

Mond pochylił się ku Bergowi i zabębnił palcami w brzeg łóżka.

– Ale?

– Chciałem się wycofać, nabrać do wszystkiego dystansu i zdobyć jakiś dowód, który miałby moc alibi. Tyle że zamiast tego trafiłem na swoje zdjęcie wsunięte do kieszeni Krasowskiego. Spanikowałem i schowałem je, a potem... Kiedy je zobaczyliście, do głosu doszedł już tylko instynkt przetrwania.

– Chyba stracenia – cierpko wtrąciła Allegra.

– Zwał, jak zwał. Wydawało mi się, że trafiłem do jakiegoś pieprzonego koszmaru, w którym zaplanowano każdy mój ruch.



– Predestynacja.

Berg łypnął na Monda i kciukiem wskazał na Szmit.

– Czy ta kobieta jest od komplikowania i dorzucania dziwnych pojęć?

– Czasem tak ma. Choć uważa, że to z moją głową coś jest nie w porządku.

Allegra przyłożyła palec do ust, dając znać, że nie zamierza się już wtrącać. Mond oparł się łokciem o materac łóżka, a drugą ręką dotknął dłoni Berga. Pochylił się tak mocno, że ich czoła niemal się stykały.

– Co pamiętasz z porwania? – zapytał półszepem. – Powiedziałeś, że po tym, jak dostałeś zdjęcia, zaczęły wracać jakieś wspomnienia.

– Poszarpane i nieostre. Raczej pojedyncze zdjęcia niż film, rozumiesz? – Komisarz ciężko sapnął. – No i jeszcze ta cholerna piosenka.

– Piosenka?

– Engel śpiewał ją jak jakąś kołysankę. Raz za razem, aż do porzygania. Właściwie uleciała mi większość słów, ale wczoraj przypomniała mi się cała zwrotka.

Sprzęt medyczny zaczął cicho pikać, a Mond dostrzegł na czole Berga krople potu.

– Zacytuj ją, dobrze? – poprosił niemal bezgłośnie. – Muszę ją usłyszeć.

– Ale ja...

– Zrób to, by ocalić niewinnego człowieka.

– *Muzycy śmierci trójkami szli; Przez doby trzy zło wszystkie trzebią; Tak jak ich Pan przez trzy dni...* – Berg zawiesił głos i zamrugął. W jego oczach skrzyły się łzy, lecz łamiącym się głosem dokończył: – *Wszę chorobę i mór pogrzebią.*

Mond wyprostował się i mamrocząc, powtórzył kolejne wersy. Jego twarz wykrzywił grymas bezgranicznego skupienia. W tym samym momencie echokardiogram Berga przypominał sinusoidę, mężczyzna zaczął drzeć i spazmatycznie zaciskać dłonie. Ułamek sekundy później drzwi do sali się otworzyły i wpadli do niej lekarz oraz policjant.

– Do cholery, wszyscy na korytarz! – wrzasnął doktor. – Dawajcie tu pielęgniarkę.

Mond jeszcze raz zerknął na niemal całkowicie pobladłą twarz komisarza. Porozumiewawczo do niego skinął, choć zdawało się, że ten jest już nieprzytomny. Lekarz chwycił zestaw do reanimacji i zaczął go ładować.

– Trzymaj się... – wyszeptał, przepuszczając w progu Allegrę. Nasunął kapelusz i podążył za nią. – Dotrzymaj chociaż do chwili, aż poznasz tego, kto ci to zrobił. Dorwę go, obiecuję.



– Dokąd jedziemy? Możesz mi cokolwiek wytłumaczyć?

Niewiele brakowało, aby Allegra zaczęła szarpać Monda, byle ten podzielił się przemyśleniami.

– Czekał, pozwól mi się jeszcze skupić.

– Nad czym? Zastanawiasz się, czy na najbliższym skrzyżowaniu skręcić w lewo, czy w prawo?

– Mniej więcej.

Honoriusz uznał, że jest już całkowicie trzeźwy i prowadząc jaguara, nie będzie stanowił zagrożenia na drodze. Widział, że potłuczona dłoń doskwiera Szmit, a poza tym kobieta była zbyt roztrzęsiona, by skupić się na prowadzeniu. Przynajmniej tymi argumentami przekonał się, by sięść za kółko. No i oczywiście tym, że nie mieli ani sekundy do stracenia.

– Naprawdę uważasz, że Berg jest całkowicie niewinny? – dopytywała Allegra. – Mimo tych wszystkich dowodów? Kto niewinny decyduje się na wariacką ucieczkę przed policją?

– Dowodów niemalże nie ma. Przynajmniej tych bezpośrednich.

– Jasne, przecież niedawno rozmawialiśmy o poszlakach.

– I zgodziliśmy się, że to często pic na wodę. Komisarz znalazł się pod ścianą i przez to wpadł w panikę. Ludźmi kierują te same instynkty, co zwierzętami.

– A ten wierszyk? – Allegra jęknęła. – Mam mnóstwo tropów, ale nie prowadzą mnie do żadnego konkretnego wniosku.

Mond mruknął coś pod nosem. Gdy wyjechali na drogę krajową, zerknął na zegarek i jeszcze mocniej wcisnął gaz.

– Wszystko do siebie idealnie pasuje – odezwał się wyraźnie zadowolony.

– Tak, teraz wszystko pasuje jak ulał, nie ma już praktycznie żadnych luk.

– Świetnie. Prowokuj mnie jeszcze bardziej.

– Nie prowokuję.

– Nawet nie wiem, czy powinnam z tobą jechać. Ostatnim razem skończyło się w samochodzie Berga.

Honoriusz westchnął.

– Ostrzegałem cię – wymamrotał. – Prosiłem, żebyś została w aucie.

– Tak, wiem, to moja wina.

– Tego nie powiedziałem, ale... No dobrze. Skoro koniecznie chcesz znać fakty, mogę je chyba zacząć wymieniać, tyle że pominę jakiegokolwiek domysły.

– Resztę sobie dopowiem jak egzegezę.

– Raz się pomyliłem i nie zrobię tego nigdy więcej.

Mond ponownie zerknął na zegarek, po czym odezwał się tonem naukowca referującego niezwykle skomplikowaną materię.

– Engel od miesiący był śmiertelnie chory i ktoś o tym doskonale wiedział. Nie wiem, czy go kochał, czy miał inne pobudki, przynajmniej nie na pewno. Ten ktoś przygotowywał się jednak do akcji ratunkowej i wiedział, że aby zyskać na czasie, musi kogoś poświęcić.

– O czym ty mówisz? Jakiej akcji ratunkowej?

Allegra nadal nie była przekonana co do pełnej poczytalności Monda. Akcja ratunkowa? Poświęcenia? Niezmiennie nie potrafiła uchwycić sedna jego rozumowania.

– Pudwel przekazał mi, że przyczyną zgonu Engela był zaawansowany nowotwór mózgu. Właściwie guz, który uciskał nerwy oraz naczynia krwionośne. Obrazowo mówiąc, w pewnym momencie rozsadził facetowi głowę.

– No i?

– Zegarek został nakręcony jakiś czas po jego śmierci. Sprężyna o mniej więcej dwudobowym naciągu miała robić za stoper.

– Odliczający tempo biegu jego duszy do piekła?

– Prawie. – Mond przygryzł wargę i skrzył w wąską szutrową uliczkę. – Muzycy śmierci trójkami szli. Przez siedemdziesiąt dwie godziny przetrzebają wszelkie zło świata.

– To te doby odliczał zegarek?

– Sądę, że tak. Właściwie jestem o tym przekonany i o tym, że gdyby nie odnaleziono zwłok, ktoś nakręciłby ten zegarek ponownie, by wskazał kolejne dwadzieścia cztery godziny.

– Tylko po co? Przez idiotyczną piosenkę?

– Tego akurat się w głównej mierze domyślam. Jednak nie chciałbym się pomylić... – Mond zastukał palcem w wyświetlacz wskazujący godzinę. – Widzisz? Niedługo miną trzy doby od śmierci Engela.

– To coś znaczy?

– To znaczy, że możemy być już spóźnieni. – Honoriusz gwałtownie przyhamował i zjechał na pobocze. – Wsiadamy, choć znowu powinienem prosić, byś została. Ale nie będę tracił czasu na przekonywanie.

Wiatr rozwał chmury i księżyc rozświetlał noc niczym wielka latarnia. Zawiasy starej bramy cmentarnej cicho jęczały. Rząd nagrobków odcinał się ciemnymi sylwetami krzyży na tle jasnogranatowego nieba. Szmit przeżegnała się i truchtem dogoniła Monda.

– Nie ma mowy. Nie zostawię cię.



Mond minął bramę cmentarza i wspiął się między nagrobkami ku szczytowi wzniesienia. Starał się poruszać cicho, lecz grząska, mokra ziemia przy każdym kroku wywoływała lepkie cmoknięcie.

– Stój! – wrzasnął, zatrzymując się w pół kroku.

Allegra, zamarłszy w bezruchu, zdała sobie sprawę, że polecenie nie zostało skierowane do niej. Kilkanaście metrów od nich dostrzegła zarys pochylonej sylwetki. Postać drgnęła w cieniu pobliskich grobowców i przykucnęła, jakby szykując się do skoku. Mond zrobił kolejny krok, lecz zaraz się zatrzymał.

– Allegro, przedstawiam ci Zuzannę Lasecką – wycedził, po czym głośniejszym głosem zwrócił się w stronę przygarbionej kobiety: – Jak się domyślam, córkę pana Engela, zgadza się?

Lasecka podparła się na czymś i gwałtownie się podniosła.

– Nie próbujcie tu podchodzić, bo go zabiję. – Ostrzegawczo uniosła ostro zakończony szpadeł. – Uwierzcie, że nie trzeba wiele siły, aby odrąbać tym głowę.

Szmit była kompletnie skołowana. Niedawno doszukiwała się wśród sprawców nawet głuchoniemego Bernarda, lecz nie kobiety, o której Mond rzucił jedynie kilka słów. Do tego nie miała wątpliwości, że to właśnie zwalisty pensjonariusz Domu Ciszy leży u jej stóp. Nagle pojęła, po co Honoriusz pokazywał jej dokument w archiwum ośrodka. Stanowił wyciąg ze statutu założycielskiego fundacji, do którego powinny być załączone dane osobowe oraz metryki fundatorów, lecz najwyraźniej zostały zabrane. Engel nie chciał, by gdziekolwiek poniewierały się dokumenty potwierdzające jego stan małżeński oraz ewentualne koneksje rodzinne. To ten brak miał na myśli Mond.

– Chcę cię tylko zrozumieć – rzucił do kobiety. – Nic więcej.

– Po co?

– Czy chęć pojęcia, że życie oraz śmierć mają drugie dno, wymaga uzasadnienia?

Lasecka parsknęła. Z chrobotem odgarnęła ziemię i wsparła się na szpadlu.

– Ładnie gadasz, Mortalisto. Tak cię nazywano? W każdym razie ten knur musi umrzeć, aby ktoś inny mógł żyć, to cała tajemnica.

– On ma na imię Bernard.

– Wiem o tym.

Mond głęboko wciągnął zapach mokrej ziemi oraz zgnilizny. Każdy cmentarz pachniał na swój sposób, a ten miał wyjątkowo martwą woń. Przynajmniej w nocy.

– Wyjaśnij mi tylko, jaka była rola muzyków śmierci – odezwał się powoli i łagodnie niczym treser usiłujący uspokoić dzikie zwierzę. – Pierwsza trójka porwanych dzieci miała uzdrowić twojego brata, prawda?

Lasecka kilkakrotnie uderzyła szpadlem w ziemię, pogłębiając niewielki wykop.

– Tak, muzycy śmierci co noc przynosili życie lub zdrowie – wyjaśniła niechętnie i szybko dodała: – Choć możesz w to nie wierzyć.

– Nawet jeśli nie wierzę, to chcę uwierzyć. Twoja matka urodziła go w domu, prawda? Nie oddychał?

– Oddychał, ale bardzo słabo, do tego nie wydawał z siebie niemal żadnego głosu. Ojciec mówił, że przeraził go jego cichy gardłowy skrzek, jakby trzymał w dłoniach jakieś monstrum. Potem nagle noworodek całkowicie zaniemógł. Kilka godzin później umarł.

– I wtedy Engel postanowił przywrócić życie dawnej tradycji, która wcale nie sprowadzała się do procesji muzyków śmierci, lecz do składania ich w ofierze.

– Tego nie pamiętam, jednak z relacji ojca wiem, że właśnie tak było.

– Ciekawe. Obstawiam, że już wtedy dawał znać o sobie guz rosnący w jego mózgu.

Lasecka parsknęła.

– Tak myślisz? A co powiesz na to, że dziecko cudem zmartwychwstało? Nagle nabrało sił i jego stan się poprawiał?

– Tak bardzo, że ktoś się o nim dowiedział i zabrała je opieka społeczna.

– To ponoć przez moją matkę. Chciała się komuś pochwalić synem.

Mond pokiwał głową. Od jakiegoś czasu starał się krok po kroku przybliżyć do Laseckiej, ale musiał to robić bardzo ostrożnie. Tuż za sobą słyszał ciężki, przyspieszony oddech Szmit.

– W takim razie mamy przynajmniej tę jasność.

– Że?

– Jeżeli przeskoczmy w tej historii o jakiś rok lub dwa, trafiamy na moment, kiedy rodzi się mała Zuzia.

Lasecka fuknęła.

– Pisziesz moją biografię? A może sam chciałbyś zaistnieć po latach zapomnienia?

– Osobiście wolę trzymać się w cieniu.

– Przede wszystkim powinieneś trzymać się z daleka ode mnie i od mojej rodziny.

Honoriusz wzruszył ramionami. Włożył dłonie do kieszeni i zatrzymał się przy niskim, przekrzywionym nagrobku z kutym krzyżem na szczycie. Mimo że było mu gorąco, targany porywami wiatru odruchowo postawił kołnierz płaszcza.

– Twój ojciec uważał, że również jesteś chora. Może nawet rzeczywiście byłeś, ale on, nauczony doświadczeniem, porwał trójkę dzieci jeszcze przed twoim przyjściem na świat. Był zapobiegliwy, tak jak ty dwadzieścia kilka lat później.

– Owszem, złożył tamtą trójkę w ofierze jako kolejnych muzyków śmierci.

– I przez prawie dwie dekady wychowywał cię zamkniętą w domu? A potem nagle pozwolił ci wyjść do ludzi i zrobił wszystko, by mieszkańcy Bobolina nie domyślili się, że cokolwiek was łączy. Z tego wniosek, że nie byłeś takim dzikusem, jak sądziłem.

– Nie byłem, bo ojciec często zabierał mnie do Krakowa. Gdy występował, mogłam funkcjonować między ludźmi i robić, co chciałam. W zamknięciu byłam jedynie u nas na wsi. Dlatego potem traktowano mnie jako obcą.



Mond oparł się łokciem o szczyt nagrobka, a drugą ręką sięgnął do kieszeni. Po chwili wsunął do lufki cygaretkę i ją zapalił. Wypuścił w niebo kłęb dymu. Allegra z niedowierzaniem przypatrywała się zarysowi jego nakrytej kapeluszem głowy odcinającej się na tle nieba.

– Domyślam się, że to przez ciebie musiał zakończyć karierę, zgadza się?

– Tak, policja coś zwietrzyła i przez jakiś czas przebywałam pod opieką Krasowskiego. Ojciec nagrał jakiś materiał... Zaszantażował go, oskarżając o pedofilię lub inne bzdury, ale w zamian za nieujawnienie wyznaczył dyrektorem stworzonego właśnie ośrodka dla głuchoniemych.

Mond ponownie głęboko się zaciągnął i powoli wypuścił dym.

– Właśnie. I tu przechodzimy do sedna. Ośrodek miał być przede wszystkim przykrywką, aby mógł utrzymywać kontakty z nowo odzyskanym synem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę?

Lasecka gniewnie uniosła łopatę i zaklęła. Leżący przed nią kształt nieznacznie się poruszył.

– Zostaw go! – wrzasnął Mond. – To twój brat.

– Sądysz, że Bernard jest moim bratem? Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Wcale nie. Engel dowiedział się, gdzie przebywa, i nakłonił jego opiekunów, by wysłali go do Domu Ciszy. Sądzę, że wiele z tego, co robił, było formą pokuty za uznanie głuchoniemego dziecka za trupa. Refleksja jak zwykle przyszła zbyt późno.

– Pieprz się! Mówiłam, żebyś się nie zbliżał!

Lasecka wściekle uniosła szpadel i wymierzyła nim w głowę leżącego u jej stóp mężczyzny. Zamachnęła się z całej siły.



– Nie rób tego!

Nim Mond zdążył się poruszyć, szpadel z impetem uderzył w ziemię. Lasecka, cicho klnąc, przerzuciła dwie kolejne szufle. Zachowywała się jak oszalała. Nie pozostawiało wątpliwości, że kolejnym razem nie zawaha się odciąć głowy Bernarda. Mężczyzna bezradnie poruszał skrępowanymi nogami i cicho popiskiwał. Knebel tłumił jego płacz. Najwidoczniej głuchoniemi nie płakali bezgłośnie.

Allegra przytknęła dłoń do ust i wstrzymała powietrze. Jej serce przetłaczało podwójną ilość krwi, nogi drżały, a żebra wbijały się w żołądek. Była bliska wymiotowania. Aby opanować zawroty głowy, przymknęła oczy, jednocześnie w pełnym skupieniu wsłuchując się w niezmiennie łagodny ton Monda. Jego opanowanie nieco ją uspokajało.

– Zdradź mi, jakim cudem go tu zawlokłaś? – Honoriusz rzucił na ziemię niedopaloną cygaretkę i ponownie oparł się o nagrobek. Uznał, że lepiej będzie przynajmniej chwilowo zrezygnować z podchodów. – Nie udało ci się go porwać za pierwszym razem. Wiktor był drobniejszy i lepiej zareagował na podane przez ciebie środki otępiające. Gaz był jedynie przykrywką, lecz ty chciałaś ich wyprowadzić jak barany. Bernard zapewne długo się opierał, aż w końcu stracił przytomność, dlatego był potłuczony. Jednak jakim cudem przywlokłaś stukilogramowego mężczyznę na cmentarz?

– Poprosiłam go o pomoc przy aucie. – Lasecka zaśmiała się nerwowo. – Okazał się tak naiwny, jak wy wszyscy. Wyszedł na spacer, całkowicie roztrzęsiony śmiercią przyjaciela z pokoju.

– Jesteś bezwzględnie zła i perfidna.

– W końcu dlatego nazywają mnie wiedźmą.

– Plotki o twoim zafascynowaniu zielarstwem wcale nie były zupełnie bezpodstawne. To ty leczyłaś jako znachorka kobietę ze stwardnieniem

zanikowym bocznym i ty naopowiadałaś jej synowi rozmaitych bzdur. A teraz do swoich guseł potrzebujesz trzech ofiar.

Mond przestąpił z nogi na nogę. Nie miał już wątpliwości, że obok Bernarda jest wykopany grób na więcej niż jedną osobę. I że ktoś w nim już spoczywa.

– Czy tam...

Lasecka się zaśmiała. Krótko i szaleńczo.

– Tak, tam leży mój syn. Jest to zarówno syn, jak i wnuk Engela. Przez te dwadzieścia lat ojciec miał dość okazji, by się do mnie dobrać.

Mond usłyszał za sobą niedowierzające westchnięcie Allegry. Tak, to wszystko było całkowitym szaleństwem, lecz jego każdy element z żelazną logiką pasował do reszty. Wielokrotnie ludzie obłąkani potrafili stworzyć oderwaną od rzeczywistości wizję świata, która mimo to była doskonale spójna. Tym łatwiej było im w nią uwierzyć.

– Dlaczego? – Allegra zadała to pytanie za niego. Wypowiedziała je niemal pustym, nasiąkniętym przerażaniem tonem. – Dlaczego to robisz?

Lasecka się odwróciła. Najwyraźniej chciała uważniej przyjrzeć się partnerce Monda.

– „Moja jest odpłata i kara, w dniu, gdy się noga ich potknie” – wyrecytowała. – To ci wystarczy?

– Chodzi po prostu o zemstę? Na trupie?

– Nie pomyślałaś, żeby to zrobić ociupinkę wcześniej? – dołączył się Mond. – Pójść na policję albo nawet, daj Boże, walnąć ojca łopatą w łeb? Kiedy jeszcze żył.

– Bałam się go.

– I tyle?

– Chyba nie znasz prawdziwego strachu, skoro pytasz.

Honoriusz dotknął sterczącego z nagrobka krzyża i delikatnie nim poruszył.

– A teraz? Wierzysz, że zmartwychwstanie, jeśli w ciągu trzech dób od jego zgonu złożysz na jego grobie ofiary? Chcesz przywrócić życie komuś, kto sprawił, że twoje życie to koszmar?

– Dokładnie tak.

– Tego nie rozumiem. Ukarzesz go, zabijając najbliższych? To są też twoi najbliżsi.

– Ale nasza sytuacja istotnie się różni.

Lasecka kopnęła jakiś worek, z którego wysypały się szmaty. Honoriusz nie miał wątpliwości, że to pośpiesznie uszyte przez nią stroje muzyków śmierci. Ostatni, niedokończony wyrób Engela, przyozdobił zwłoki Wiktora. Po chwili kobieta wymownie zastukała szpadlem w ziemię. Dopiero wtedy pojął, co miała na myśli.

– My jesteśmy tutaj, a on tam – odezwała się martwym tonem na potwierdzenie jego teorii. – I wcale nie zamierzam go stamtąd wykopywać. Niech zdycha drugi raz, zakopany żywcem. To chyba wystarczająca kara, prawda? Planowałam ją każdego dnia od wielu, wielu lat. Wreszcie mogę ją wymierzyć.



Mond stanął na palcach, starając się zerknąć w głąb wykopu. Łkanie Bernarda powtarzało się, lecz nie miał żadnego dowodu, że syn Laseckiej żyje. Wydało mu się jednak, że w świetle księżyca dostrzega zarys jego sylwetki. Został częściowo ułożony w wykopie i miał na głowę narzucony worek. Być może po to, by matce było łatwiej go zabić. Założenie opasek na oczy skazańców wcale nie miało pozwolić im przyjemniej umierać, lecz ich oprawcom uniknąć oskarżycielskich spojrzeń konających. Powszechnie utarło się jednak odwrotne wytłumaczenie.

Lasecka przerzuciła szufłę ziemi i cicho sapnęła. Najwyraźniej lada moment zamierzała dokończyć dzieła.

– Niepotrzebnie się tu zjawieś, Mortalisto – odezwała się wyzywającym głosem. – Tym razem nikogo nie uratujesz.

– To ty mnie w to wmieszałaś. Zadzwońska do mnie, naśladować słowa mojej narzeczonej, i chciałaś mnie sprowokować. Swoją drogą, skąd wiedziałaś, jak się do mnie zwracała?

– To czysty przypadek. Trafiłam na twój podręcznik, w którego posłowniu opisujesz wasze czułości w kontrze do świata zbrodni.

No tak. O tym nie pomyślał. Mond, rozczarowany własnym dyletanctwem, nerwowo przeczesał palcami włosy. Wiedział, że ich czas już się kończy. Jakby na potwierdzenie tej obawy Lasecka parsknęła.

– Muzycy śmierci powinni rozpocząć koncert – oznajmiła oszalałym tonem. – Orkiestra, grać!

– Przestań!

Krzyk Allegry już nie mógł jej powstrzymać. Nie mógł jej również powstrzymać stłumiony szloch Bernarda ani konwulsyjne wierzgnięcie syna. Księżyc zdawał się teraz oświetlać całą scenerię z podwójną mocą. Wszystko było widać jak na dłoni.

Lasecka zamachnęła się szpadlem, po czym z furiacką siłą uderzyła nim Bernarda. Metal plasnął o ciało mężczyzny, lecz zamiast w kark, zdzielił go w ramię. Rozległ się trzask pękającej kości. Kobieta zamachnęła się ponownie, celując nieco wyżej, w szyję leżącego.

W tym momencie Mond z całej siły szarpnął kuty krzyż wieńczący stary nagrobek. Przez ostatnie sekundy delikatnie nim poruszał, starając się go obluzować. Od dawna zamierzał nim rzucić w Lasecką, gdyby nie udało mu się jej przekonać do porzucenia szpadla. Niestety metal był zbyt głęboko osadzony w nagrobku. Zachrobotał, lecz nie dał się wyrwać.

Bernard oraz syn Laseckiej zdani byli już tylko na jej łaskę. Monda i Allegrę dzieliło od nich kilkanaście metrów, dystans, którego pokonanie zajęłoby tyle, co zadanie kilku śmiertelnych ciosów szpadlem.

– Matko Boska... – Allegra błagalnie złożyła dłonie. – Boże.

Honoriusz zacisnął zęby i furiacko rzucił się w stronę Laseckiej. Wiedział, że nie zdąży jej powstrzymać, lecz nie mógł stać bezczynnie. Musiał coś zrobić. Cokolwiek. Nawet ryzykując własnym życiem.

Kolejny cios zgruchotał głowę Bernarda. Następny wymierzony był w zwinięte w kłębek dziecko. Szpadel już niemal spadł na jego kark, gdy zza pobliskiego nagrobka wynurzył się czyjś cień. Jak piekielna zjawa momentalnie doskoczył do Laseckiej i powalił ją na ziemię. Przy płytkich grobach wywiązała się dzika szarpanina.



Muzycy śmierci trójkami szli,  
Przez doby trzy zło wszystkie trzebią;  
Tak jak ich Pan przez trzy dni,  
Wszę chorobę i mór pogrzebią.

Gdy ktoś im na drodze postanie,  
Miłe mu będzie własne konanie;  
A gdy wymknie się im ktoś w niebie,  
Przyjdą, przyjdą właśnie po ciebie.







Można to było nazwać cudem, zbiegiem okoliczności lub przypadkiem. Można to było tłumaczyć statystyką albo rachunkiem prawdopodobieństwa. Honoriusz natomiast przebieg wydarzeń uznał za logiczną konsekwencję nieubłaganych praw natury. Aż tyle i tylko tyle.

Syna Laseckiej uratował pucołowaty mężczyzna, którego Mond kilkakrotnie widział w furgonetce przejeżdżającej przez Bobolin. Okazało się, że był to ojciec jednego z chłopców, którzy zaginęli przed laty. Mężczyzna nigdy nie zapomniał doznanej krzywdy. Trauma sprzed prawie dwóch dekad nie dawała mu spokoju i zatrudnił się jako kierowca w firmie rozwożącej mrożonki po okolicznych wsiach oraz miejscowościach. Rozmawiał z ludźmi, obserwował, podpytywał, prowadził własne nieoficjalne śledztwo, które nie przyniosło niemal żadnych rezultatów. Z czasem przestał wierzyć, że pozna tajemnicę zaginięcia syna, lecz nie zmienił pracy. Wrósł w środowisko i nie wyobrażał sobie jakichkolwiek zmian. Mimo to nadal pozostał czujny. Po ziemi chodziło niewielu tak zdeterminowanych ludzi.

Mond porzucił tę myśl i potrząsnął opakowaniem czipsów. Zanurzył się w leniwej porannej ciszy podwórza. Momentalnie wokół niego pojawiła się banda Watażki. Poza pięcioma tradycyjnymi członkami gangu dostrzegł niewidzianą wcześniej rudowłosą dziewczynkę. Gdy Watażka wziął od niego czipsy, natychmiast podał je właśnie jej. Dziewczynka uważnie się przyjrzała paczce, po czym natychmiast ją otworzyła.

– Octowe – stwierdziła z poważną miną. – Moja babcia dodaje octu do rosołu.

Honoriusz skrzywił się z udawanym obrzydzeniem.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni, co?

– Chyba tak. Babcia ma dziewięćdziesiąt lat i ma się całkiem dobrze, tylko jest ślepa.

– Niewidoma – poprawiła ją starsza członkini bandy.

– Ślepa – powtórzyła z uporem ruda. – Mój tata tak mówi, więc i ja tak będę mówiła. Babka jest ślepa jak kret i koniec. Czasem tata dodaje, że jak kret z wydłubanymi oczami.

– Krety nie mają oczu! – zaprotestował blondynek. Sięgnął po chipsa i schrupał go ze smakiem. – Pyszne.

– Właśnie, że mają oczy.

– Wcale nie!

Honoriusz zostawił za sobą przekomarzające się dzieci i zbiegł po schodach do sutereny. Otworzył drzwi, po czym zanurzył się w gęstym aromacie środków konserwujących. Dochodziła dziewiąta. Niebawem miała odwiedzić go Allegra. Chciał jej pokazać tę część swojego życia i wiedział, że zrobi jej przyjemność, zapraszając ją właśnie do pracowni. Kiedy się wreszcie zjawiała, delektował się, obserwując, jak z podziwem ogląda kolejne rzeczy. Bibliotekę art déco, klasycystyczną konsolę, barokowy klęcznik, wreszcie empirowy wirginał, który miał kiedyś dołączyć do szpinetu.

Po kilku minutach milczenia oraz kontemplacji Szmit przeniosła spojrzenie na niego. Dopiero teraz dostrzegła, że Honoriusz ma pod marynarką czarny podkoszulek z napisem: PIEPRZYĆ ŚMIERĆ. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, jakby chciała dotknąć jego piersi, lecz nagle się rozmyśliła. Odwróciła się w stronę okna. Na ścianie wisiał sześciokątny portret na metalowej blasze bez ram. Farba częściowo poodpryskiwała, lecz wyraźnie widać było podobiznę wychudłego mężczyzny z sumiastymi wąsami.

– To siedemnastowieczny portret trumienny – wyjaśnił Honoriusz. – Wykonywano na nich ostatnie wizerunki zmarłych. Bez jakichkolwiek upiększeń i innych dawnych filtrów.

– Sympatyczne.

– Prawie tak samo jak maski pośmiertne. Kiedyś je zbierałem.

– Jesteś szalony – skwitowała Allegra. Nagle się odwróciła i spojrzała prosto w oczy Monda. Nadszedł moment, kiedy musiała wyjaśnić ostatnią niewiadomą.

– Swoją drogą, skąd ten kierowca dowiedział się, że jesteśmy na cmentarzu? Mówił, że ktoś do niego zadzwonił, ale kto to był?

Honoriusz obrócił między palcami srebrny ustnik, po czym ponuro mlasnął.

– Moja kuzynka. Podejrzewam, że włączyła aplikację śledzącą mój telefon, a wcześniej uruchomiła głośnik.

– Podśluchiwała nas?

– Podśluchiwała, co się dzieje.

Allegra fuknęła.

– Ciekawą masz kuzynkę. To ta, która nie odczuwa bólu?

– Ta sama.

– A ty? Jak się czujesz?

Mond nie odpowiedział. Podeszedł do restaurowanej mahoniowej szafki i wyciągnął z niej długą fajkę. Była bardzo podobna do tej, którą trzymał w hotelu, również wykonano ją z kości, lecz zamiast żłobionych rzeźbień miała srebrne ozdobne wstawki.

– Teraz chyba nikt nam nie przeszkodzi?

Włożył do główki zbrylony wkład i ostrożnie go podgrzał. Usiadł w głębokim bujanym fotelu, po czym powoli się zaciągnął. Czuł, że w kieszeni wibruje mu telefon, ale nie zamierzał go odbierać. Przezornie wyłączył dzwonki, poza tym spodziewał się, że to jedynie uporczywy sygnał od kuzynki. Dawała znać, że czuwa i wie o wszystkim.

– Połóż się na nim. – Wskazał na długi szeszlony stojący obok fotela. – Wypróbuj go i oceń jakość sprężyn.

Allegra delikatnie zanurzyła się w nadzwyczajną miękkość niemal dwustuletniego mebla. Niesamowitym było, że nie potrzebowano wtedy specjalnych materacy, a do zapewnienia wygody wystarczyły odpowiednio wykonane stalowe sprężyny oraz dobrej jakości tapicerka.

Szmit położyła się na boku. Zwiesiła dłoń tak, że jej palce niemal dotknęły kolana Honoriusza.

– Czy myślisz, że... – zawiesiła głos, lecz Mond wiedział, co ma na myśli.

– Nie – odparł łagodnie. – Nie może połączyć nas nic więcej niż przyjaźń. Głębsze emocje są zbędne i niszczą trzeźwy osąd rzeczywistości. Nie byłabyś ze mną szczęśliwsza, niż jesteś teraz.

Allegra jedynie zacisnęła usta. Wzięła od Monda fajkę i głęboko się zaciągnęła. Położyła głowę na kwadratowej poduszce, po czym przymknęła oczy.

– Wtedy, na kacu po absyncie, przeprowadziłam drobne dziennikarskie śledztwo na twój temat – wyszeptała. – Z babskim wścibstwem zanurzyłam się w twoją przeszłość.

Mond zatrzymał fajkę w pół drogi do ust. Z trudem otworzył oczy i wbił w Szmit czujne spojrzenie.

– I co ustaliłaś?

– Niewiele. Powrzucałam wszelkie informacje do jednego pliku, ale w końcu bez czytania go usunęłam. Uznałam, że kiedyś sam mi opowiesz tyle, ile będziesz chciał.

– Może kiedyś.

– Jeśli tylko zapragniesz, chętnie cię wysłucham.

Honoriusz wypuścił dym i odchylił się w bujanym fotelu. Allegra obserwowała, jak jego pierś porusza się w rytmie głębokiego, lecz lekko przyśpieszonego oddechu. „Pieprzyć śmierć” – przeczytała raz jeszcze napis na czarnej koszulce.

– Już nie boli – wyszeptał, a jego lewa ręka bezwładnie opadła na podłokietnik. – Wreszcie nie boli...

—=FADE TO BLACK=—

## POSŁOWIE

Wspaniałym elementem procesu pisarskiego jest możliwość dowolnego dobierania oraz tworzenia przyjaciół. Ogólny zarys Allegry Szmit oraz Honoriusza Monda chodził za mną od dłuższego czasu. Zupełnie jakbym widywał ich gdzieś w tłumie, zapamiętywał ich twarze, może nawet wziął udział we wspólnym raucie, lecz nie miał okazji zapoznać się bliżej.

Wreszcie nadszedł moment przedstawienia się i nawiązania relacji. Początkowo nie wiedziałem, ani w jakim mieście jesteśmy, ani czy nie tworzymy tła dla historii, w której bohaterami będzie ktoś zupełnie inny. Jednak nagle wszystko stało się jasne. Szmit oraz Mond okazali się postaciami niezwykle żywymi. Rzadko się zdarza, by mizantrop podobny do mnie równie szybko nawiązał tak głęboką więź. Spędziliśmy ze sobą kilka tygodni i była to doskonała zabawa. Oczywiście, nie zawsze apetyczna i przyjemna, ale przecież jazda na rollercoasterze też nie opiera się wyłącznie na przyjemności. Dość, że w naszym wagoniku nie dostrzegłem żadnej Lucilli skórnicy ani innej przedstawicielki plujkowatych.

Mam nadzieję, że Wy również zaprzyjaźniliście się z tą dwójką. Oraz z doktorem Pudwelem, sztywnym jak nieboszczyk, że tak powiem. Sądzę, że czeka ich jeszcze niejedno wyzwanie. Ba, jestem o tym przekonany.

Tymczasem dziękuję za wspólne emocje. Czas oddać się muzyce. Może ktoś uzupełni ją śpiewem, lecz wierzę, że zrobi to w przyjemniejszy sposób niż muzycy śmierci. Choć diabelskie skrzypce (to oczywiście nie jest twór licentia poetica) brzmią całkiem intrygująco. Można znaleźć nagrania i ich odsłuchać. Chyba że się boicie. Wówczas lepiej zdać się na koncerty szpinetowe. Życzę przy tym wielu wyłącznie pozytywnych emocji.

Ukłony

Max Czornyj



Mroczna, bestsellerowa seria kryminalna  
z komisarzem Erykiem Deryłą i Tamarą Haler!



**FILIA** MROCZNA  
STRONA





Komisarz Liza Langer  
i profiler Orest Rembert nie mają sobie równych



Żadnym czasem nie brakuje szaleńców

**FILIA** MROczNA  
STRONA



## SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

\*\*\*

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

\*\*\*

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

\*\*\*

38

39

40

41

42

43

45

46

47

48

49

50

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[\\*\\*\\*](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[87](#)

[88](#)

[89](#)

[90](#)

[91](#)

[\\*\\*\\*](#)

[92](#)

[Posłowie](#)

[Reklama](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Max Czornyj, 2022  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Redakcja: Marta Akuszevska  
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzska, Jarosław Lipski  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-973-5

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.